JEFFREY ARCHER

DZIEŁO PRZYPADKU

REBIS

JEFFREY ARCHER

DZIEŁO PRZYPADKU

Przełożyła
Maja Justyna

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Przedmowa

UNIKAT

SPOWIEDŹ

WIDOK NA AUVERS-SUR-OISE

DŻENTELMEN I UCZONA

W MIŁOŚCI I NA WOJNIE WSZYSTKO JEST DOZWOLONE

KIEROWNIK PARKINGU

NIEWYKORZYSTANA GODZINA

DROGA DO DAMASZKU

ROGACZ

WAKACJE ŻYCIA

WSZYSTKO ALBO NIC

PIERWSZY ZASTĘPCA DYREKTORA BANKU

GRA WARTA PRZEGRANEJ

KTO ZABIŁ BURMISTRZA?

MORDERSTWO DOSKONAŁE

Słowo wstępne do I TAK WYGRASZ

I TAK WYGRASZ (fragment powieści)

Polecamy

Dla Pauli

Moje podziękowania otrzymują:

Simon Bainbridge, Henry Colthurst, Naresh Kumar, Christian Neffe, Alison Prince, Catherine Richards, Rupert Colley, Susan Watt, Maria Teresa Burgoni i Vicki Mellor

Przedmowa

Niniejszy zbiór opowiadań jest pierwszym, który napisałem od czasu ukończenia „Kronik Cliftonów”.

Tak jak kilkakrotnie do tej pory pomysł do części z nich w pewnym stopniu zaczerpnąłem z rzeczywistych wydarzeń, o których dowiedziałem się podczas moich podróży z Grantchester do Kalkuty i z Christchurch do Kapsztadu. Historie do nich nawiązujące znalazły swoje odzwierciedlenie w opowiadaniach w spisie treści oznaczonych gwiazdką, pozostałe zrodziły się w mojej wyobraźni.

Już po ukazaniu się *Dzieła przypadku* Rupert Colley podsunął mi tak intrygujący pomysł na opowieść, że nie mogłem czekać kolejnych dziesięciu lat, żeby ją napisać. Powstało więc opowiadanie zatytułowane *Spowiedź,* o które została uzupełniona ta antologia.

Od tamtego czasu *Spowiedź* przekształciłem w jednoaktową sztukę teatralną, która została połączona z adaptacją opowiadania *Kto zabił burmistrza?* i tak powstał spektakl składający się z dwóch utworów.

Jeffrey Archer
marzec 2018

UNIKAT

Wyzwanie

Wiele lat temu redaktor „Reader’s Digest” w Nowym Jorku poprosił mnie o napisanie opowiadania składającego się ze stu słów, wstępu, rozwinięcia i zakończenia. Wyraził również życzenie, żeby zawierało tyle słów, ile wyznaczył, nie dziewięćdziesiąt dziewięć ani nie sto jeden.

Nadal nie w pełni zadowolony ze swego pomysłu dodał, żebym gotowy tekst dostarczył mu w ciągu doby.

Pierwszy szkic zdołałem ująć w stu osiemnastu słowach, drugi w stu sześciu. Trzecia próba zamknęła się w dziewięćdziesięciu ośmiu. Jestem ciekaw, czy ktoś zgadnie, które dwa wcześniej usunięte przywróciłem w ostatecznej wersji.

Tak powstało opowiadanie pod tytułem *Unikat*, które znajduje się na następnej stronie.

Wszystkich zainteresowanych uprzejmie informuję, że powyższe wyjaśnienie również składa się ze stu słów.

* * *

Paryż, 14 marca 1921

Kolekcjoner ponownie rozniecił cygaro, sięgnął po szkło powiększające i uważnie oglądał trójkątny znaczek pocztowy z Przylądka Dobrej Nadziei wyemitowany w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku.

– Uprzedzałem pana, że istnieją dwa takie znaczki – przypomniał mu właściciel sklepu filatelistycznego. – Zatem pański nie jest unikatem.

– Ile?

– Dziesięć tysięcy franków.

Kolekcjoner wypisał czek, po czym pociągnął cygaro, które niestety znów zgasło. Wziął więc zapałkę, zapalił ją o draskę pudełka i skierował płomień na znaczek.

Filatelista obserwował go z niedowierzaniem. W górę popłynęła smużka dymu i znaczek momentalnie zniknął.

Kolekcjoner uśmiechnął się.

– Mylił się pan, przyjacielu – powiedział. – To ja mam unikat.

SPOWIEDŹ [1]

1

Saint Rochelle, czerwiec 1941

Nic nie mogło im przeszkodzić w spotkaniach pokerowych, na które mieli zarezerwowany każdy piątkowy wieczór. Nawet wybuch wojny.

Przyjaźnili się – jeśli nie w pełnym tego słowa znaczeniu, to z pewnością od trzydziestu lat łączyły ich czterech bliskie koleżeńskie więzy. Max Lascelles, postawny mężczyzna, który miał w zwyczaju dominować w każdym gronie, usiadł u szczytu starego, drewnianego stołu, ponieważ uważał, że to miejsce jemu się należy. Był przecież prawnikiem i burmistrzem Saint Rochelle, a pozostali trzej tylko członkami rady tego miasta.

Claude Tessier, prezes prywatnego banku rodziny Tessierów, zajął krzesło naprzeciwko niego. Swój status zawdzięczał głównie pochodzeniu, a nie własnej pracy. Był to człowiek porywczy, przebiegły i cyniczny, który żył w przekonaniu, że trzeba przede wszystkim dbać o własną skórę.

Po prawej stronie Tessiera usiadł André Parmentier, dyrektor collège'u w Saint Rochelle, wysoki, bardzo szczupły mężczyzna z krzaczastymi, rudymi wąsami, bez wątpienia świadczącymi o kolorze jego włosów, które jakiś czas temu stracił. Parmentier cieszył się sympatią i powszechnym szacunkiem wśród mieszkańców miasteczka.

Czwarty, Philippe Doucet, lekarz ze szpitala w Saint Rochelle, zasiadł po prawej ręce burmistrza. Ten nieśmiały, przystojny mężczyzna z gęstymi, czarnymi włosami i ciepłym, życzliwym uśmiechem wzbudzał żywe zainteresowanie pielęgniarek. Niejedna w wyobraźni widziała siebie w roli madame Doucet, ale niestety żadna nie dostąpiła tego zaszczytu.

Każdy z nich położył dziesięciofrankowy banknot pośrodku stołu i Tessier rozdał karty. Philippe Doucet obejrzał swoje i uśmiechnął się z zadowoleniem, co nie uszło uwadze pozostałych trzech graczy. Doktor nie potrafił skrywać uczuć i dlatego przez te wszystkie lata stracił najwięcej pieniędzy. Podobnie jak wielu hazardzistów starał się nie myśleć

o wieloletnich stratach, lecz cieszyć się z bieżących wygranych. Odłożył jedną kartę i poprosił o jej wymianę, a bankier niezwłocznie mu podał nową. Philippe w dalszym ciągu się uśmiechał. On nie blefował. Wiadomo, lekarze tego nie robią.

– Dwie poproszę – powiedział Max Lascelles, który siedział po lewej stronie doktora. Burmistrz, nie zdradzając żadnych emocji, przeglądał karty, które trzymał w ręce.

– Dla mnie trzy – odezwał się po chwili André, który swoim zwyczajem gładził krzaczaste wąsy, kiedy tylko poczuł szansę na wygraną. Bankier wydał dyrektorowi szkoły trzy nowe karty. Ten zerknął na nie i położył nieodkryte na stole. Z tak złym układem nawet nie warto stwarzać pozorów.

– Ja też wezmę trzy – oznajmił Claude Tessier, gdy obejrzał swoje karty, ale tak jak Lascelles zachowywał kamienną twarz. – Zaczynasz, burmistrzu – powiedział, spoglądając z przeciwległego końca stołu na kolegę.

Lascelles dorzucił do puli kolejne dziesięć franków, dając tym samym do zrozumienia, że pozostaje w grze.

– A ty co na to, Philippe? – zwrócił się do doktora Tessier.

Doucet wciąż analizował swoje karty.

– Wyrównuję i dokładam jeszcze jedną dziesiątkę – ogłosił z przekonaniem i położył dwa ostatnie ubrudzone banknoty na już znajdujących się na stole.

– Za wysoko dla mnie. – Parmentier pokręcił głową i wycofał się z licytacji.

– Ja też pasuję – zdecydował bankier, kładąc karty na stole koszulkami do góry.

– Czyli zostaliśmy tylko we dwóch, Philippe – zauważył burmistrz, zastanawiając się, czy doktor jest skłonny pożegnać się z jeszcze większą kwotą.

Philippe nie odrywał wzroku od kart. Czekał na ruch burmistrza.

– Sprawdzam! – odezwał się Lascelles i niedbale rzucił kolejne dwadzieścia franków na środek stołu.

Lekarz uśmiechnął się, odwrócił karty i wyłożył parę asów, parę dam i dziesiątkę. Uśmiech nie znikał z jego twarzy.

Burmistrz jedną po drugiej odsłaniał swoje, odwlekając moment zadania ostatecznego ciosu. Dziewięć, siedem, dziewięć, siedem. Philippe w dalszym ciągu miał zadowoloną minę, ale tylko do czasu, gdy burmistrz odkrył ostatnią kartę – kolejną dziewiątkę.

– Ful – powiedział Tessier. – Burmistrz wygrywa.

Lekarz ze zmarszczonym czołem obserwował burmistrza, który bez mrugnięcia okiem zbierał wygraną.

– Jesteś cholernym szczęściarzem, Max – stwierdził Philippe.

Lascelles chciał wytłumaczyć Philippe'owi, że szczęście ma niewiele wspólnego z grą w karty, a zwłaszcza w pokera. Statystycznie dziewięć razy na dziesięć o zwycięskim wyniku decyduje umiejętność blefowania.

Dyrektor tasował karty i już je miał zacząć rozdawać, gdy rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Burmistrz zerknął na złoty zegarek kieszonkowy. Wskazywał kilka minut po północy.

– Komu przyszło do głowy przeszkadzać nam o tej porze? – zapytał.

Czterej panowie spojrzeli w stronę drzwi niezadowoleni, że zakłóca się im grę.

Gdy się otworzyły, zerwali się z krzeseł, ponieważ do celi wszedł komendant więzienia.

Pułkownik Müller, który przybył w asyście kapitana Hoffmana i jego adiutanta, porucznika Dietera, zatrzymał się pośrodku i wziął pod boki – więzienna świta w komplecie, wszyscy trzej w czarnych mundurach formacji SS. W mrocznej celi lśniły tylko ich buty.

– Heil Hitler! – zasalutował komendant, ale żaden z więźniów nie odpowiedział.

Czekali z niepokojem na wyjaśnienie powodów tej wizyty, obawiając się najgorszego.

– Proszę usiąść, panie burmistrzu, panowie – zwrócił się do nich komendant.

Kapitan Hoffman postawił na stole butelkę wina, a jego adiutant, niczym dobrze wyszkolony sommelier, podał im kieliszki. Po raz kolejny doktor nie potrafił ukryć zdumienia, podczas gdy jego koledzy zachowali pokerowe miny.

– Jak panom wiadomo – zaczął komendant – jutro o szóstej rano macie wyjść na wolność po odbyciu wyroku.

Cztery pary podejrzliwych oczu wpatrywały się w komendanta.

– Kapitan Hoffman odprowadzi was na stację kolejową i stamtąd pojedziecie pociągiem do Saint Rochelle. Po powrocie do domu podejmiecie dawne obowiązki członków rady miejskiej. Dopóki będziecie pilnować własnego nosa, dopóty z całą pewnością włos wam z głowy nie spadnie.

Dwaj młodsi oficerowie roześmiali się skwapliwie, a czterej więźniowie w dalszym ciągu milczeli.

– Niemniej jednak mam obowiązek przypomnieć wam, panowie – wyjaśniał komendant – że prawo wojenne wciąż obowiązuje i jego zasady stosują się do każdego, niezależnie od rangi i stanowiska. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak, panie pułkowniku – powiedział burmistrz w imieniu własnym i kolegów.

– Doskonale – ucieszył się komendant. – W takim razie już panom nie przeszkadzam w grze i do zobaczenia rano.

Pułkownik odwrócił się i wyszedł, a kapitan Hoffman i porucznik Dieter podążyli za nim.

Czterej więźniowie stali, czekając, aż zamkną się ciężkie drzwi i rozlegnie odgłos klucza obracającego się w zamku.

– Zauważyliście, że komendant po raz pierwszy potraktował nas jak dżentelmenów? – zapytał burmistrz, który ciężko opadł na krzesło.

– Do ciebie zwracał się nawet per panie burmistrzu. Tylko skąd ta nagła odmiana? – zastanawiał się dyrektor szkoły, gładząc się nerwowo po wąsach.

– Moim zdaniem bez nas sprawy miasta nie toczyły się tak płynnie jak przedtem – odezwał się burmistrz. – Przypuszczam więc, że pułkownik będzie bardziej niż zadowolony, gdy wrócimy do Saint Rochelle. Najwyraźniej brakuje tam personelu administracyjnego.

– Kto wie, możesz mieć rację – zauważył Tessier. – Nie znaczy to jednak, że my musimy podzielać twoje zdanie.

– Oczywiście, że nie – przyznał burmistrz. – Zwłaszcza jeżeli pułkownik już nie ma nad wszystkim pełnej kontroli.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz? – zainteresował się doktor Doucet.

– Po pierwsze ta butelka wina – powiedział burmistrz, który oglądał naklejkę i uśmiechnął się tego dnia po raz pierwszy. – Nie jest to wprawdzie najlepszy rocznik, ale trzeba przyznać, że wino całkiem przyzwoite. – Napełnił sobie kieliszek i podał butelkę Tessierowi.

– No i jego zachowanie – dodał bankier. – Nie te zwykłe, oratorskie wywody, że rasa panów wcześniej czy później podporządkuje sobie całą Europę.

– Zgadzam się z Claude’em – wtrącił się Parmentier. – Zawsze potrafię poznać, kiedy któryś z moich chłopców wie, że zasłużył na karę, ale wciąż

ma nadzieję, że wybryk ujdzie mu na sucho.

– Kiedy Francja odzyska wolność, nikomu niczego nie puszczę płazem – powiedział burmistrz. – Gdy tylko Szwaby się wycofają do siebie, każę wyłapać wszystkich zdrajców i kolaborantów, a potem zgotuję im los według własnego prawa wojennego.

– Można prosić o więcej szczegółów, panie burmistrzu? – zapytał dyrektor.

– Dziwki, które świadczyły usługi mundurowym, stracą głowy na oczach wszystkich, a ci, którzy współpracowali z wrogiem, zawisną na rynku.

– Sądziłem, Max, że jako prawnik przed wydaniem wyroku zadbasz o uczciwy i jawny proces – włączył się doktor. – Przecież nawet nie wiemy, jakim naciskom ulegali nasi rodacy. Ja, lekarz, mogę cię zapewnić, że granica między uległością a przemocą bywa bardzo cienka.

– Nie zgadzam się z tobą, Philippe. Zresztą, co tu dużo mówić, ty zawsze byłeś gotów każdemu złoczyńcy w razie wątpliwości przyznać przywilej korzyści – powiedział burmistrz. – Ale ja nie mogę sobie pozwolić na pobłażliwość. Wymierzę karę każdemu, kogo uważam za zdrajcę, a wynagrodzę wszystkich naszych odważnych bojowników ruchu oporu, którzy podobnie jak my przeciwstawiali się wrogowi bez względu na konsekwencje.

Philippe spuścił głowę.

– Nie mogę udawać, że zawsze tak postępowałem – wyznał dyrektor szkoły. – I doskonale wiem, że jako radni często korzystaliśmy z przywilejów.

– Tylko dlatego, że spoczywał na nas obowiązek dbania o sprawy miasta w interesie tych, którzy nas wybrali.

– Nie zapominajmy, że niektórzy z naszych kolegów radnych woleli honorową rezygnację od współpracy z wrogiem.

– Nie jestem kolaborantem, Philippe, i nigdy nim nie byłem – zirytował się burmistrz i uderzył pięścią w stół. – Wręcz przeciwnie, przy każdej okazji starałem się utrudniać im życie. Mogę ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że nie raz napsułem im krwi i nadal będę to robił przy każdej sposobności.

– Nie będzie tak łatwo, dopóki flaga ze swastyką powiewa nad ratuszem – skwitował Tessier.

– Zapewniam cię, Claude – kontynuował burmistrz – osobiście ją spalę, gdy tylko Niemcy wyniosą się z miasta.

– Co przypuszczalnie nie nastąpi tak szybko – mruknął dyrektor collège'u.

– Bardzo możliwe, ale nie wolno nam zapominać, że jesteśmy Francuzami – powiedział burmistrz i uniósł kieliszek. – *Vive la France!*

– *Vive la France!* – chórem powtórzyli czterej mężczyźni, wznosząc kieliszki.

– Co zrobisz najpierw po powrocie do domu, André? – zapytał lekarz, próbując rozładować nastrój.

– Wykąpię się – odpowiedział dyrektor.

Wszyscy się roześmiali.

– A potem wrócę do moich uczniów i postaram się uświadomić następnemu pokoleniu, że wojna nie służy żadnym albo prawie żadnym celom ani zwycięzców, ani zwyciężonych. A ty co zrobisz, Philippe?

– Zgłoszę się do szpitala, gdzie przypuszczalnie zastanę sale pełne młodych mężczyzn wracających z frontu, z ranami, których nawet nie sposób sobie wyobrazić. Oprócz nich zastanę tam chorych w podeszłym wieku, którzy mieli nadzieję cieszyć się przyjemnym życiem po przejściu na emeryturę, a tymczasem dostali się pod obce panowanie.

– Chwalebne zamiary, godne pochwały – podsumował Tessier. – Ja natomiast, gdy tylko znajdę się w domu, pójdę prosto do łóżka z moją żoną i nic mnie przed tym nie powstrzyma. Z całą pewnością nie będę sobie zawracał głowy kąpielą.

Znów głośno się roześmiali.

– Amen – przypieczętował dyrektor wciąż rozbawiony. – Przyznam, że zrobiłbym to samo, gdyby moja żona była dwadzieścia lat młodsza ode mnie.

– Ale w przeciwieństwie do Claude'a – zauważył burmistrz – André nie pozbawił dziewictwa połowy panien w Saint Rochelle, kusząc obietnicą dopuszczalnego salda debetowego.

– Przynajmniej to są dziewczyny z kręgu mojego zainteresowania – odciął się Tessier, gdy burmistrz przestał się śmiać.

– A ja przypuszczam, Tessier – powiedział burmistrz, zmieniając ton głosu – że pierwsze kroki skierujesz do banku, żeby sprawdzić, czy wszystkie nasze sprawy są w porządku. Dokładnie pamiętam, ile miałem na koncie w dniu, w którym nas aresztowano.

– I tyle samo w dalszym ciągu tam będzie, do ostatniego franka – zapewnił Tessier, patrząc burmistrzowi prosto w oczy.

– Plus półroczne odsetki?

– A ty jakie masz zamiary, Max? – zapytał równie ostro bankier. – Co zrobisz, jak już powiesisz połowę mieszkańców Saint Rochelle i drugą połowę skrócisz o głowę?

– Będę kontynuował praktykę adwokacką – odparł burmistrz, pomijając milczeniem zaczepną uwagę. – Jestem niemal pewien, że przed moją kancelarią ustawi się długa kolejka klientów – dodał, uzupełniając wszystkim kieliszki.

– Włącznie ze mną – dorzucił Philippe. – Ktoś przecież będzie mnie musiał bronić, kiedy nie zdołam spłacić hazardowych długów – wyjaśnił bez cienia żalu nad sobą.

– Może zawrzyjmy ugodę – zaproponował dyrektor szkoły. – Zapomnimy o minionych sześciu miesiącach i zaczniemy z czystym rejestrem.

– To nie wchodzi w rachubę – zaprotestował burmistrz. – Zgodziliśmy się przestrzegać takich samych zasad, jakie obowiązywały poza tymi murami. „Dżentelmen zawsze reguluje swoje długi hazardowe”. Jeśli dobrze pamiętam, to są twoje słowa, André.

– Mnie by to odpowiadało, bo miałbym czyste konto – powiedział Philippe, sprawdzając zapiski w czarnym notatniku bankiera. Nie dodał, że od kiedy znaleźli się w więziennej celi, każdy wieczór był piątkowy, i jednocześnie po raz pierwszy uświadomił sobie, ile pieniędzy uzbierało się burmistrzowi przez te wszystkie lata.

– Nadszedł czas, żeby pomyśleć o przyszłości, a nie zajmować się przeszłością – oświadczył burmistrz, zmieniając temat. – Zamierzam zaraz po powrocie do Saint Rochelle zwołać posiedzenie rady i liczę, że wszyscy będziecie na nim obecni.

– Czego będzie dotyczył pierwszy punkt porządku obrad, panie burmistrzu? – zapytał Tessier.

– Musimy przyjąć uchwałę potępiającą marszałka Pétaina i reżim Vichy, wyraźnie zaznaczyć, że uważamy ich za bandę zdrajców i że w przyszłości będziemy popierać generała de Gaulle’a jako kandydata na następnego prezydenta Francji.

– Nie przypominam sobie, żebyś wyrażał te poglądy na jednym z ostatnich posiedzeń rady – zauważył zgryźliwie Tessier.

– Nikt nie wie lepiej od ciebie, Claude, pod jaką znalazłem się presją, gdy podejmowałem próby w tym kierunku – powiedział burmistrz. – A skończyło się tym, że zostałem aresztowany i wtrącony do więzienia.

– Razem z nami wszystkimi, jak tu jesteśmy, bo uczestniczyliśmy w zamkniętym i wcześniej niezapowiedzianym spotkaniu, które zorganizowałeś – dodał Tessier. – Mówię to na wszelki wypadek, gdybyś zapomniał.

– Zaproponowałem, że odsiedzę również wasze wyroki – powiedział burmistrz. – Ale komendant nie chciał o tym słyszeć.

– Ciągle nam o tym przypominasz – powiedział doktor.

– Nie żałuję swojej decyzji – burknął burmistrz. – A gdy stąd wyjdę, nadal będę nękać wroga, przy każdej okazji.

– Nie tak znów często zdarzało się to w przeszłości, jeśli dobrze pamiętam – powiedział Tessier.

– Oj dzieci, dzieci! – westchnął dyrektor, który sobie uświadomił, że sześć miesięcy spędzonych w jednej celi nie wpłynęło na poprawę ich relacji. – Nie zapominajmy, że wszyscy powinniśmy być po tej samej stronie.

– Nie wszyscy Niemcy źle nas traktowali – zwrócił uwagę lekarz. – Przyznaję, że polubiłem nawet jednego czy dwóch. Na przykład kapitana Hoffmana.

– Ależ z ciebie frajer, Philippe – powiedział burmistrz. – Hoffman powiesiłby nas bez namysłu, gdyby uznał, że przysporzy w ten sposób korzyści swojej ojczyźnie. Nigdy nie zapominaj, że Szkopy albo padają przed tobą na kolana, albo rzucają ci się do gardła.

– I bez wątpienia nie przestrzegają zasady jeden do jednego względem naszych odważnych bojowników ruchu oporu – dodał Tessier. – Ginie z ich rąk jeden Szkop, a oni z radością w odwecie wieszają dwóch Francuzów.

– To prawda – przyznał burmistrz. – Ale i tak, jeśli którykolwiek z nich po zakończeniu wojny nie wróci do siebie, to ja będę pierwszy, który wyostrzy gilotynę. I tak mi dopomóż Bóg.

Odwołanie się do Wszechmogącego zrobiło na wszystkich wrażenie, a dyrektor szkoły i doktor przeżegnali się w milczeniu.

– Przynajmniej nie będziemy mieli wiele do powiedzenia na spowiedzi po sześciu miesiącach spędzonych w tej przeklętej norze – zauważył dyrektor, przerywając ciszę.

– Jestem przekonany, że ojciec Pierre nie pochwaliłby hazardu – zwrócił im uwagę Philippe. – Jezus wypędził wszystkich przekupniów ze świątyni.

– Nic mu nie powiem, jeśli i wy tego nie zrobicie – obiecał burmistrz, nalewając sobie resztę wina z butelki.

– Mam nadzieję, że po powrocie zastaniemy tam jeszcze ojca Pierre'a – powiedział Philippe. – Ostatnio, gdy widywałem go w szpitalu, spędzał tam tyle czasu, że każdy normalny mężczyzna by się wykończył. Prosiłem go na wszystkie świętości, żeby zwolnił, ale mnie nie słuchał.

Z oddali dobiegło ich jedno uderzenie zegara.

– I co, panowie, zagramy jeszcze jedną rundę przed snem? – zaproponował Tessier, podając karty burmistrzowi.

– Beze mnie – powiedział Philippe. – Rezygnuję, zanim ogłoszą moje bankructwo.

– A może tym razem twoja kolej na wygraną? – podsunął burmistrz, tasując karty. – I odzyskasz wszystkie pieniądze w następnym rozdaniu…

– Takie rzeczy najzwyczajniej w świecie się nie zdarzają i ty doskonale o tym wiesz, Max. Myślę więc, że dla mnie na dziś koniec. Nie liczę na solidny sen, tylko czuję się jak uczniak ostatniego dnia w szkole przed końcem semestru, który nie może się doczekać powrotu do domu.

– Mam nadzieję, że moja szkoła nie jest aż taka zła – powiedział dyrektor i zaczął rozdawać karty.

Philippe wstał i powoli podszedł do łóżka znajdującego się po drugiej stronie celi, po czym wspiął się na górną pryczę. Już miał się położyć, ale w tej samej chwili zobaczył go stojącego na środku pomieszczenia. Przyglądał mu się przez chwilę, zanim powiedział:

– Dobry wieczór, ojcze. Nie słyszałem, kiedy wszedłeś.

– Niech cię Bóg błogosławi, mój synu – odpowiedział ojciec Pierre, wykonując znak krzyża.

Na dźwięk głosu księdza dyrektor szkoły w jednej chwili przestał rozdawać karty. Wszyscy siedzący przy stole odwrócili się i skierowali wzrok na ojca Pierre'a.

Ten stał w smudze światła wpadającego do środka przez świetlik nad jego głową. Miał na sobie dobrze im znaną czarną sutannę, koloratkę i jedwabny pas. Na szyi prosty, srebrny krzyż, który nosił od dnia święceń kapłańskich.

Czterej mężczyźni nadal w milczeniu przyglądali się duchownemu. Tessier próbował ukryć karty pod stołem, jak dziecko przyłapane na

gorącym uczynku z ręką w pudełku z herbatnikami.

– Niech Bóg ma was w swej opiece, moje dzieci. Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku – powiedział kapłan, ponownie czyniąc znak krzyża. – Tym bardziej mi przykro, że jestem posłańcem złych wiadomości.

Zamarli w bezruchu jak króliki w świetle reflektorów, domyślając się już, że jutro rano nie opuszczą więzienia.

– Dziś wieczorem, kilka godzin temu – kontynuował kapłan – miejscowi partyzanci wysadzili pociąg jadący do Saint Rochelle. Zginęło trzech niemieckich oficerów i trzech naszych rodaków. – Zawahał się. – Nie będzie więc dla was niespodzianką, panowie, że niemieckie dowództwo domaga się odwetu – dodał dopiero po chwili.

– Przecież zginęło trzech Francuzów – odezwał się Tessier. – To nie wystarczy?

– Niestety nie – odpowiedział ksiądz. – Tak jak do tej pory Niemcy domagają się stracenia dwóch Francuzów za śmierć każdego Niemca.

– Ale co to ma wspólnego z nami? – zapytał burmistrz. – W czasie ataku na pociąg siedzieliśmy w zamknięciu tutaj. Jak moglibyśmy być zamieszani w ten zamach?

– Zwróciłem na to uwagę komendantowi, ale on jest nieugięty. Twierdzi, że śmierć trzech ważnych obywateli miasta ma być przykładem, wyraźnym ostrzeżeniem dla każdego, kto mógłby myśleć o podjęciu antyniemieckich działań w przyszłości. I zapewniam was, że żadna prośba w waszym imieniu go nie poruszy. Pułkownik Müller zarządził, że trzech z was zostanie powieszonych na rynku jutro o szóstej rano.

Czterej mężczyźni zaczęli mówić naraz i zamilkli dopiero wtedy, gdy burmistrz podniósł rękę.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, ojcze, w jaki sposób tych trzech zostanie wybranych – powiedział, a na jego czole pojawiły się kropelki potu, chociaż w celi panował przejmujący chłód.

– Pułkownik Müller zaproponował trzy możliwości, ale ostateczny wybór pozostawił panom.

– Niezwykła to uprzejmość z jego strony – skomentował Tessier. – Z niecierpliwością czekam na szczegóły.

– Uważa, że najprostszym rozwiązaniem byłoby losowanie słomek.

– Nie wierzę w szczęśliwy los – oznajmił burmistrz. – Jakie są kontrpropozycje?

– Ostatnia runda pokera, w której nie można podwyższać stawki, o ile dobrze sobie przypominam słowa pułkownika.

– Ja bym się chętnie zdecydował na to rozwiązanie – stwierdził burmistrz.

– Nie wątpię, Max – zauważył Claude. – Miałbyś wtedy największe szanse. Jaka jest ostatnia możliwość?

– Zwlekam z jej wyjawieniem – powiedział ksiądz. – Ponieważ ta jest najbardziej niedogodna dla mnie.

– Oświeć nas, ojcze! – ponaglił burmistrz, który nie potrafił już zapanować nad emocjami.

– Wszyscy, zanim staniecie twarzą w twarz ze Stwórcą, przystąpicie do ostatniej spowiedzi. W tym wypadku mnie przypadnie rola nie do pozazdroszczenia, bo będę musiał wskazać tego z was, który pozostanie przy życiu.

– Z całą pewnością ja wybrałbym to rozwiązanie – bez wahania oznajmił dyrektor szkoły.

– Jeśli jednak się na nie zdecydujecie – wyjaśniał dalej kapłan – stawiam pewien warunek.

– Co to za warunek, ojcze? – dociekał burmistrz.

– Każdy z was będzie musiał wyznać swój najcięższy grzech. I dobrze by było, gdybyście wzięli pod uwagę, że przez lata wysłuchałem wszystkich waszych spowiedzi, więc niewiele macie sekretów, których bym nie znał. I być może jeszcze ważniejsze jest to, że wysłuchałem spowiedzi ponad tysiąca moich parafian, a niektórzy z nich za swój święty obowiązek uznali dzielenie się ze mną najskrytszymi tajemnicami. Nie wszystkie ich wyznania dobrze o was świadczą. Pewna osoba – bezsprzecznie jest to źródło nie do podważenia – twierdzi, że jeden z was jest kolaborantem. Dlatego muszę was ostrzec panowie, że jeśli którykolwiek skłamie, nie zawaham się wykreślić jego nazwiska z listy. Więc zapytam jeszcze raz, którą z tych trzech możliwości wybieracie?

– Ja mogę przystać na losowanie słomek – powiedział Tessier.

– Zdecyduję się na ostatnią partię pokera – oznajmił burmistrz. – I zdam się na Boga przy rozdawaniu kart.

– Jestem gotów wyznać swój najgorszy grzech – powiedział dyrektor – i zmierzyć się z konsekwencjami.

Wszyscy spojrzeli na Philippe’a, który wciąż rozważał proponowane rozwiązania.

– Jeśli zgodzisz się zagrać ze mną tę ostatnią partię pokera – powiedział burmistrz – byłbym skłonny wyzerować twoje konto.

– Nie słuchaj go, Philippe – doradzał Tessier. – Przyjmij moją radę i losuj słomkę. Przynajmniej będziesz miał jakąś szansę.

– Być może, ale przy moim szczęściu, Claude, losowanie słomki niewiele zmienia. Nie, jednak pójdę w ślady mego przyjaciela André i wyznam na spowiedzi najgorszy grzech, a tobie, ojcze, pozostawiam ostateczny wyrok.

– Czyli wszystko ustalone – podsumował Tessier, niespokojnie wiercąc się na krześle. – Co dalej?

– Teraz musicie zdecydować – powiedział ojciec Pierre – który z was przystąpi do spowiedzi jako pierwszy.

– Wobec tego może pozwólmy tę kwestię rozstrzygnąć kartom? – zaproponował burmistrz, który rozłożył na stole cztery karty awersami do góry. Spojrzał na damę kier i powiedział: – Kto wybierze najniższą, idzie pierwszy.

Po tych słowach dyrektor szkoły opuścił kolegów i podążył za ojcem Pierre’em.

André Parmentier, dyrektor collège’u

Kapłan pobłogosławił klęczącego przez nim dyrektora.

– Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Niech Bóg, Ojciec wszelkiego miłosierdzia, dopomoże ci w tej ostatniej spowiedzi. – Ojciec Pierre uśmiechnął się do mężczyzny, którego podziwiał od wielu lat. Obserwował André z dużą przyjemnością i satysfakcją. Drogę kariery młodego Parmentiera można by opisać w książce. Rozpoczął ją w męskim Collège Saint Rochelle, gdzie swoje dni skończy jako jego dyrektor. Przerwę miał tylko na studia na Sorbonie w Paryżu i na roczny urlop w Algierze, gdzie przebywał w charakterze nauczyciela na zastępstwie.

Po powrocie do Saint Rochelle André podjął pracę nauczyciela historii i, jak to się zazwyczaj mówi, jego dalsze losy są wszystkim dobrze znane. Szybko piął się po szczeblach kariery i nikt nie był zdumiony, gdy rada inspektorów powierzyła mu stanowisko dyrektora szkoły, które piastował przez ostatnie dziesięć lat.

Wielu jego kolegów nie mogło się nadziwić, że André nie wyjechał z Saint Rochelle i nie starał się wypłynąć na szersze wody, ponieważ powszechnie było wiadomo, że kilka innych, bardziej znanych szkół przez cały ten czas o niego zabiegało. On jednak konsekwentnie odrzucał oferty, nawet najbardziej kuszące. Niektórzy sugerowali, że Parmentier kieruje się względami rodzinnymi, inni przyjmowali jego wyjaśnienie, że w Saint Rochelle znalazł swoje powołanie i chętnie pozostanie tam, gdzie jest.

Do wybuchu wojny Collège Saint Rochelle cieszył się opinią jednej z renomowanych szkół we Francji i przyciągał młodych i ambitnych nauczycieli z całego kraju.

Ostatnio członkowie rady inspektorów zaczęli się poważnie zastanawiać, kto zastąpi szanowanego dyrektora, który za kilka lat przejdzie na emeryturę.

Gdy Niemcy wkroczyli do Saint Rochelle, André stawił czoło nowym wyzwaniom i zmierzył się z nimi z taką samą rozwagą jak zawsze. Uważał okupację za niedogodny stan rzeczy, ale w jego mniemaniu w żadnym razie nie była powodem do obniżania standardów.

André Parmentier nigdy się nie ożenił. Traktował wszystkich swoich podopiecznych tak, jakby byli jego pierworodnymi. Nie zdziwiło go, że wielu z nich – zwłaszcza tych, którzy nie celowali w nauce – doskonale sprawdziło się na polu walki. W końcu nie pierwszy raz musiał się pogodzić z brutalną i bezsensowną wojną.

Niestety wielu jego podopiecznym przyszło zginąć, a on jak ojciec w żałobie opłakiwał ich stratę. André nieznanym sposobem podtrzymywał się na duchu i nie wątpił, że z czasem ta barbarzyńska wojna, tak jak poprzednia, z pewnością się skończy. Gdy to nastąpi, będzie mógł uczyć kolejne pokolenie młodych ludzi, żeby nie powtarzali błędów swoich ojców i ich przodków. Ale tak myślał, zanim niemieckim dekretem wydano nakaz powieszenia trzech z nich o szóstej rano. Wcale nie musiał być nauczycielem matematyki, żeby wiedzieć, że w tym wypadku jemu rachunek prawdopodobieństwa nie sprzyja.

– Przebacz mi, Panie Boże – powiedział André. – Zgrzeszyłem i błagam o Twoje miłosierdzie. Ostatnio byłem u spowiedzi bezpośrednio przed aresztowaniem i osadzeniem w więzieniu.

Ojciec Pierre nie wyobrażał sobie, żeby André mógł kiedykolwiek w życiu popełnić czyn naganny.

– Przyjmuję twoją skruchę, mój synu. Wiem, ile wartościowej pracy na rzecz naszej społeczności wykonujesz od wielu lat – powiedział ksiądz. – Ale ponieważ to może być twoja ostatnia spowiedź, musisz wyjawić mi swój największy występek, bym mógł osądzić, czy powinieneś być oszczędzony, czy też znaleźć się wśród trzech skazanych na śmierć przez komendanta.

– Gdy wysłuchasz mojej spowiedzi, ojcze, nie udzielisz mi rozgrzeszenia, gdyż popełniłem grzech śmiertelny i już dawno porzuciłem wszelką nadzieję na wejście do Królestwa Niebieskiego.

– Trudno mi, mój synu, uwierzyć w twoją współpracę z wrogiem – powiedział ojciec Pierre.

– Dopuściłem się znacznie gorszego występku, ojcze. Muszę przyznać, że wielokrotnie zamierzałem wyznać ci moją tajemnicę, ale za każdym razem rejterowałem jak tchórz z pola bitwy na odgłos pierwszych wystrzałów – kontynuował André. – Cieszę się więc z tej ostatniej szansy na odkupienie przed spotkaniem ze Stwórcą. Możesz być pewien, ojcze, że – tu pozwolę sobie nawiązać do Ewangelii – śmierć mnie nie zwycięży, dla mnie straci swe żądło. – Dyrektor spuścił głowę i mimowolnie zaszlochał.

Kapłan nie dawał wiary słowom, które usłyszał, ale nie przerywał wyznania.

– Jak wiesz, ojcze – ciągnął dyrektor – mam młodszego brata.

– Guillaume’a – dodał kapłan. – Lojalnie wspomagałeś go przez lata pomimo tragicznego w skutkach błędu, który popełnił w młodości i za który drogo zapłacił.

– To nie był jego błąd, ojcze, lecz mój i mnie powinna spotkać surowa kara.

– O czym ty mówisz, mój synu? Wszyscy wiedzą, że twój młodszy brat trafił do więzienia za poważne przestępstwo.

– To ja je popełniłem, ojcze, i powinienem za nie iść do więzienia.

– Nie rozumiem.

– I nie możesz, ojcze – powiedział André. – Widziałeś tylko to, co było widoczne gołym okiem, i wcale nie musiałeś zaglądać głębiej.

– Ale ty nawet nie byłeś z bratem, gdy zabił tę młodą dziewczynę.

– Owszem, byłem – powiedział André. – Pozwól mi wyjaśnić. Tamtego wieczoru razem świętowaliśmy jego dwudzieste pierwsze urodziny i obaj trochę za dużo wypiliśmy. Skończyło się tym, że wyrzucili nas z ostatniego

baru. Guillaume stracił kontakt z rzeczywistością, więc musiałem go zawieźć do domu.

– Ale policja jego znalazła za kierownicą.

– Tylko dlatego, że rozpędzonym samochodem wjechałem na chodnik i potrąciłem dziewczynę – wydawało mi się, że dziewczynę – która później zmarła. Czy żyłaby dzisiaj, gdybym wtedy nie uciekł, ale zatrzymał się i wezwał pogotowie? Trudno powiedzieć, ale tego nie zrobiłem. Przerażony szybko odjechałem i rozmyślnie uderzyłem w drzewo nieopodal domu Guillaume'a. Policjanci, którzy potem przyjechali, za kierownicą znaleźli mojego brata, a oprócz niego w samochodzie nie było nikogo.

– No właśnie, jego tam znaleźli – potwierdził ojciec Pierre.

– Znaleźli to, co chciałem – powiedział André. – Ale wtedy już niczego więcej nie mogli się dowiedzieć. Wysiadłem z samochodu, przeciągnąłem brata na miejsce kierowcy i zostawiłem pochylonego nad kierownicą z głową na klaksonie, który trąbił tak donośnie, że w całej okolicy było go słychać.

Ksiądz się przeżegnał.

– Czym prędzej ruszyłem do swego mieszkania po drugiej stronie miasta, przemykając się z cienia do cienia, żeby nikt mnie nie zobaczył, chociaż o tej porze na ulicach prawie nie było przechodniów. Potem, kiedy w końcu dotarłem do domu, wślizgnąłem się przez tylne drzwi, przemknąłem schodami na górę i położyłem się do łóżka. Ale nie zmrużyłem oka. Prawdę mówiąc, od tamtej pory w ogóle źle sypiam. – Dyrektor skrył głowę w dłoniach i przez jakiś czas milczał, zanim podjął opowieść. – Czekałem, aż policja zapuka do moich drzwi w środku nocy, aresztuje mnie i zamknie za kratkami, ale nic takiego się nie wydarzyło. Uznałem, że mi to uszło na sucho. Ostatecznie to Guillaume'a zastali w samochodzie za kierownicą, w dodatku zaledwie sto metrów od jego domu. Następnego dnia znaleźli się świadkowie, którzy potwierdzili, że widzieli go poprzedniego wieczoru i że ledwie się trzymał na nogach.

– Ale policja musiała cię w końcu przesłuchać?

– Tak, następnego dnia rano przyszli do szkoły – przyznał André.

– Wtedy mogłeś im powiedzieć, że to ty prowadziłeś samochód, a nie twój brat.

– Powiedziałem im, że trochę za dużo wypiłem, więc go pożegnałem i poszedłem do domu. Potem już się z nim nie widziałem.

– A oni ci uwierzyli?

– Podobnie jak ty, ojcze.

Kapłan pochylił głowę.

– Dziennikarze lokalnej gazety mieli używanie. Opublikowali zdjęcia ładnej dziewczyny, która miała przed sobą całe życie. Tę wiadomość z pierwszej strony noszę w pamięci do dziś. Rozbity samochód i młody mężczyzna, którego wyciągają z fotela kierowcy o drugiej w nocy. O nim napisano tylko tyle, że to biedny i nieszczęsny brat znanego i szanowanego młodego nauczyciela z miejscowego collège'u. Poszedłem nawet na pogrzeb tej dziewczyny, czyniąc moją zbrodnię tym bardziej nikczemną. Zanim doszło do procesu, decyzja w tej sprawie zapadła na długo przed ogłoszeniem wyroku przez sędziego.

– Ale proces odbył się dopiero po kilku miesiącach, więc miałeś dość czasu na wyjawienie prawdy sędziom przysięgłym.

– Powiedziałem im to, co przeczytali w gazetach – kontynuował André z pochyloną głową.

– I twój brat został skazany na sześć lat więzienia?

– Na dożywocie, ojcze, bo po wyjściu z więzienia nie mógł dostać żadnej innej pracy oprócz woźnego w szkole, dzięki temu, że ja pociągnąłem za kilka sznurków. Niewiele osób pamięta, że Guillaume kształcił się wówczas na architekta i miał przed sobą obiecującą karierę, a ja mu ją udaremniłem. Teraz dostałem ostatnią szansę, żeby zadośćuczynić za swoją niegodziwość – powiedział André, po raz pierwszy podnosząc wzrok na księdza. – Chcę cię prosić, ojcze, żebyś mi obiecał, że po mojej jutrzejszej egzekucji opowiesz wszystkim żałobnikom, którzy przyjdą na mój pogrzeb, co tak naprawdę się wydarzyło tamtej nocy. Dzięki temu mój brat będzie miał szansę przynajmniej resztę swoich dni przeżyć w spokoju i przestać się obarczać winą za przestępstwo, którego nie popełnił.

– Być może nasz Pan postanowi cię oszczędzić, mój synu – powiedział kapłan – więc będziesz mógł sam ogłosić światu prawdę i zrozumiesz, ile twój brat wycierpiał przez te wszystkie lata.

– Wolałbym umrzeć.

– Zostawmy tę decyzję Wszechmogącemu. Nie sądzisz, że tak będzie lepiej? – zapytał ksiądz. Pochylił się i pomógł dyrektorowi podnieć się z kolan.

André odwrócił się i odszedł wolno z wciąż pochyloną głową.

– Co takiego wyznał ojcu Pierre’owi, czego jeszcze nie wiedzieliśmy? – zastanawiał się burmistrz, gdy zobaczył, że André osunął się na pryczę i odwrócił twarzą do ściany jak śmiertelnie ranny żołnierz, który wie, że nie ma dla niego ratunku.

Ksiądz spojrzał na siedzących przy stole.

– Który z was jest następny? – zapytał.

Lascelles wyłożył trzy karty.

Claude Tessier, bankier

– Przebacz mi, Boże, bo zgrzeszyłem – zaczął Claude. – Chcę prosić o wyrozumiałość i przebaczenie.

– Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebios. – Ojciec Pierre nie mógł sobie przypomnieć, kiedy Tessier był ostatnio w kościele, nie mówiąc już o spowiedzi. Mimo to wiedział niemal wszystko o bankierze, choć wiązała się z nim pewna tajemnica, która wymagała wyjaśnienia. Ksiądz liczył więc, że obawa przed wiecznym potępieniem ostatecznie skłoni Claude’a do wyznania prawdy.

Claude Tessier został prezesem banku rodzinnego po śmierci swego ojca w 1940 roku, zaledwie kilka dni przed wkroczeniem Niemców na Pola Elizejskie. Lucien Tessier był szanowanym obywatelem, podziwianym przez lokalną społeczność. Może i bank Tessierów nie należał do największych w mieście, ale Lucien cieszył się powszechnym zaufaniem, a jego klienci nigdy nie wątpili, że ich oszczędności znajdują się w bezpiecznych rękach. Niestety tego samego nie można było powiedzieć o jego synu.

Starszy pan wyznał swojej żonie, że ma wątpliwości, czy Claude jest odpowiednią osobą na jego następcę na stanowisku prezesa banku. „Nieudolny i nieroztropny” – te słowa wyszeptał na łożu śmierci, a potem zwierzył się księdzu, że niepokoi się o sytuację finansową wdowy, gdy go zabraknie i nie będzie miał kontroli nad każdą transakcją.

Jeszcze większych problemów przysparzała Lucienowi Tessierowi jego córka, nie tylko bystrzejsza od Claude’a, ale też wręcz kłopotliwie uczciwa. Starszy pan wiedział jednak, że mieszkańcy Saint Rochelle nie są jeszcze gotowi zaakceptować kobiety na stanowisku prezesa banku.

W Saint Rochelle jedynym konkurentem dla banku Claude’a był bardzo dobrze zarządzany bank Bouchardów, który Lucien podziwiał. Kierował nim Jacques Bouchard, który również miał syna, Thomasa. Ten młody człowiek zdążył już udowodnić, że jest godnym zaufania sukcesorem swego ojca.

Drogę do przeznaczonego im zawodu Claude Tessier i Thomas Bouchard przeszli co prawda razem, ale w innym tempie. Najpierw szkoła, obowiązkowa służba wojskowa, wyższe studia przed powrotem do Saint Rochelle, gdzie czekała ich kariera w banku.

Pomysłodawcą był ojciec Boucharda, który szybko pożałował swojej propozycji, by obaj młodzieńcy odbyli praktykę w konkurencyjnych bankach. Ojciec Claude’a z radością na nią przystał i o wiele lepiej wyszedł na ich umowie. Po dwóch latach Bouchard nie mógł patrzeć na młodego Claude’a, podczas gdy Lucien żałował, że Thomas nie dołączy do grona pracowników banku Tessierów. Niewiele się zmieniło, gdy obaj młodzieńcy zdążali do objęcia stanowiska prezesa w swoich bankach, w każdym razie do czasu, gdy Niemcy zaparkowali czołgi na miejskim rynku.

– Niech Bóg, Ojciec wszelkiego miłosierdzia, wspomaga cię w tej ostatniej spowiedzi – powiedział kapłan i pobłogosławił Tessiera.

– Miałem raczej nadzieję, ojcze, że nie będzie ostatnia – przyznał Claude.

– Dla twego dobra zachowajmy wiarę, że się nie mylisz, mój synu. Ta spowiedź może jednak być twoją ostatnią szansą na wyznanie najcięższego występku, którego się dopuściłeś.

– Możesz mi wierzyć, ojcze, że tak zamierzam zrobić.

– Rad jestem to słyszeć, mój synu – powiedział ksiądz. Odchylił się do tyłu, splótł ręce i czekał.

– Przyznaję otwarcie, ojcze – zaczął Claude – nie towarzyszyłem mojemu długoletniemu przyjacielowi wtedy, kiedy mnie najbardziej potrzebował. Błagam Pana Boga o przebaczenie tego zaniechania i liczę, że uznasz je za do mnie niepodobne.

– Mam rozumieć, że nawiązujesz do losu, który spotkał twojego najbliższego przyjaciela i bankiera, Thomasa Boucharda? – zapytał kapłan.

– Tak, ojcze. Thomas i ja jesteśmy przyjaciółmi od tak dawna, że nawet nie pamiętam dokładnie, od kiedy go znam. Chodziliśmy razem do szkoły, służyliśmy w wojsku jako młodzi porucznicy, studiowaliśmy na tej samej uczelni. Byłem też świadkiem na jego ślubie z Esther i jestem ojcem

chrzestnym jego pierwszego dziecka, Alberta. Mimo to, kiedy najbardziej potrzebował wsparcia, sprzeniewierzyłem się mu niczym Święty Piotr.

– Jak to możliwe po tylu latach przyjaźni?

– Byś, ojcze, to zrozumiał – powiedział Claude – musimy się przenieść z powrotem na uniwersytet do czasu, gdy on i ja zakochaliśmy się w tej samej dziewczynie. Esther była nie tylko piękna, ale i mądrzejsza od nas obu. Wypada mi uczciwie przyznać, że nigdy nie okazała mną najmniejszego zainteresowania, ale ja, nie zważając na to, wciąż żyłem nadzieją. Byłem zdruzgotany nowiną Thomasa, który powiedział mi, że się jej oświadczył, a ona postanowiła zostać jego żoną.

– Zgodziłeś się jednak być jego świadkiem, choć już popełniłeś grzech zazdrości?

– Tak. Pobrali się w lokalnym urzędzie miasta na przedmieściach Paryża, kilka dni po ukończeniu studiów. Potem wrócili do Saint Rochelle jako mąż i żona.

– Dobrze to pamiętam – potwierdził ksiądz. – I muszę przyznać, że byłem wtedy zawiedziony, że nie poproszono mnie o prowadzenie ceremonii zaślubin. Dopiero niedawno się dowiedziałem, dlaczego nie było to możliwe, i podziwiam cię za dochowanie tajemnicy przyjaciela. – Ojciec Pierre zamilkł. Zorientował się, że Claude znalazł się na rozdrożu i wciąż się waha, którą drogę wybrać.

– Wierz mi, ojcze, dotrzymywałem tajemnicy i byłem przerażony, gdy Niemcy odkryli, że Esther jest Żydówką i córką wybitnego uczonego, który potępił nazistów.

– Byłem równie przerażony – powiedział ksiądz. – Ale czy dotrzymałeś obietnicy i nikomu nie zdradziłeś pochodzenia Esther?

– Zrobiłem znacznie więcej, ojcze. Ostrzegłem Thomasa, że Niemcy dowiedzieli się, kim jest Esther, córka profesora Cohena, i że nie powinien zwlekać z zabraniem żony i dzieci do Ameryki, gdzie najrozsądniej będzie zostać do czasu, aż wojna się skończy.

– Jesteś pewien, że nie było odwrotnie? – zapytał cicho kapłan.

– Do czego zmierzasz, ojcze? – zdumiał się Tessier. Z każdym słowem coraz bardziej podnosił głos, aż koledzy zaczęli spoglądać w jego stronę.

– Do tego, że to Thomas zwierzył się tobie, że planuje ucieczkę, zanim Niemcy dowiedzą się prawdy o jego żonie, a ty go zdradziłeś.

– Komu przyszłoby do głowy oskarżanie mnie o taką zdradę? Zaproponowałem nawet, że będę zarządzał sprawami Thomasa podczas

jego nieobecności i że przekażę w jego ręce bank, gdy tylko wróci z Esther do Francji.

– Ale skoro byłeś jedyną osobą w Saint Rochelle, która wiedziała o żydowskim pochodzeniu Esther, to od kogo innego Niemcy mogli się tego dowiedzieć, jeśli nie od ciebie?

– W prasie krajowej pisano o sprawie profesora Cohena, który został aresztowany i zniknął z dnia na dzień. Najpewniej z tych doniesień Niemcy uzyskali tę informację.

– Nie przypuszczam, żeby profesor poinformował nazistów, że ma córkę i wnuka mieszkających w Saint Rochelle.

– Przysięgam na wszystkie świętości, ojcze, że nigdy nie zdradziłbym Niemcom tajemnicy Thomasa. Był moim najserdeczniejszym przyjacielem.

– Nie to mi powiedział kapitan Hoffman – odrzekł ksiądz.

Claude podniósł wzrok, krew odpłynęła mu z twarzy, był biały jak kreda. Drżał na całym ciele.

– On jest Niemcem, ojcze, któremu nie można ufać. Jego słowom dajesz wiarę przeciwko moim?

– Nie, nie wierzyłbym mu w normalnych okolicznościach. Ale słowom wypowiedzianym w obliczu Pana naszego po złożeniu przysięgi na Biblię, owszem.

– Nie rozumiem – powiedział Claude.

– Nie wiedziałeś, że Karl Hoffman jest pobożnym katolikiem, podobnie jak miliony Niemców.

– Ale przede wszystkim nazistą.

– Człowiekiem, który przychodzi do mojego kościoła jako osoba prywatna w każdy czwartek, by uczestniczyć w mszy świętej i przystąpić do spowiedzi, nie nazistą, o czym mogę cię zapewnić. W rzeczywistości to Hoffman ostrzegł mnie pierwszy, że komendant zamierza aresztować Esther i wysłać ją do obozu koncentracyjnego w Polsce.

– Kłamie, ojcze. Dopomóż mi, Boże! Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by pomóc uciec mojemu przyjacielowi.

– Hoffman ostrzegł mnie na tydzień przed aresztowaniem Esther – powiedział ksiądz – dając partyzantom dość czasu na zorganizowanie bezpiecznego wyjazdu jej rodziny do Ameryki. Bagaże Esther były zapakowane i gotowe do podróży, gdy gestapowcy pojawili się u nich w domu w środku nocy, aresztowali ją, zabrali na stację i wrzucili do pociągu, na który nie był potrzebny bilet.

Tessier osunął się na krześle i schował twarz w dłoniach.

– I jest jeszcze coś, czego nie wiedziałeś. Twój przyjaciel Thomas próbował wsiąść do tego pociągu, żeby być z żoną, ale powstrzymała go kolba niemieckiego karabinu.

– Ale…

– Ponieważ zdradziłeś swojego przyjaciela, on spędzi resztę życia, będąc zdolny jedynie do tego, by sobie wyobrażać przerażający koszmar i upodlenie, przez które przechodzi jego żona.

– Musisz zrozumieć, ojcze, że Niemcy wywierali na mnie presję – skamlał Tessier. – Zmienili moje życie w piekło.

– Niczego nie da się porównać do piekła, jakiego teraz doświadcza Thomas, podczas gdy ty siedzisz i przyglądasz się, jak rozpada się całe jego życie. Nawet niektórzy jego klienci zaczęli przenosić konta do banku Tessierów na drugą stronę ulicy pełni obaw o represje ze strony Niemców.

– Nie o to mi chodziło, ojcze. Jeśli dasz mi szansę, przysięgam, że mu to wynagrodzę.

– Myślę, że jest trochę za późno – powiedział ksiądz.

– Nie. Wcale nie. Jeśli tylko wyjdę stąd żywy, połączę oba banki i ustanowię Thomasa głównym wspólnikiem. Co więcej, przekażę na nasz kościół sto tysięcy franków.

– Czy byłbyś gotów potwierdzić tę deklarację w testamencie, bez względu na moją decyzję?

– Oczywiście – powiedział Claude. – Masz moje słowo, ojcze.

– I Bóg Wszechmogący – rzekł kapłan.

– I Bóg Wszechmogący – powtórzył Claude.

– To największa hojność z twojej strony, mój synu – powiedział ksiądz. – Jestem pewien, że jeśli dotrzymasz słowa, Pan nasz okaże miłosierdzie.

– Dziękuję, ojcze – powiedział Claude. – Może warto wspomnieć komendantowi o mojej ofercie – dodał, podnosząc głowę i spoglądając księdzu prosto w oczy.

– Dałeś słowo Panu naszemu – powiedział ojciec Pierre – to z pewnością wystarczy.

Claude wstał z kolan. Nie wyglądał na całkowicie przekonanego. Skłonił się przed kapłanem i powrócił do burmistrza i doktora.

– Jak poszło? – zainteresował się Max.

– Po prostu powiedziałem mu prawdę – odrzekł bankier z twarzą pokerzysty. – Teraz pokrzepiony na duchu czekam na decyzję

Wszechmogącego.

– Mam przeczucie, że to nie Wszechmogący podejmie decyzję – powiedział burmistrz, wykładając na stół kolejne dwie karty.

Lekarz spojrzał na piątkę.

– Wygląda na to, że teraz moja kolej.

– Ostrzegam cię, Philippe – zwrócił się do niego Tessier. – Nie próbuj go zmylić, bo on i tak cię przyłapie.

– Chyba wszyscy jesteśmy dobrze zorientowani, że blefowanie nie wychodzi mi najlepiej.

Philippe dokładnie wiedział, do czego zamierza się przyznać przed ojcem Pierre'em.

Philippe Doucet, lekarz

Doktor Philippe Doucet klęknął przed kapłanem, a ojciec Pierre od razu zauważył, że nigdy nie widział go tak całkowicie pogodzonego ze sobą. Ksiądz często dostrzegał ten stan spokoju u osób w podeszłym wieku, które ostatecznie oswoiły się z nieuchronnością własnej śmierci i niemal z zadowoleniem jej oczekują.

Ojciec Pierre wykonał znak krzyża, dotknął czoła lekarza i powiedział:

– Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Niech Bóg wszelkiego miłosierdzia wspomaga cię w czasie tej ostatniej spowiedzi.

Ksiądz wiedział niemal wszystko o Philippe Doucecie. Doktor regularnie przychodził do kościoła i spowiadał się co najmniej raz w miesiącu, z czynów grzesznych według jego mniemania, które rzadko jednak wymagały pokuty surowszej od sześciokrotnego odmówienia Zdrowaś Mario.

Philippe był otwartą księgą, a ksiądz nie czytał w niej tylko pierwszego rozdziału. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co przywiodło doktora do takiego zakątka, jakim jest Saint Rochelle. W przeciwieństwie do burmistrza, bankiera i dyrektora szkoły nie urodził się w tym mieście ani nie uczęszczał do jedynego collège'u, który się w nim znajdował, chociaż teraz wszyscy mieszkańcy uważali go za tutejszego.

Powszechnie było wiadomo, że kształcił się na wydziale medycznym Uniwersytetu Paris-Sud i ukończył go z wyróżnieniem, co potwierdzają

liczne świadectwa i dyplomy wiszące na ścianach jego gabinetu. Pozostało jednak tajemnicą, dlaczego ktoś, kto z pewnością powinien być głównym wspólnikiem dużej placówki medycznej, zadowolił się stanowiskiem lekarza w szpitalu w Saint Rochelle.

Czy Philippe Doucet miał zamiar odkryć pierwszą kartę tej księgi?

– Przebacz mi, Ojcze, ponieważ zgrzeszyłem. Ostatnio spowiadałem się w piątek przed zatrzymaniem.

– Dzisiejsza spowiedź zapewne nie potrwa długo, mój synu. Odkąd cię znam, twoje życie jest otwartą księgą.

– Ma ono wszak jeden rozdział, którego nie poznałeś, ojcze. Został napisany, zanim przybyłem do Saint Rochelle.

– Jestem pewien, że Pan nasz przebaczy ci młodzieńczą nieroztropność – powiedział kapłan. – Trudno ją porównywać z kolaboracją.

– To, co zrobiłem, jest o wiele gorsze od współpracy z wrogiem, ojcze. – Doucet był wyraźnie zrozpaczony. – Złamałem piąte przykazanie i za swój czyn muszę być skazany na wieczne potępienie.

– Ty mordercą, mój synu? – Kapłan był wyraźnie oszołomiony. – Nie wierzę. Zresztą każdy lekarz popełnia błędy…

– Ale to nie był błąd lekarski, ojcze, i zaraz wszystko wyjaśnię. Po ukończeniu uniwersytetu – kontynuował Doucet – rozpocząłem pracę na stanowisku młodszego lekarza w dużej i prestiżowej placówce medycznej w Lyonie, moim rodzinnym mieście. Ponieważ o to stanowisko ubiegało się ponad sześćdziesięciu innych absolwentów, gdy wybrano mnie, uznałem się za szczęściarza. W czasie wolnym od pracy czytałem najnowsze czasopisma medyczne, więc zawsze o krok wyprzedzałem moich ówczesnych kolegów. W ciągu roku awansowałem i szykowałem się do wejścia na kolejny szczebel kariery medycznej.

– Którym z pewnością nie mogło być stanowisko młodszego lekarza w szpitalu w Saint Rochelle – podsunął ksiądz.

– Nie, nie było, ojcze – przyznał Philippe. – Ale Saint Rochelle był jedynym szpitalem, w którym zaproponowano mi pracę w tym czasie.

– Dlaczego tak się stało? – zapytał ksiądz. – Skoro udowodniłeś, że jesteś lśniącym brylantem na tle swoich rówieśników?

– Był to czwartek w listopadzie 1921 roku. Wtedy spadłem z drabiny, po której szczeblach się wspinałem – powiedział Philippe. – Pracowałem w tamtej placówce nieco ponad rok, kiedy kolega, Victor Bonnard – lekarz niewiele starszy ode mnie – zapytał, czy odwiedzę jedną z jego pacjentek.

Wyjaśnił, że jest nią starsza pani, która cierpi na chorobę bogaczy i raz w tygodniu lubi godzinę do dwóch spędzać w towarzystwie swego lekarza. Victor wyjaśnił, że u Świętego Józefa zaistniała nieprzewidziana sytuacja, bardziej wymagająca jego obecności.

Chętnie się zgodziłem, nie tylko dlatego, że Victor zawsze znajdował czas dla pacjentów. Wziąłem torbę i ruszyłem w stronę boulevard des Belges, okolicy odwiedzanej zwykle przez bardziej doświadczonych lekarzy. Przybyłem na miejsce i zatrzymałem się przed wejściem do wspaniałej rezydencji palladiańskiej, żeby ochłonąć z wrażenia, które na mnie zrobiła. Kilka chwil później przydarzyło mi się to samo, gdy drzwi wejściowe otworzyła piękna, młoda kobieta, którą uznałem za aktorkę lub modelkę. Miała długie blond włosy, ciemnoniebieskie oczy i urzekający uśmiech, który sprawiał, że poczułem się jak wieloletni przyjaciel domu.

„Dzień dobry. Jestem Celeste Picard”, powiedziała i wyciągnęła do mnie rękę.

„Philippe Doucet”, przedstawiłem się. „Przykro mi, że doktor Bonnard nie mógł przyjść, ale pilne obowiązki zatrzymały go w szpitalu”, wyjaśniłem, chociaż wcale nie było mi przykro.

„Nic nie szkodzi”, zapewniła mnie Celeste, prowadząc po schodach na pierwsze piętro. „Nikt nie udaje, że ciotka Manon jest chora. Ona tylko bardzo lubi cotygodniowe wizyty lekarza, zwłaszcza młodego”, powiedziała z uśmiechem.

Otworzyła drzwi do sypialni. Zobaczyłem starszą panią, która siedziała na łóżku i czekała na mnie. Już po niezbyt dokładnym badaniu stwierdziłem, że ciocia-babcia Manon nie ma większych problemów zdrowotnych. Okazało się, że wystarczy ją trzymać za rękę i słuchać niekończących się historii, które dla nikogo nie były zajmujące. Uświadomiłem sobie, że nie ma nic dziwnego w tym, że tego rodzaju wizyty są niezwykle skuteczną formą terapii u starszych osób.

Ksiądz uśmiechnął się, ale nie przerywał.

– Godzinę później przy wyjściu Celeste obdarowała mnie takim samym rozbrajającym uśmiechem. Gdyby nie moja nieśmiałość, spróbowałbym nawiązać z nią rozmowę, ale poprzestałem na pożegnaniu, gdy zamykała drzwi frontowe.

Mniej więcej tydzień później Victor powiedział mi, że starsza pani poprosiła, żebym to ja ją odwiedził. „Zasłużyłeś sobie na jej względy”, żartował. Ale ja myślałem tylko o tym, że będę mógł znowu zobaczyć

Celeste. Kiedy po raz drugi zbadałem starszą panią, córka jej siostrzenicy zaprosiła mnie na herbatę, a godzinę później na pożegnanie powiedziała: „Mam nadzieję, że przyjdzie pan w przyszłym tygodniu, doktorze Doucet”.

W drodze powrotnej do szpitala niemal unosiłem się na ziemią z zachwytu, że taka bogini zwróciła na mnie uwagę. Trudno mi było w to uwierzyć. Ku mojemu jeszcze większemu zaskoczeniu po kolejnej wizycie nastąpił spacer po parc de la Tête d’or, po następnej wyjście na wieczorny koncert do lionskiej opery i kolacja w Le Café du Peintre, na którą nie było mnie stać. Potem zostaliśmy kochankami. Nie posiadałem się ze szczęścia. Czułem, że znalazłem kobietę, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

Czekałem prawie rok, zanim się oświadczyłem, ale skończyło się na złamanym sercu, ponieważ mi odmówiła. Wyjaśniła jednak, że nie o to chodzi, że nie chce wyjść za mnie, ale że jest jedyną spadkobierczynią ciotki i nie może myśleć o opuszczeniu staruszki aż do jej śmierci. Byłem załamany. Ciocia-babcia Manon miała wprawdzie ponad osiemdziesiąt lat, ale wiele wskazywało na to, że może dożyć do setki.

Próbowałem przekonywać Celeste, że zarabiam więcej niż wystarczająco na nasze utrzymanie, chociaż wiedziałem, że to nieprawda. W końcu zgodziła się na zaręczyny, ale odmówiła noszenia pierścionka. Obawiała się, że gdy ciotka go zobaczy, oddali mnie, a może nawet i ją.

– I zgodziłeś się na ten układ? – zapytał kapłan.

– Tak, ale dopiero wtedy, gdy Celeste powiedziała: „Nie martw się, kochanie, ona nie będzie żyła wiecznie”. Wtedy po raz pierwszy ten pomysł przemknął mi przez myśl. Zacząłem się zastanawiać nad wykorzystaniem moich umiejętności nie do przedłużenia życia, ale do jego skrócenia. Nie podzieliłem się tymi myślami z Celeste.

– W jaki sposób myśl przekształciła się w czyn? – zapytał ksiądz.

– Minęło pewnie kilka tygodni od naszych zaręczyn, gdy ciotka zaczęła się skarżyć na bezsenność. Zaleciłem jej serię pigułek nasennych, które najwyraźniej okazały się skuteczne. Wobec tego, ilekroć narzekała na nie najlepszy sen, zwiększałem dawkę, aż pewnego dnia się nie obudziła.

Philippe spuścił głowę, ale kapłan milczał, ponieważ wiedział, że nie jest to koniec wyznania.

– W karcie zgonu napisałem, że zmarła z przyczyn naturalnych. Nikt nie zakwestionował mojego orzeczenia, zwłaszcza że kobieta miała osiemdziesiąt cztery lata. Uznałem, że po odpowiednim okresie żałoby Celeste i ja się pobierzemy. Ale podczas pogrzebu starszej pani, w którym

uczestniczyłem, Celeste odwróciła się do mnie plecami. Starałem się sobie tłumaczyć, że postąpiła rozsądnie, bo nie chciała dawać powodów do niepotrzebnych plotek.

Kilka tygodni później pracowałem przy biurku w gabinecie i usłyszałem śmiech i podniesione głosy dobiegające z korytarza. Wyjrzałem i zobaczyłem Victora w otoczeniu kolegów lekarzy i pielęgniarek, którzy serdecznie mu gratulowali.

„Z jakiej okazji są te gratulacje?", zapytałem recepcjonistkę.

„Doktor Bonnard niedawno się zaręczył".

„Z kimś, kogo znam?"

„Z Celeste Picard", odpowiedziała recepcjonistka, nie zdając sobie sprawy, jak bolesne są dla mnie jej słowa. „Zapewne ją pan poznał, doktorze, gdy opiekował się jej cioteczną babką".

Okazałem się naiwnym głupcem, ojcze! Powoli uświadamiałem sobie, jaką rolę przeznaczyli dla mnie kochankowie. Sięgałem po alkohol, często spóźniałem się do pracy i zacząłem popełniać błędy, na początku małe, ale z czasem coraz poważniejsze, niewybaczalne dla osoby w moim zawodzie. Wcale nie byłem zaskoczony, gdy po okresie próbnym nie przedłużono mi umowy.

W dniu ślubu Victora i Celeste pomyślałem nawet o popełnieniu samobójstwa, i tylko wiara w Boga mnie od tego odwiodła. Wiedziałem jednak, że muszę się odsunąć jak najdalej od Celeste, jeśli mam zachować nadzieję na normalne życie.

– I w taki sposób trafiłeś do Saint Rochelle?

– Tak, ojcze. W czasopiśmie medycznym znalazłem ogłoszenie o wolnym stanowisku dla młodszego lekarza i natychmiast zgłosiłem swoją kandydaturę. Dyrektor szpitala zdziwił się, że tak wysoko wykwalifikowany lekarz zainteresował się takim stanowiskiem, ale bez wahania zaoferował mi tę pracę, mimo że referencje od mojego byłego pracodawcy nie były zachwycające. Od ponad dwudziestu lat wykonuję swój zawód w tym mieście – kontynuował Philippe. – Nie ma dnia, żebym nie padał na kolana i nie błagał Wszechmogącego o przebaczenie czynu, którego się dopuściłem, skracając życie niewinnej staruszki.

– Opinia o twojej wieloletniej pracy w szpitalu jest wzorowa, mój synu. Nie sądzisz, że nasz Pan ma podstawy uznać, że odbyłeś wyrok?

– Prawda jest taka, ojcze, że należało mnie wykreślić z rejestru lekarzy i skazać na karę pozbawienia wolności.

– Grzesznik ukrzyżowany wraz Jezusem na Golgocie usłyszał od niego, że jeszcze tej nocy zasiądzie po Jego prawicy w Królestwie Niebieskim.

– Mogę tylko mieć nadzieję, że nasz Pan obdarzy mnie takim samym miłosierdziem.

– Pomyślałeś, mój synu, że podczas tej niekończącej się wojny ktoś z twoimi umiejętnościami, którymi Bóg cię tak hojnie obdarzył, jest bardzo potrzebny w Saint Rochelle?

– Nie bardziej niż dyrektor szkoły – odpowiedział Philippe – który będzie miał za zadanie uczyć przyszłe pokolenia, że wojna nigdy więcej nie może być sposobem na rozwiązywanie konfliktów.

– Niech cię Bóg błogosławi, mój synu! – Kapłan wykonał znak krzyża. – Rozgrzeszam cię ze wszystkich grzechów twoich i modlę się, byś został przyjęty do Królestwa Niebieskiego.

Philippe Doucet wstał z wyrazem spokoju na twarzy; wiedział już, że bez strachu będzie mógł spojrzeć na Stwórcę. Ukłonił się i bez słowa powrócił do kolegów.

– Wyglądasz na bardzo zadowolonego, Philippe – zauważył burmistrz. – Czyżby ojciec Pierre coś ci obiecał?

– Nic – odpowiedział Philippe. – Ale też o nic więcej nie mogłem go prosić.

Burmistrz położył na stole karty i podnosząc wzrok na bankiera, poprosił:

– Potasuj karty, Claude. Moja rozmowa z księdzem nie potrwa długo, więc pewnie będzie jeszcze czas na partyjkę. – Ruszył wolno do kapłana, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był u spowiedzi.

Ojciec Pierre dobrze się przygotował na spowiedź burmistrza. Przypuszczał, że ten nie okaże takiej pokory jak jego poprzednicy. Ale Pan nasz nie oczekiwał od kapłana wydania osądu, zanim prawnik skorzysta z danej mu szansy na wyznanie swego najcięższego grzechu. Ciekawe, od czego on zacznie, zastanawiał się ksiądz.

Max Lascelles, burmistrz

– Szczęśliwi łagodni, albowiem odziedziczą ziemię – rzekł kapłan, kreśląc w powietrzu znak krzyża. – Czy jesteś gotów na ostatnią spowiedź, mój synu?

– Nie, ojcze, nie jestem – odpowiedział burmistrz. – I to nie tylko dlatego, że nie będzie to moja ostatnia spowiedź.

– Jak możesz być tak pewny, że to ciebie Wszechmogący oszczędzi?

– Ponieważ to nie Wszechmogący podejmie decyzję w tej sprawie, ale komendant – odparł burmistrz. – I mogę cię zapewnić, ojcze, że pułkownik Müller nie klęczy teraz i nie czeka na wskazówki z góry, bo postanowił mnie zachować przy życiu.

– Ale przecież to ciebie aresztowano za podburzanie do buntu. Przyznałeś nawet, że sam zwołałeś zebranie i że twoi trzej koledzy niczym nie zawinili.

– Owszem, ale to komendant zasugerował, żebym je zorganizował. Co więcej, podczas tamtej rozmowy uzgodniliśmy, że dostanę sześciomiesięczny wyrok i prawo do składania regularnych meldunków w razie złego traktowania.

– Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego pułkownik Müller miałby uznać twoje życie za ważniejsze niż życie dyrektora szkoły, lekarza, a nawet bankiera – powiedział ojciec Pierre.

– Ponieważ wie, że żaden z nich, nawet Tessier, nie byłby skłonny przystać na jego długoterminowe plany.

– Czyli to ty jesteś kolaborantem – przerwał mu kapłan.

– Uważam się za realistę, dlatego moi trzej koledzy zostaną rano powieszeni, a ja nie. Możesz jednak być pewny, ojcze, że jako najważniejszy obywatel miasta, wezmę udział we wszystkich trzech pogrzebach i wygłoszę żarliwe mowy pochwalne, w których podkreślę ich zasługi w służbie naszej społeczności i wyrażę żal, że nam wszystkim będzie ich brakować.

– Jeśli jednak to Niemcy przegrają wojnę, partyzanci bez wahania powieszą cię na najbliższej latarni – powiedział ksiądz, starając się nie tracić panowania nad sobą.

– Takie ryzyko jestem gotów podjąć. Mam zwyczaj obracać sytuacje na swoją korzyść, więc jeśli będzie trzeba, to poprę Niemców lub Brytyjczyków, by wygrali tę wojnę. Niezmiennie uważam ją za wyścig z jednym faworytem.

– Pan Churchill może mieć coś do powiedzenia na ten temat.

– Churchill jest tylko rogiem mgłowym na tonącym statku, a gdy jego miejsce zajmie ktoś inny, Hitler szybko przejmie kontrolę nad resztą

Europy. Do tego czasu nie będę już burmistrzem Saint Rochelle, ale gubernatorem jednej z nowych prowincji, które ustanowi.

– Wydaje się, że zapomniałeś o jednej rzeczy, mój synu.

– Niby o czym, ojcze? – zapytał burmistrz, unosząc brew.

– Interwencji Wszechmocnego.

– To ryzyko również jestem gotów ponieść – oznajmił Lascelles. – Zwłaszcza że ponowne przyjście Jego Syna zajmie trochę czasu.

– Niech Bóg zmiłuje się nad twoją nieśmiertelną duszą!

– Nie interesuje mnie śmiertelność, tylko który z nas znajdzie się jutro rano w pociągu do Saint Rochelle. Ale zapewniam cię, ojcze, że to będę ja.

– Chyba że partyzanci dowiedzą się prawdy – zastrzegł kapłan.

– Nie muszę ci przypominać, ojcze, że jeśli zdradzisz komukolwiek choć jedno słowo z mojej spowiedzi, to ty będziesz skazany na wieczne potępienie.

– Jesteś złym człowiekiem – powiedział ksiądz.

– W końcu znaleźliśmy coś, z czym obaj możemy się zgodzić, ojcze – zawyrokował burmistrz, gdy kapłan ukląkł i zaczął się modlić.

Burmistrz wykonał znak krzyża.

– Niech cię Bóg błogosławi, ojcze! – powiedział głośno, uśmiechnął się i wrócił na swoje miejsce u szczytu stołu.

– Rzeczywiście nie trwało to zbyt długo – zauważył Claude.

– Nie, bo prowadziłem nienaganne życie i nie miałem księdzu wiele do powiedzenia, oprócz zapewnienia go, że pragnę w dalszym ciągu służyć Stwórcy.

– Postąpiłeś szlachetnie – odezwał się Doucet i popatrzył na kapłana. – Ksiądz był wyraźnie poruszony twoim wyznaniem.

– Możliwe, ale nie pozostawiłem dobremu ojcu żadnych wątpliwości – kontynuował burmistrz – że przyjmę decyzję Wszechmogącego co do tego, który z nas powinien zostać oszczędzony, i wyraźnie zaznaczyłem, że wszyscy trzej o wiele bardziej niż ja zasługujecie na jego wielkoduszność.

Tessier podniósł oczy do Nieba z niedowierzaniem.

– Czy myślisz, że ojciec Pierre już postanowił? – zapytał Philippe.

– Nie mam pojęcia – odparł Lascelles, odwracając się do kapłana, który wciąż modlił się na kolanach.

– Niech Bóg cię poprowadzi w twoich rozważaniach, ojcze! – powiedział burmistrz i uniósł kieliszek.

Pozostali trzej mężczyźni poszli jego śladem i wznieśli toast.

– Niech Pan cię poprowadzi… – zgodnie dodali, ale nie zdążyli dokończyć, bo burmistrz zbladł i zaczął dygotać. Wypuścił z ręki kieliszek, który upadł na stół i się rozbił. Lascelles wciąż patrzył przed siebie.

Jego trzej koledzy odwrócili się i spojrzeli w tę samą stronę, ale księdza już nie było.

2

Wszyscy razem odliczali uderzenia zegara: jeden, dwa, trzy, cztery. Za dwie godziny dowiedzą się, jaki los czeka każdego z nich.

– Co robisz, Claude? – zapytał burmistrz, siadając na swoim miejscu.

– Piszę testament.

– Może ci pomóc? – zaproponował. – Lepiej, żeby po twojej śmierci nie powstały żadne spory ani nieporozumienia.

– Dobry pomysł – przyznał Tessier. – Będę mógł powiedzieć, że został sporządzony przez prawnika. Oczywiście, jeżeli jeszcze będę żył.

– Słusznie – potwierdził burmistrz.

Claude wyrwał sześć kartek ze swego małego, czarnego notesu i podał je prawnikowi.

Burmistrz przez pewien czas analizował zapisy bankiera, a potem sam zabrał się do sporządzania ostatniej woli kolegi.

– Wyjątkowo hojnie potraktowałeś swoją siostrę i przyjaciela, Thomasa Boucharda – zauważył, gdy przeszedł do drugiej kartki.

– Zawsze zamierzałem tak zrobić – powiedział Tessier.

– A twoja młoda żona? – zapytał burmistrz, unosząc brew. – Jej nic nie przypadnie w udziale?

– Jest na tyle młoda, że znajdzie sobie drugiego męża.

Adwokat przewrócił kolejną kartkę.

– Widzę, że dużą darowiznę przeznaczyłeś dla kościoła w Saint Rochelle. To też od dawna miałeś zamiar zrobić?

– Nie większą, niż obiecałem ojcu Pierre’owi przed rokiem – odparł Tessier powściągliwie.

– Ja też złożyłem obietnicę księdzu i mam zamiar jej dotrzymać – powiedział burmistrz. – Jeżeli przeżyję – dodał po chwili. Jeszcze przez jakiś czas był zajęty pisaniem, a gdy skończył, podał testament bankierowi.

Claude ponownie przeczytał dokument.

– Gdzie mam podpisać? – zapytał.

Burmistrz wskazał mu palcem przerywaną linię.

– Będą ci potrzebni dwaj świadkowie. Akurat są pod ręką, a ty nie musisz wnosić dodatkowych opłat.

Tessier spojrzał na lekarza, który najwyraźniej przebywał w innym świecie.

– Philippe – zwrócił się do przyjaciela, wyrywając go z zadumy – chcę cię prosić na świadka mojej ostatniej woli.

Doktor mrugnął kilkakrotnie, wziął pióro i złożył podpis na ostatniej stronie testamentu Tessiera.

– Wciąż nie śpisz, André? – zapytał burmistrz, spoglądając na plecy dyrektora.

– Nie, ani na chwilę nie zmrużyłem oka – rozległ się znużony głos dyrektora szkoły.

– Potrzebna jest druga osoba, która potwierdzi testament Claude’a. Wyświadczysz nam tę przysługę?

André podniósł się ociężale z dolnej pryczy i postawił stopy na zimnej, kamiennej podłodze, po czym podszedł do stołu.

– Muszę przeczytać dokument przed podpisaniem? – zapytał.

– Nie, to nie jest konieczne – wyjaśnił burmistrz. – Poświadczasz jedynie podpis Claude’a. – Przyglądał się, jak André Parmentier podpisuje się pod imieniem i nazwiskiem Philippe’a Douceta. Gotowy testament umieścił w swojej wysłużonej teczce.

Tessier zerwał się od stołu i zaczął krążyć po celi. Myślał o dokumencie, który właśnie podpisał. Gdyby rzeczywiście przyszło mu umrzeć, to połączenie dwóch banków przez Thomasa Boucharda byłoby sensownym rozwiązaniem, bo siostra mogłaby mieć w tym swój udział. Nie wątpił, że oboje przeprowadzą to o wiele lepiej, niż sam by tego dokonał. Żałował tylko, że nie skorzystał z rady ojca i już przed laty nie wprowadził Louise do zarządu.

Burmistrz był zdumiony, że André nie wrócił na swoje posłanie, tylko powiedział:

– Ja też chciałbym ustanowić testament, Max.

– Z przyjemnością ci pomogę – zaoferował się prawnik. Wyrwał kilka kartek z czarnego notesu Claude’a i wziął pióro do ręki. – Kogo uczynisz głównymi beneficjentami?

– Chcę zostawić wszystko mojemu bratu Guillaume’owi.

– Nie uważasz, że już wystarczająco dużo dla niego zrobiłeś?

– Niestety o wiele za mało – odparł dyrektor. Sięgnął po kartkę i zaczął pisać list do brata.

Drogi Guillaume…

Burmistrz nie miał czasu na polemiki z kolegą, więc zabrał się do przygotowania ostatniej woli dyrektora. To proste zadanie zajęło mu zaledwie kilka minut. Sprawdził jeszcze raz każdy akapit i wręczył kartkę dyrektorowi.

– Dziękuję – powiedział André. Powoli przeczytał swój testament, zanim go podpisał. Podał go do poświadczenia Tessierowi i Doucetowi. – Chciałbym dołączyć do niego jeszcze ten list. – Oddał złożoną kartkę prawnikowi, po czym wrócił na pryczę.

André znów zamknął oczy, chociaż wiedział, że i tak nie zaśnie. Jeżeli znajdzie się wśród trzech skazanych, przynajmniej Guillaume i jego rodzina do końca swoich dni będą żyć komfortowo. Oprócz tego miał nadzieję, że w liście w końcu wyjaśnił, że jego brat nie ponosi odpowiedzialności za śmierć tamtej dziewczyny. Poczuł ulgę, tym bardziej że Guillaume wciąż był przekonany o swojej winie. Pięć uderzeń zegara przerwało mu rozważania. André nie przejmował się już myślą, że ma przed sobą tylko godzinę życia.

Burmistrz umieścił testament dyrektora wraz z listem do Guillaume’a w swojej podniszczonej teczce i z uśmiechem zwrócił się do Philippe’a:

– A ty, mój przyjacielu, nie myślałeś o sporządzeniu testamentu?

– Po co mam to robić? – odpowiedział pytaniem lekarz. – Wszystko, co mam, i tak musiałbym zostawić tobie na spłatę karcianych długów, i zabrakłoby mi na opłacenie twojej usługi.

– Wizyty w więzieniu traktuję *pro bono* – oświadczył rozbawiony burmistrz.

Philippe pochylił się nad stołem i ukrył twarz w dłoniach, gdy prawnik przystąpił do pisania trzeciego testamentu. Doktor powrócił myślami do Celeste. W samotności często to robił. Teraz była w średnim wieku. Zastanawiał się, czy w dalszym ciągu jest żoną Victora Bonnarda. Czy mają dzieci? Czy przenieśli się do swego domu na wsi, gdy Niemcy opanowali Pola Elizejskie? Czy palladiańska rezydencja została zarekwirowana przez niemieckie naczelne dowództwo? Nie było dnia, żeby nie myślał o Celeste.

Burmistrz sporządził akt, w którym siebie ustanowił jedynym spadkobiercą doktora – nie do końca zgodny z prawem, ale kto by tego

dochodził – i obrócił kartkę, by Philippe mógł złożyć pod nim podpis. Claude i André w milczeniu zrobili to samo.

– A ty sporządzisz swój testament, Max? – zapytał Claude.

– To nie będzie konieczne – odparł burmistrz bez wyjaśnienia.

W celi zapanowała dziwna i przejmująca cisza. Zegar odmierzał sekundy, a czterej mężczyźni, zatopieni we własnych myślach, czekali na wiadomość o dalszym losie.

Burmistrz od czasu do czasu spoglądał na zegarek, tylko po to, by się przekonać, że na czas nie ma wpływu, gdyż zmierza on w ustalonym z góry kierunku jak biegacz do mety w ostatnim okrążeniu. Nikt się nie odezwał, gdy zabrzmiało pierwsze uderzenie zegara, które rozniosło się echem po celi. Na długo przed szóstym osadzeni usłyszeli zgrzyt klucza w zamku.

– Na punktualność Niemców zawsze można liczyć – zauważył burmistrz.

– Zwłaszcza jeśli mają kogoś powiesić – dodał bankier. Przestał krążyć po celi i wpatrywał się w drzwi.

Burmistrz odłożył talię kart na stół. Dyrektor siedział wyprostowany na pryczy, a Philippe wciąż myślał o Celeste. Czy w końcu zdoła się uwolnić od czaru, który na niego rzuciła?

Wszyscy z niepokojem patrzyli na otwierające się masywne drzwi, przez które do środka wszedł szeroko uśmiechnięty kapitan Hoffman.

– Dzień dobry, panowie – przywitał ich. – Mam nadzieję, że wszyscy dobrze się wyspaliście.

Żaden z więźniów nie odpowiedział. Czekali na wiadomość, który z nich zostanie uwolniony.

– Mam wasze bilety – powiedział Hoffman i podał każdemu z nich zielony kartonik. – A teraz w drogę, bo najbliższy pociąg do Saint Rochelle odjeżdża za około pół godziny.

Ani jeden z czterech mężczyzn nie wykonał najmniejszego ruchu. Wszyscy byli zdezorientowani i zastanawiali się, czy może biorą udział w jakiejś wyrafinowanej czarnej komedii w niemieckim wydaniu.

– Czy mogę o coś zapytać? – odezwał się doktor, który jako jedyny odważył się wyrazić słowami to, o czym myśleli wszyscy. – Ile było poszkodowanych we wczorajszej katastrofie pociągu?

– W jakiej katastrofie? – zdziwił się Hoffman.

– Tej, która się wydarzyła wczoraj wieczorem. Doszły do nas słuchy, że z powodu wybuchu bomby podłożonej na torach zginęło trzech niemieckich

oficerów i trzech Francuzów.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, doktorze – odparł Hoffman. – Od kilku miesięcy nie było żadnego zamachu bombowego na trasie do Saint Rochelle. Komendant jest bardzo z tego dumny. Chyba miał pan zły sen. Ruszajmy, nie ma co liczyć, że pociąg na nas zaczeka.

Hoffman odwrócił się i skierował do wyjścia, a czterej mężczyźni niechętnie podążyli za nim.

André zastanawiał się, czy zaraz się obudzi ze snu.

Hoffman poprowadził nieliczną grupę długim, ciemnym korytarzem, potem po stromych, mocno zużytych kamiennych schodach. Wyszli na zewnątrz w jasny dzień rozświetlony promieniami słońca, którego czterej przyjaciele nie widzieli przez ostatnie sześć miesięcy. W drodze przez dziedziniec ich uwagę przyciągnęły wzniesione tam szubienice.

* * *

Pułkownik Müller i jego adiutant wkroczyli na stację kolejową i zatrzymali się pośrodku peronu. Na ich widok miejscowi podróżni natychmiast porozchodzili się w odległe krańce peronu, jakby pułkownik był Mojżeszem, a przed nim rozstąpiło się Morze Czerwone.

– Pozwoliłem burmistrzowi i trzem radnym na powrót do Saint Rochelle pierwszą klasą – powiedział komendant. – Okazjonalne ustępstwo nie szkodzi, jeśli mamy nadzieję na sprawny postęp w realizacji naszych planów.

– Wciąż mamy w burmistrzu sprzymierzeńca? – zapytał Dieter.

– Owszem, na razie tak – odpowiedział komendant. – Ale ten człowiek zmieniłby front bez namysłu, gdyby miało to służyć jego celom.

Dieter kiwnął głową.

– Niestety, będzie pan musiał sam rozprawić się z tym przeklętym typem, bo właśnie otrzymałem rozkazy z Berlina i mam wrócić do mojego pułku w Prusach Wschodnich. Wygląda na to, że Führer odwołał inwazję na Anglię i postanowił ruszyć na Rosję.

– Przykro mi to słyszeć, Dieter – zmartwił się pułkownik. – Przypuszczam, że już niedługo do was dołączę i zostawię burmistrza na jego dotychczasowym stanowisku w Saint Rochelle.

– Niech Bóg broni – powiedział Dieter.

– Wolałbym, żeby burmistrz zginął – odparł pułkownik, gdy kapitan Hoffman zjawił się na peronie w towarzystwie podążających za nim czterech podopiecznych.

Kapitan Hoffman podszedł do swoich kolegów stojących przy wagonie pierwszej klasy, który znajdował się w środku składu. Burmistrz i trzej radni zatrzymali się w pewnej odległości od Niemców. Hoffman stuknął obcasami i przywitał komendanta gestem nazistów.

– Dokumentacja gotowa, panie komendancie, i zgodnie z instrukcją otrzymali bilety pierwszej klasy.

– Nie zwracajmy na nich uwagi – powiedział pułkownik i stanął plecami do burmistrza. – Nie trzeba dawać partyzantom żadnych powodów do podejrzeń, że jedzie z nami ktoś jeszcze.

– Szczerze mówiąc, najlepiej byłoby wysłać burmistrza na front wschodni – stwierdził Hoffman.

– Zdecydowanie popieram – powiedział Dieter, gdy trzej niemieccy oficerowie wsiadali do pierwszego przedziału w wagonie pierwszej klasy.

– Nic nie mówcie – szepnął burmistrz do swoich trzech kolegów. – Zaczekajcie, aż znajdziemy się w środku. Tam nikt nie będzie mógł nas podsłuchiwać.

Czterej Francuzi czekali, aż wszyscy pasażerowie wsiądą do wagonu drugiej klasy, i dopiero wtedy weszli do ostatniego przedziału w pierwszej, pozostawiając jeden pusty między sobą a trzema Niemcami.

Burmistrz położył teczkę na półce nad głową i zajął miejsce w narożniku.

– Wiesz, Max, myślałem jeszcze o swoim testamencie – powiedział Tessier, który usiadł naprzeciwko niego. – Chciałbym jednak wprowadzić do niego kilka zmian.

– Z jakiego powodu? – zapytał burmistrz, jakby nie wiedział, o co chodzi, i spojrzał naiwnie na bankiera.

– Zmieniły się okoliczności.

– Ale dałeś słowo ojcu Pierre’owi… – Burmistrz przerwał w pół zdania, ponieważ nagle uświadomił sobie, że nawiązał do sprawy, której żaden z nich wolał nie poruszać.

3

Dwaj bojownicy ruchu oporu podnieśli się w chwili, gdy słońce skryło się za samotną chmurą. Wyszli z lasu, zeszli ukradkiem po trawiastym zboczu i umieścili ładunek wybuchowy pośrodku torów.

Starszy mężczyzna zaczął się wycofywać, odwijając drut z obręczy. Wkrótce znów znaleźli się w bezpiecznym miejscu w lesie, poza zasięgiem wzroku. Gdy odwinięty drut był już wystarczająco długi, odcięli go i końcówkę podłączyli do detonatora. Obaj mężczyźni zsunęli się z powrotem po zboczu i przez następne dwadzieścia minut maskowali rozciągnięty drut paprociami, kamieniami i kępkami trawy.

– Tak na wszelki wypadek – wyjaśnił Marcel swemu nowemu pomocnikowi. – Uważny maszynista mógłby dostrzec go w słońcu.

Po dobrze wykonanej pracy ku zadowoleniu starszego mężczyzny wspięli się z powrotem na wzgórze do kryjówki. Tam się przyczaili.

– Ile masz lat, Albercie? – zapytał dowódca oddziału partyzantów, zapalając papierosa.

– Szesnaście – odpowiedział chłopiec.

– Nie powinieneś być w szkole? – nagabywał go starszy.

– Wrócę tam, dopiero gdy ostatni Niemiec opuści Francję w drewnianej skrzynce.

– Dlaczego tak bardzo ci zależało, żeby się do nas przyłączyć?

– Niemcy w środku nocy zabrali moją matkę. Ojciec mówi, że już nigdy jej nie zobaczymy.

– Czym zawiniła?

– Była Żydówką.

– A więc to twój szczęśliwy dzień, Albercie, ponieważ mój informator w Saint Rochelle zapewnił mnie, że w porannym pociągu będzie trzech niemieckich oficerów, a wśród nich komendant więzienia.

– Skąd będziemy wiedzieć, który wagon wysadzić?

– To proste. Niemieccy oficerowie zawsze podróżują w pierwszej klasie, więc interesuje nas tylko wagon środkowy.

– Ktoś z naszych ucierpi? Albo zginie? – dociekał Albert.

– Mało prawdopodobne. Ponieważ wiadomo, że pociągiem jadą niemieccy oficerowie, to wszystkie pozostałe przedziały w wagonie pierwszej klasy będą puste.

Albert wpatrywał się w dźwignię detonatora, drżały mu ręce.

– Cierpliwości, mój chłopcze – powiedział Marcel, gdy pociąg wyłonił się zza zakrętu, wypuszczając kłęby dymu w czyste, błękitne niebo. – Już niedługo.

Albert położył ręce na dźwigni.

– Jeszcze nie teraz. Powiem ci, kiedy.

Młody partyzant czuł pot spływający mu po twarzy, gdy pociąg był coraz bliżej.

– Jeszcze chwila – instruował go starszy, gdy lokomotywa przetoczyła się nad ładunkiem wybuchowym. – Przygotuj się! – Minęło zaledwie kilka sekund, ale Albertowi wydawało się, że czekał całą wieczność na komendę Marcela: – Teraz!

Albert Bouchard nacisnął mocno dźwignię. Ładunek rozprysł się na jego oczach, rozrywając wagon pierwszej klasy. W powietrze wystrzeliła kula fioletowych i niebieskich płomieni wraz z kamieniami i kawałkami szkła. Wagon gwałtownie wypadł z torów i runął z łoskotem na ziemię po drugiej stronie nasypu. Na trawie osiadła bezładnie poskręcana masa z nadtopionego metalu. Albert siedział w kryjówce oszołomiony tym widokiem. Przemknęła mu przez głowę tylko jedna myśl, że z całą pewnością nikt nie przeżył. Spoglądał na dwa pozostałe wagony z kołyszącymi się drzwiami i roztrzaskanymi oknami, leżące jak porzucone dzieci po obu stronach środkowego.

– Zbieramy się stąd! – krzyknął starszy mężczyzna, który był już na nogach, ale chłopiec nie mógł oderwać oczu od zgliszcz.

Marcel złapał nowego pomocnika za kołnierz i pociągnął go za sobą. Szybko zniknął w lesie z młodym Bouchardem – już nie uczniakiem – który podążał w ślad za nim.

* * *

Strażnik, który znajdował się w tylnym wagonie, był jednym z pierwszych na miejscu zdarzenia. Przeżegnał się, zobaczywszy ciała trzech niemieckich oficerów, wśród nich pułkownika Müllera. Ruszył dalej i zaskoczony znalazł w pobliżu zwłoki trzech swoich rodaków. Najprawdopodobniej

podróżowali w wagonie pierwszej klasy. Ale dlaczego? – zastanawiał się. Wszyscy znali wytyczne dowódcy ruchu oporu.

Po niedługim czasie zjawił się maszynista, który znajdował się znacznie dalej od centrum wybuchu.

– Ilu zabitych? – zapytał.

– Sześciu – odparł strażnik. – Trzech Niemców i niestety trzech naszych.

– Po drodze minąłem kilku pasażerów leżących przy torach – powiedział maszynista. – Nikomu nic poważnego się nie stało. Zresztą mają szczęście, bo pociągiem jechał tutejszy lekarz i udziela im pomocy.

1. Inspiracji dostarczył Rupert Colley [wróć]

WIDOK NA AUVERS-SUR-OISE [1]

– Policjant nigdy nie zapomina swego pierwszego aresztanta, tak jak się nigdy nie zapomina swojej pierwszej dziewczyny – powiedział inspektor.

Prawie wszyscy szkolni koledzy Guya Stanforda utożsamiali się z Hanem Solo lub Jamesem Bondem, jemu natomiast bliżej było do Sherlocka Holmesa. Dlatego też na pytanie doradcy zawodowego o dalsze plany po ukończeniu szkoły oznajmił: „Będę detektywem” i jego odpowiedź nikogo nie zdziwiła.

Najtrudniej przyszło Guyowi przekonać ojca, który postanowił, że jego syn, podobnie jak kiedyś on sam, będzie się kształcił na adwokata i w przyszłości wspólnie poprowadzą kancelarię. Jak przystało na Anglików, znaleźli kompromisowe rozwiązanie. Guy, nieprzychylnie nastawiony do planów ojca jak zazwyczaj rodzice do wybranej przez syna kandydatki na żonę, zawarł z nim umowę na okres próbny. Ustalili, że jeśli po trzech latach nie zmieni zdania, ojciec nie będzie się sprzeciwiał jego zamiarom wstąpienia do policji.

Następne trzy lata Guy spędził na Uniwersytecie w Exeter, gdzie studiował historię sztuki, która była jego drugą miłością. Studia ukończył z wyróżnieniem i promotor złożył mu propozycję napisania pracy doktorskiej na temat Joaquína Sorolli, hiszpańskiego malarza impresjonisty. Guy nie przyjął jej i pierwszym pociągiem wrócił do domu, do Coventry, a po dwóch tygodniach wakacji zgłosił się do miejscowej policji.

Nie skorzystał z możliwości udziału w specjalnym programie dla absolwentów gwarantującym szybszy rozwój kariery, ponieważ – jak wyjaśnił ojcu – wolał zdobywać szlify w ogniu walki. Cztery lata poprzedzające awans na detektywa okazały się pełne wyzwań. Na przykład… Nie, ta opowieść nie jest o nadinspektorze Guyu Stanfordzie, niedawno mianowanym na to stanowisko, lecz o pierwszym aresztancie posterunkowego Stanforda.

Ten tydzień był wyjątkowo wyczerpujący dla Guya i kończył się w sobotę po południu, kiedy musiał zabezpieczać przejście kibiców piłkarskiej drużyny Cardiff City na dworzec kolejowy po jej przegranym zero do trzech meczu wyjazdowym z Coventry.

Ostatni pociąg z entuzjastami piłki odjechał, ale Guy zamiast przyłączyć się do swoich kolegów w pubie, postanowił tego wieczoru zaszyć się w łóżku z dobrą książką. Był wyczerpany do tego stopnia, że po przeczytaniu zaledwie kilku rozdziałów *Duveena* S.N. Behrmana głęboko zasnął.

Dwadzieścia minut później ze snu wyrwał go natarczywy dźwięk dzwonka, ale minęło trochę czasu, zanim odebrał telefon.

– Stanford! – usłyszał w słuchawce głos mężczyzny, który nie tolerował niesubordynacji. – Zamelduj się na posterunku natychmiast. Ja mówię „natychmiast", a dla ciebie to znaczy, że już jesteś spóźniony.

– Tak jest, sierżancie – odparł Guy i w jednej chwili całkiem się rozbudził. Wyskoczył z łóżka, wziął prysznic, który zajął mu nie więcej niż dwie minuty, i nieogolony ubrał się w mundur. Zbiegł po schodach, wypadł na ulicę, wsiadł na rower i co sił w nogach popędził do komisariatu.

Zeskoczył z roweru i przyłączył się do kolegów, którzy podekscytowani zmierzali po schodach do budynku.

– Na dół, chłopcy – rozporządził sierżant z dyżurki.

Guy bez zatrzymywania się posłusznie wykonał polecenie.

Wszedł do dużego pomieszczenia centrum operacyjnego, znajdującego się w przyziemiu, i znalazł się wśród trzydziestu, może nawet czterdziestu policjantów, którzy najwyraźniej również stawili się w trybie pilnym. Żaden z przybyłych nie wiedział, w jakim celu został wezwany, ale na wyjaśnienia nie trzeba było długo czekać.

Pierwszy do sali wkroczył nadinspektor Dexter (z wydziału zwalczania przestępczości) i Guy od razu się zorientował, że sprawa jest poważna. A gdy się okazało, że w ślad za nim podąża szef policji, zapanowała cisza.

– Dobrze, chłopcy! Teraz słuchajcie uważnie – zaczął nadinspektor, biorąc się pod boki. – Dwa razy nie będę powtarzał, bo nie mam na to czasu. Otóż kilkuosobowy zespół naszych wyższych oficerów od paru tygodni prowadził śledztwo w szczególnie delikatnej sprawie. Nie chciałem zbyt wcześnie o tym mówić, czekałem, aż będzie wiadomo na pewno, że elementy łamigłówki układają się w całość. Godzinę temu otrzymaliśmy informację z wiarygodnego źródła, że dziś wieczorem trafia się niepowtarzalna sposobność na przymknięcie Berniego Mannersa i kilku innych drani.

W sali rozległy się odgłosy zadowolenia i brawa. Guy wprawdzie nie miał bezpośrednio do czynienia z Mannersem, ale doskonale wiedział, kto

to taki. Zdjęcie tego typka służyło za tarczę do gry w rzutki w pokoju sekcji kryminalnej na długo przed tym, zanim wstąpił do policji. Wiedział, że Manners jest miejscowym baronem narkotykowym, który niepodzielnie panuje nad całym obszarem rozciągającym się od Watford po Birmingham, i że każdy, kto nadepnie mu na odcisk, znika bez śladu. Najbardziej zatrważające były jednak statystyki dotyczące młodych ludzi, którym zmarnował życie heroiną i kokainowym krakiem rozprowadzanymi przez armię jego dilerów. Dzięki licznym i dobrze opłacanym adwokatom Manners nigdy nie został osadzony w areszcie, a tym bardziej skazany za swoje czyny. Nawet wtedy, kiedy w bagażniku jego mercedesa znaleziono broń palną, przedstawił dowody, że właśnie udaje się na polowanie na bażanty, a broń ma zarejestrowaną. Sędziowie przysięgli, jak się zdaje, nie dostrzegli różnicy między karabinem a strzelbą.

– Mój informator powiedział – kontynuował nadinspektor – że Manners dziś wieczorem urządza przyjęcie z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin, a w gronie gości znajdą się najwięksi szubrawcy w całym chrześcijańskim świecie, więc trudno o lepszą okazję na urodzinową niespodziankę.

Tym razem entuzjastyczne okrzyki rozległy się jeszcze głośniej.

– Za chwilę zostaniecie podzieleni na trzy grupy. Dowództwo nad każdą z nich obejmie funkcjonariusz w randze inspektora. Grupą numer jeden pokieruję ja i będzie to główna grupa operacyjna. W drugiej znajdzie się dwudziestu policjantów podlegających inspektorowi Wallisowi. Ich zadaniem będzie otoczyć dom i jeśli któryś znajdzie niedopałek jointa albo zauważy kogoś, kto chyłkiem próbuje się wymknąć, ma obowiązek zaaresztować gagatka, doprowadzić na posterunek i zamknąć za kratkami. Grupa trzecia to zespół poszukiwawczy pod komendą inspektora Hendry’ego. Na miejscu na mój sygnał wchodzicie do domu. Każdemu zostanie przydzielone pomieszczenie do przeszukania centymetr po centymetrze. Wszelkie niedozwolone substancje, które znajdziecie, mają być spisane, zapakowane i przekazane inspektorowi Hendry’emu.

Guy rozejrzał się dokoła i dostrzegł, że niemal wszyscy koledzy, gotowi do działania, z niecierpliwością czekają na rozpoczęcie akcji, bo przecież po to wstąpili do policji.

– Pamiętajcie! Każda uncja heroiny lub koki, która wpadnie wam w ręce, to jeszcze jeden rok odsiadki dla Mannersa, nawet dożywotniej, jeśli się nam uda dowieść, że jest dilerem. To tyle. Teraz zgłoście się do dowódców grup. Od nich otrzymacie szczegółowe instrukcje.

Uczestnicy odprawy niemal szturmem ruszyli do dużej tablicy ogłoszeń, na której znajdowała się sporządzona w kolejności alfabetycznej lista z przydziałem do poszczególnych grup.

Guy wiedział, że jako policjant niższej rangi nie kwalifikuje się do głównej grupy operacyjnej, liczył jednak, że trafi do zespołu poszukiwawczego, a nie tego, który będzie sterczał na zewnątrz w oczekiwaniu na ewentualnego uciekiniera.

„Doskonale!”, mruknął pod nosem, kiedy zobaczył numer trzeci przy swoim nazwisku. Szybkim krokiem skierował się po schodach na górę i wyszedł z komisariatu. Wsiadł do czarnego radiowozu patrolowego z numerem trzy (oprócz trójki nie było żadnych oznaczeń) i zajął miejsce w przedniej części. Jeden z kolegów zasunął drzwi i dowodzący grupą inspektor Hendry przystąpił do szczegółowego omówienia planu.

– Uwaga, skoncentrujcie się. Jestem tu głównodowodzącym i instrukcje podam tylko raz. Mamy przeszukać dom od góry do dołu, wszystko sprawdzić i niczego nie przeoczyć. Absolutnie niczego. Znalezione narkotyki, nawet marihuanę czy amfę, macie zabezpieczyć w woreczkach i przekazać mnie. Nie wyobrażajcie sobie, że to, czego szukamy, zastaniecie starannie poukładane na półkach. Manners pochował swoje skarby w miejscach, o których się wam nawet nie śniło, więc sprawdzajcie dokładnie, bo drugiej szansy nie dostaniemy.

Guy jechał w ostatniej z trzech nieoznakowanych furgonetek i co pewien czas spoglądał przez okno. Konwój otwierały dwa wozy patrolowe i zamykały również dwa. Najwyraźniej spodziewano się licznego grona gości na przyjęciu.

Samochody sunęły przez miasto bez włączonych sygnałów dźwiękowych. Znajdujący się w nich policjanci nie zwracali uwagi ani na nietrzeźwych, ani na włóczęgów, którzy czym prędzej znikali w nieoświetlonych zaułkach, gdy tylko zorientowali się, kto jedzie. Poza miastem droga wiodła przez okoliczne wsie. Guy zauważył, że zaledwie w kilku domach paliło się jeszcze światło, bo większość zwyczajnych mieszkańców dawno już udała się na spoczynek i pogrążyła we śnie.

Do miejsca przeznaczenia pozostało nie więcej niż pół kilometra, gdy Hendry wstał, odwrócił się i spojrzał na swoich podwładnych.

– No, chłopcy – powiedział – tylko patrzeć i będzie po wszystkim.

Zjechali z głównej drogi. W dwóch wozach z przodu zgaszono reflektory. Samochody zatrzymały się w wąskiej uliczce. Guy znów wyjrzał

przez okno i zobaczył imponującą rezydencję w stylu georgiańskim, rozjaśnioną jedynie światłem księżyca w pełni. Od razu zwrócił uwagę na ciemne okna w domu Berniego Mannersa. Jeśli rzeczywiście urządził przyjęcie z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin, to aż trudno uwierzyć, że już się skończyło i goście się rozjechali.

Konwój stał, a Guy i jego koledzy z niecierpliwością czekali na sygnał do działania. Tylko jakiego, zastanawiał się Guy. Przypuszczał, że inspektorzy z dwóch pierwszych radiowozów naradzają się, czy przystąpić do akcji czy może się wycofać, wrócić na posterunek z podkulonym ogonem i przyznać, że dali się wywieść w pole. Zdaniem Guya drugie rozwiązanie byłoby najrozsądniejsze. Wiedział jednak, że nadinspektorowi Dexterowi pozostało zaledwie kilka miesięcy do emerytury i że tę okoliczność bez wątpienia brano pod rozwagę. Powodzenie operacji byłoby doskonałym zwieńczeniem jego kariery zawodowej.

Niebawem stało się jasne, jaka zapadła decyzja, ponieważ w obu radiowozach znów rozbłysły reflektory i samochody powoli ruszyły w kierunku rezydencji. Guy obserwował kolegów wysiadających z dwóch furgonetek, widział, jak otaczają budynek. Po chwili inspektor Hendry zebrał swoją grupę z trzeciej furgonetki na trawniku przed domem. Inspektor podniósł rękę i funkcjonariusze zatrzymali się w odległości kilku metrów od wejścia.

Żaden z nich się nie poruszył, gdy nadinspektor grzmocił zaciśniętą pięścią w drzwi. Kilka minut później w oknie na drugim piętrze zapaliło się światło, po chwili na klatce schodowej, a potem w holu. Dopiero wtedy otworzyły się drzwi frontowe i w ich ramie zarysowała się masywna sylwetka Berniego Mannersa wystrojonego w fioletowy, jedwabny szlafrok.

– Czemu zawdzięczam to wtargnięcie, panie nadinspektorze? – zapytał Manners.

Guy od razu zadał sobie pytanie, dlaczego Manners nie był zaskoczony widokiem stojącego przez nim Dextera. Dlaczego nie krzyknął ani nie zaczął złorzeczyć? Zastanawiał się, czy może ich wiarygodne źródło od dawna nie pracuje na rzecz tej drugiej strony. Było jednak za późno, żeby się wycofać.

– Mam nakaz przeszukania domu – oznajmił nadinspektor. Podał Mannersowi dokument, a sam, nie czekając na zaproszenie, ruszył do środka.

Guy wiedział, że nakaz został wydany przez sędziego nieco wcześniej tego samego wieczoru, bez wątpienia z ostrzeżeniem przed konsekwencjami, gdyby nie udało się znaleźć ukrytego zapasu narkotyków, w ilości, której doświadczony prawnik nie mógłby określić jako porcji wyłącznie na użytek własny ich właściciela.

Niedługo potem nadinspektor pojawił się w drzwiach wejściowych i machnął ręką. Był to znak dla grupy poszukiwawczej, którą wzywał do akcji.

– Jazda, chłopcy, bierzcie się do roboty! – ponaglił Hendry i poprowadził swoich podkomendnych przez wysypany żwirem dziedziniec do rezydencji.

Guy i dwóch innych funkcjonariuszy otrzymali rozkaz przeszukania salonu. Na początek sprawdzili szuflady, pozrzucali poduszki z kanap i krzeseł, pozdejmowali książki, płyty kompaktowe i DVD z półek nad telewizorem panoramicznym. Inspektor Hendry wędrował z pokoju do pokoju. Czekał, aż któryś z policjantów zgłosi znalezisko. Manners tymczasem nalał sobie drinka. Godzinę później dowodzący grupą zarządził – jak sam to ujął – bardziej skrupulatne przeszukanie.

– Niczego nie znajdziecie – oznajmił Manners. – Zresztą nie mam zielonego pojęcia, czego szukacie – dodał, nalewając sobie kolejną solidną porcję whisky.

W pierwsze zapewnienie Guy uwierzył, ale nie w drugie. Młody aspirant znów skierował uwagę na sierżanta, który wyjął nóż i rozpruł nim kanapę na tyle głęboko, że wypełniające ją pierze rozsypało się we wszystkie strony. Guy przeglądał książki stojące na półkach, ale nie znalazł nic oprócz pięćdziesięciofuntowego banknotu, którego Manners używał jako zakładki, a to nie jest przestępstwem.

Druga godzina poszukiwań również nie przyniosła żadnych rezultatów. Pozostał jedynie rozgardiasz w pokojach na dole, które przypominały teraz wysypisko odpadów komunalnych. Guya niepokoiła obojętność Mannersa, który zdawał się niczym nie przejmować. Zaczynał się nawet zastanawiać, kto zaplanował całą tę operację z wielomiesięcznym wyprzedzeniem.

Manners odstawił szklankę, zerknął na zegarek i do kogoś zadzwonił. Guy bez trudu domyślił się, do kogo, ale zarazem zdumiał, że ten ktoś tak szybko odebrał telefon.

Zdesperowany nadinspektor wydał wszystkim rozkaz ponownego przeszukania pomieszczeń na piętrach. Polecił jeszcze raz sprawdzić, czy

niczego nie przegapili.

Guy miał się udać do łazienki. Powoli zmierzał tam po schodach prowadzących na pierwsze piętro i przyglądał się obrazom na ścianie, które mijał po drodze. Tylko jeden przedstawiał wartość, pozostałe były bohomazami z Piccadilly. Zapewne kupił je dekorator wnętrz, gdy się zorientował, że trafił na frajera.

Stanford wszedł do łazienki przypominającej szatnię rugbystów po zaciętym meczu. Niemal od razu stwierdził, że koledzy, którzy byli tu wcześniej, bardzo rzetelnie wykonali swoje zadanie. Pozdejmowali nawet panele z wanny i przetrząsnęli szafkę pełną lekarstw z apteki Boots. Na wszelki wypadek sam też sprawdził jej zawartość, ale nie było w niej żadnych środków mocniejszych od aspiryny.

Wtem rozległ się gwizdek na znak, że poszukiwania zostały zakończone. Guy nie spiesząc się, schodził po schodach. Na dole zobaczył nadinspektora, który wyglądał tak, jakby miał przejść na emeryturę znacznie wcześniej, niż początkowo zamierzał. Guy już wiedział, że ta cała operacja była częścią planu Mannersa. Na jego wezwanie przed dom podjechało czarne bmw i zaparkowało przed wejściem.

Chwilę później do środka wkroczył wysoki, elegancko ubrany mężczyzna, który nie wyglądał na kogoś, kto całkiem niedawno wstał z łóżka.

– Michael – zwrócił się do niego Manners. – Spójrz tylko, co ci dranie nawyrabiali! – dodał i ruszył ze swoim adwokatem na oględziny pobojowiska w całym domu.

Kiedy już je skończyli, adwokat skierował się prosto do nadinspektora.

– Nazywam się Michael Carstairs – przedstawił się.

– Wiem doskonale, kim pan jest, mecenasie Carstairs.

– Mam zaszczyt reprezentować pana Mannersa – kontynuował adwokat, jakby mu nie przerwano. – Splądrowaliście jego dom bez żadnego powodu, a trzeba wam wiedzieć, że mój klient jest szanowanym lokalnym przedsiębiorcą. Na tym terenie mieszka od wielu lat. Jestem więc przekonany, że nie będzie pan zaskoczony, gdy złożę w imieniu mojego klienta oficjalną skargę, ale najpierw porozmawiam sobie z szefem policji.

Guy uważnie obserwował nadinspektora. Był ciekaw jego reakcji. Odniósł wrażenie, że Dexter zastanawia się, którego z tych dwóch mężczyzn uderzyć najpierw, prawnika czy jego klienta. Gdyby to zrobił,

miałby przynajmniej jedno sensowne uzasadnienie problemów, które na siebie sprowadził.

– Jeśli nie zamierza pan, inspektorze, oskarżyć mojego klienta o przestępstwo – kontynuował Carstairs – to sądzę, że już najwyższy czas zabrać stąd tych swoich zbirów.

Nadinspektor miał właśnie wydać rozkaz opuszczenia rezydencji, gdy Guy wystąpił do przodu.

– A kogo my tu mamy? – zdziwił się Carstairs, nie odrywając wzroku od stojącego przed jego klientem młodego posterunkowego o łagodnej twarz. – Czy przypadkiem to pan jest aspirantem od zatrzymań?

– Owszem – odpowiedział Guy.

Manners wybuchnął śmiechem, a prawnik z pogardą zwrócił się do Guya:

– Proszę wybaczyć, że ośmielę się zapytać o zarzut.

– Posiadanie skradzionych dóbr.

– Rozumiem, że potrafi pan uzasadnić swoje niedorzeczne oskarżenie – powiedział, nie próbując nawet ukryć lekceważenia.

– Bez najmniejszych wątpliwości – zapewnił Guy i ruszył po schodach, obserwowany przez podenerwowanych kolegów. Zatrzymał się w połowie drogi, zdjął ze ściany obraz olejny i wrócił z nim do holu.

– Rozpoznaje pan ten obraz, panie Manners? – zapytał Guy i wysunął go przed siebie.

Manners stał bez słowa i patrzył na swego adwokata.

– To Cézanne – wyjaśnił Guy. – Dzieło jednego z najbardziej wpływowych artystów początku dwudziestego wieku. – Przerwał i podziwiał obraz. – Nie był sygnowany ani opatrzony datą, ponieważ artysta uważał *Widok na Auvers-sur-Oise* za niedokończony. Najciekawsze jest to, że obraz został skradziony z Muzeum Ashmole’a w Oksfordzie w noc poprzedzającą przełom tysiąclecia. – Odwrócił się teraz do prawnika. – Zastanawiam się, czy potrafi pan określić jego wartość.

Carstairs nie odpowiedział.

– W Domu Aukcyjnym Sotheby’s wyceniono go na nieco ponad trzy miliony, ale prawdopodobnie jest to ostrożny szacunek, przynajmniej w opinii sir Nicholasa Seroty, dyrektora Tate, który uznał ten obraz za skarb narodowy.

Nadinspektor skinął głową i na ten znak obaj inspektorzy wysunęli się do przodu, zakuli Mannersa w kajdanki, poinformowali go

o przysługujących mu prawach i wyprowadzili do czekającego na zewnątrz wozu. Guy niechętnie przekazał obraz głównemu nadinspektorowi.

W drodze do furgonetki inspektor Hendry dogonił Guya.

– Policjant nigdy nie zapomina swego pierwszego aresztanta – powiedział. – Tak jak się nigdy nie zapomina swojej pierwszej dziewczyny.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]

DŻENTELMEN I UCZONA [1]

Ostatni raz weszła do sali wykładowej. Zebrani w niej pracownicy i studenci wydziału wstali i przywitali ją oklaskami. Zmierzając po schodach i dalej do katedry, starała się nie zdradzać wzruszenia takim serdecznym powitaniem. Czekała, aż wszyscy usiądą, i dopiero gdy zajęli miejsca, rozpoczęła swój pożegnalny wykład.

Opanowała się i objęła spojrzeniem audytorium. Sala wykładowa, w której mieściło się trzysta osób, rzadko bywała tak pełna jak teraz. Zebrało się w niej liczne grono profesorów, wykładowców i studentów, których uczyła przez czterdzieści lat. Niektórzy siedzieli na schodach po obu stronach amfiteatralnej auli, a wiele osób stało ciasno, jedna przy drugiej, w jej tylnej części.

Sporo przyjechało z różnych zakątków kraju, by usiąść u jej stóp i towarzyszyć swojej wykładowczyni w ostatniej odsłonie imponującej kariery. Niemniej jednak profesor Burbage, patrząc na zebranych, nie mogła pozbyć się myśli, że nie zawsze się cieszyła takim przyjęciem.

* * *

Margaret Alice Burbage studiowała literaturę angielską w Radcliffe w amerykańskim Cambridge, zanim wyruszyła w podróż statkiem za ocean, by spędzić kilka lat w innym Cambridge. Tam uzyskała doktorat z wczesnych sonetów Williama Szekspira. Otrzymała propozycję pozostania w Cambridge na stanowisku asystenta w Girton, ale jej nie przyjęła, ponieważ chciała wrócić do ojczyzny i jak apostołowie głoszący Ewangelię, szerzyć naukę o bardzie ze Stratford-upon-Avon wśród swoich rodaków.

Wprawdzie na znacznym obszarze Ameryki Północnej zwiększenie udziału kobiet w życiu publicznym stało się faktem, to jednak w dalszym ciągu władze kilku wyższych uczelni nie potrafiły przyjąć do wiadomości, że kobieta może jakąkolwiek wiedzę przekazać mężczyźnie. Do najbardziej zagorzałych wyznawców tych skostniałych poglądów zaliczały się

uniwersytety Yale i Princeton, których podwoje zamknięte były dla kobiet do 1969 roku.

W 1970 doktor Burbage złożyła podanie o przyjęcie na stanowisko adiunkta w Yale, ale po rozmowie z komisją kwalifikacyjną w całkowicie męskim składzie powiedziała matce, że szanse na zatrudnienie są znikome. I rzeczywiście była przygotowana na powrót do Amersham, gdzie z radością uczyłaby angielskiego w miejscowej szkole dla dziewcząt, którą sama ukończyła. Jednak ku zaskoczeniu wszystkich, oprócz członków komisji kwalifikacyjnej, otrzymała to stanowisko, aczkolwiek z wynagrodzeniem o jedną trzecią niższym od przyznawanego wykładowcom płci męskiej.

W uniwersyteckich krużgankach szeptem zadawano sobie pytania, gdzie nowa koleżanka będzie załatwiać swoje potrzeby, kto będzie ją zastępował w czasie miesiączki, a nawet kto będzie siedział obok niej w stołówce.

Kilku absolwentów nie kryło swoich poglądów w tej sprawie przed rektorem Yale, niektórzy nawet przenieśli swoje dzieci na inne uniwersytety, w obawie przed wypaczeniem, a jeszcze inni, bardziej aktywni, już szykowali plan wydalenia Burbage z uczelni.

Gdy pani doktor weszła do tej samej sali mniej więcej czterdzieści dwa lata wcześniej na swój pierwszy wykład, jej tłumnie zgromadzeni przeciwnicy byli już na pozycjach, gotowi do starcia. Powitana grobową ciszą, zmierzała po schodach do tej samej katedry. Spojrzała na stu dziewięciu studentów, którzy zasiedli w amfiteatralnej sali i obserwowali ją jak lwy zabłąkanego chrześcijanina.

Doktor Burbage otworzyła notatnik i rozpoczęła wykład.

– Panowie – zwróciła się do zebranych, ponieważ w sali poza nią nie było ani jednej kobiety – nazywam się Margaret Burbage i w tym semestrze poprowadzę dwanaście wykładów na temat kanonu szekspirowskiego.

– Tylko czy on w ogóle napisał jakieś sztuki? – padło pytanie z sali, a jego autor nie zamierzał się ujawnić.

Przesunęła wzrokiem po rzędach, ale nie potrafiła wyłowić tego, który je zadał.

– Nie ma jednoznacznego dowodu, że te sztuki napisał ktoś inny – odpowiedziała, odsuwając na bok przygotowane notatki. – W istocie…

– A Marlowe? – rozległ się inny głos.

– Christopher Marlowe był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych dramatopisarzy tego okresu, ale w 1593 roku zginął w bójce w barze,

a zatem…

– Czego to dowodzi? – zabrzmiał kolejny głos.

– Że nie mógł napisać *Ryszarda II*, *Romea i Julii*, *Hamleta* ani *Wieczoru Trzech Króli*, ponieważ te dzieła powstały po jego śmierci.

– Niektórzy twierdzą, że Marlowe nie zginął, ale by uciec przed prawem, zamieszkał we Francji, gdzie napisał te dramaty, wysłał je do Anglii i pozwolił swojemu przyjacielowi Szekspirowi sobie przypisać ich autorstwo.

– Właściwym miejscem dla tych, którzy snują teorie spiskowe o lądowaniu na Księżycu, jest studio telewizyjne gdzieś daleko w Nebrasce.

– To samo można powiedzieć hrabim Oksfordu. – Następny głos.

– Edward de Vere, siedemnasty hrabia Oksfordu, był niewątpliwie dobrze wykształconym i utalentowanym uczonym, ale niestety zmarł w 1604 roku, czyli nie mógł napisać *Otella*, *Makbeta*, *Koriolana* ani *Króla Leara*, uznawanego za największe dzieło Szekspira.

– Chyba że de Vere zrobił to przed śmiercią. – Ten sam głos.

– Trudno znaleźć wielu dramatopisarzy, którzy tworzą dziewięć arcydzieł, a potem chowają je w dolnej szufladzie, skazując na zmarnowanie, i przez zapomnienie nikomu o nich nie mówią, ani ówczesnym wydawcom, ani właścicielom teatrów, ani nawet Edwardowi Parsonsowi, który, jak wiemy, zapłacił Szekspirowi sześć funtów za *Hamleta*; mamy na to dowód – pokwitowanie, które znajduje się w Muzeum Brytyjskim.

– Henry James, Mark Twain i Sigmund Freud nie podzieliliby pani zdania. – Jeszcze inny głos.

– Ani Orson Welles, Charlie Chaplin czy Marilyn Monroe – odpowiedziała doktor Burbage. – I być może, co wydaje się bardziej interesujące, wszyscy oni mieliby rozbieżne opinie.

Jeden ze studentów łaskawie się roześmiał.

– Czy można tak łatwo wykluczyć Francisa Bacona? Przecież urodził się przed Szekspirem i zmarł po nim, więc przynajmniej daty się zgadzają.

– I tylko one – zauważyła doktor Burbage. – Owszem, przyznaję, że Bacon bezsprzecznie był prawdziwym człowiekiem renesansu. Dziś nazwalibyśmy go człowiekiem wszechstronnym. To utalentowany pisarz, zdolny prawnik i błyskotliwy filozof, który za panowania króla Jakuba I został lordem kanclerzem Anglii. Mimo to Bacon z jednym sobie nie

poradził przez całe swoje twórcze życie, a mianowicie nie zdołał napisać dramatu, a co dopiero mówić o trzydziestu siedmiu.

– Jak pani wobec tego wyjaśni, że Szekspir, który porzucił szkołę w wieku czternastu lat i słabo znał łacinę, jakimś cudem napisał *Hamleta*, nie będąc nawet ani razu w Danii? Nie wspomnę już o kilku sztukach, których akcja toczy się we Włoszech. On przecież nigdy nie wytknął nosa poza Anglię.

– Tylko pięć sztuk Szekspira rozgrywa się we Włoszech – powiedziała, zadając pierwszy cios. – Co więcej, badacze są zgodni, że ani Marlowe, ani de Vere, ani nawet Bacon również nigdy nie odwiedzili Danii – wyjaśniła. Wydawało się, że zapędziła swoich krnąbrnych studentów w kozi róg, więc miała okazję dodać coś jeszcze. – Niemniej wybitny satyryk, Jonathan Swift, który urodził się zaledwie pięćdziesiąt lat po śmierci Szekspira, o wiele lepiej niż ja ujął ten temat:

> *Kiedy na świecie zjawia się prawdziwy geniusz, poznać go po tym, że wszystkie tępaki sprzysięgają się przeciw niemu* [2].

Tym zdaniem udało się jej uciszyć studentów, więc poczuła, że wygrała pierwszą potyczkę, choć przypuszczała, że po tamtej stronie następuje przegrupowanie sił przed następnym frontalnym atakiem.

– Jak ważna jest dobra znajomość tekstu? – padło pytanie, którego autor przynajmniej zdobył się na uprzejmość, by podnieść rękę, więc mogła go zobaczyć.

– Niezwykle ważna – odpowiedziała doktor Burbage. – Choć nie ważniejsza od umiejętności interpretowania znaczenia słów, dzięki której można lepiej zrozumieć tekst.

Uznała bój za skończony i powróciła do swoich notatek.

– W trakcie tego semestru będę od was wymagać przeczytania jednej sztuki historycznej, komedii i tragedii oraz co najmniej dziesięciu sonetów. Wybór dzieł należy do was, ale oczekuję, że pod koniec semestru będziecie potrafili zacytować obszerne fragmenty z dramatów i sonetów, które przeczytacie.

– Gdybyśmy teraz wybrali dowolną sztukę i którykolwiek z sonetów, pani również potrafiłaby zacytować obszerny fragment z całego kanonu? – ponownie rozległ się pierwszy głos.

Doktor Burbage spojrzała na nazwiska studentów na planie miejsc sali i zlokalizowała pana Roberta Lowella, którego dziadek był kiedyś rektorem Yale.

– Uważam się za osobę zaznajomioną z dziełami Szekspira, ale podobnie jak pan, panie Lowell, wciąż się uczę – powiedziała, mając nadzieję, że to go zniechęci do dalszych zaczepek.

Lowell natychmiast wstał. Najwyraźniej to on przewodził grupie rebeliantów.

– W takim razie może pozwoli pani, że przekonam się o wiarygodności tej deklaracji, pani doktor.

Zanim zdążyła powiedzieć młodzieńcowi, żeby usiadł i przestał się popisywać, Lowell dodał:

– Zaczniemy od czegoś łatwego, dobrze?

Święto się skończyło.
Aktorzy moi, jak ci powiedziałem,
Były to duchy; na moje rozkazy
Na wiatr się lekki wszystkie rozpłynęły.
Jak bezpodstawna widzeń tych budowa,
Jasne pałace i wieże w chmur wieńcu,
Święte kościoły, wielka ziemi kula… [3]

Doktor Burbage była pod wrażeniem, że ani razu nie spojrzał w tekst, więc wyświadczyła mu uprzejmość i podjęła wyzwanie. Zaczęła od miejsca, w którym skończył:

– Tak wszystko kiedyś na nic się rozpłynie,
Jednego pyłku na ślad nie zostawi,
Jak moich duchów powietrzne zjawisko.
Sen i my z jednych złożeni pierwiastków… [4].

Nie więcej niż dwóch studentów ruchem głowy potwierdziło poprawność jej odpowiedzi, gdy na zakończenie dodała: *Burza*, akt czwarty, scena pierwsza. Ale Lowell miał rację, mówiąc, że zaczął od czegoś łatwego. Przywódca usiadł, ale oddał głos swemu przybocznemu, który sprawiał wrażenie równie dobrze przygotowanego.

– Miej zawżdy ucho otworem, ale rzadko kiedy
Otwieraj usta. Chwytaj zdania drugich,
Ale sąd własny zatrzymuj przy sobie.
Noś się kosztownie, o ile ci na to
Mieszek pozwoli, ale bez przesady;
Wytwornie, ale nie wybrednie; często
Bowiem ubranie zdradza grunt człowieka… [5]

wyrecytował, nie spuszczając z niej wzroku, ale nawet nie drgnęła.

– I pod tym względem Francuzi szczególniej
Są pełni taktu. Nie pożyczaj drugim
Ani od drugich; bo pożyczkę daną
Tracim najczęściej razem z przyjacielem,
A braną psujem rząd potrzebny w domu.
Słowem, rzetelnym bądź sam względem siebie,
A jako po dniu noc z porządku idzie,
Tak za tym pójdzie, że i względem drugich
Będziesz rzetelnym [6].

Hamlet, akt pierwszy, scena trzecia – zakończyła.

Było dla niej oczywiste, że buntownicy, których szeregi topniały, nie tylko śledzili słowo po słowie w otwartych książkach, ale potem przerzucali kilka stron, bo doskonale znali miejsce, z którego będzie pochodziła kolejna kanonada. I chociaż następny żołnierz piechoty został odstrzelony, to jego miejsce ochoczo zajmował inny śmiałek. Ale ten, który wystąpił po swoim poprzedniku, wyglądał tak, jakby u siebie czuł się nie w sali wykładowej, ale na boisku futbolowym, i cytowany fragment czytał z książki.

– Anglii za grosz siedm półgroszowych kukiełek; kwartowa miara będzie mierzyła garniec, a wedle praw moich, gardłem odpowie, kto się odważy pić półpiwek. Całe królestwo będzie wspólną wszystkich własnością, a na Cheapside będzie się pasł mój rumak [7].

Doktor Burbage musiała się zastanowić, gdyż *Króla Henryka VI* czytała dość dawno temu. Zawahała się na chwilę. Oczy wszystkich były skierowane na nią, a na twarzy pana Lowella pojawił się błysk triumfu.

– Skoro zostanę królem — a królem zostanę — w mojem królestwie nie będzie pieniędzy; wszyscy będą jedli i pili na mój rachunek; wszystkich ustroję w jedną barwę, aby wszyscy żyli zgodnie jak bracia, a czcili mnie, swojego pana [8].

Henryk VI, część druga… – Nie pamiętała numeru aktu ani sceny, więc żeby się nie zdradzić, od razu zapytała: – Mogę pana poprosić o następny wers?

Młody człowiek zbladł i najwyraźniej bardzo chciał usiąść.

– *Na początek* – podjęła sama – *zabijmy wszystkich prawników* [9].

Jej odpowiedź powitano śmiechem i oklaskami, a śmiałek osunął się na miejsce. Jeszcze się jednak nie poddali, bo inny żołnierz piechoty natychmiast go zastąpił.

– Tak więc nam słońce Yorku zamieniło
Zimę niesnasek w promieniste lato… [10]

– Za łatwo panu poszło, proszę dalej – powiedziała.

Wtedy następny bohater stanął do boju po poległych w starciu towarzyszach. Doktor Burbage wystarczyło jedno spojrzenie na tego młodego mężczyznę i od razu wiedziała, że będzie miała kłopoty. Widać było, że na polu walki czuje się jak ryba w wodzie, gotowy do ataku, trzyma bagnet w dłoni. Mówił cicho, z pamięci, nie wspomagając się tekstem:

– Zburzyć hierarchię, rozstroić tę stronę,
To słuch narazić na bezładny jazgot.
Każda rzecz wtedy popadnie w… [11]

Nie pamiętała sztuki, z której pochodziły te słowa, więc z całą pewnością nie mogła podjąć wyzwania, ale student popełnił błąd, który postanowiła wykorzystać i się uratować.

– Niewłaściwe słowo – powiedziała zdecydowanie. – Nie stronę, tylko strunę. A co jest dalej? – zapytała z przekonaniem, dając do zrozumienia, że bez wątpienia potrafi wyrecytować kolejne cztery wersy. Będzie musiała przeczytać tę scenę, gdy wróci do swego bezpiecznego pokoju.

Doktor Burbage nie odrywała wzroku od rozgromionej armii w odwrocie, ale ich dowódca nie chciał się poddać. Lowell stał wśród pokonanych, nieustraszony i nieugięty. Czuła, że pozostał mu już tylko jeden pocisk.

– Mężny wojownik, bitwami wsławiony,
Zwycięstw tysiącem, gdy raz jest pobity… [12]

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Z ksiąg jest zaszczytnych cale wykreślony,
I zapomniany trudów plon obfity.
Szczęśliwy los mój: kocham i kochany,
Strącić nie mogę, nie strącą mnie zmiany [13].

Może mi pan podać numer sonetu? – dodała.

Lowell stał jak straceniec przed plutonem egzekucyjnym, gdy jego pokonani towarzysze patrzyli z rozpaczą. Ale w chwili zwycięstwa Margaret Alice Burbage dała upust swej dumie.

– *Rzuciłabym panu wyzwanie do bitwy na rozum*, panie Lowell. *Ale widzę, że jest pan bez broni* [14].

Na sali rozległy się gromki śmiech i oklaski.

* * *

Profesor powiodła oczami po swoim audytorium.

– Pozwólcie, że na koniec podzielę się z wami jedną myślą – powiedziała. – Misją mojego życia jest zapoznawanie młodych ludzi o twórczych i wrażliwych umysłach z największym poetą i dramaturgiem wszech czasów. W wieku dojrzałym uświadomiłam sobie jednak, że William był również najwspanialszym gawędziarzem, i w moim pożegnalnym wykładzie postaram się o tym państwu opowiedzieć.

Gdybyśmy wszyscy wybrali się z wizytą do Londynu w 1595 roku, ja byłabym ladacznicą albo damą dworu – te role nierzadko się pokrywały… – Profesor Burbage musiała zaczekać, aż rozbawiona widownia się uciszy, zanim podjęła wątek. – Zabrałabym państwa do teatru Globe w Cheapside na przedstawienie Trupy Lorda Szambelana i za jednego pensa moglibyśmy

zająć miejsca wśród tysiąca widzów z pospólstwa, którzy przybyli obejrzeć mojego wielkiego przodka Richarda Burbage'a w roli Romea. Oczywiście, że bylibyśmy zadziwieni poezją, zachwyciłyby nas te strofy, ale przypuszczam, że opowieść trzymałaby państwa w napięciu, bo wszyscy czekali, by się dowiedzieć, jak się potoczą losy naszego bohatera i jego Julii. Który współczesny dramaturg odważyłby się otruć bohaterkę, a potem przywrócić ją do życia tylko po to, żeby się dowiedziała, że jej kochanek przekonany, że umarła, odebrał sobie życie, a ona, nie chcąc żyć dłużej, sama postanawia pchnąć się nożem? Oczywiście wszyscy znamy historię Romea i Julii, ale jeśli są wśród was tacy, którzy nie czytali wszystkich trzydziestu siedmiu sztuk ani ich nie oglądali na scenie, to teraz nadarza się niepowtarzalna okazja, żeby sprawdzić, czy mam rację. Pominę jednak komedię *Dwóch szlachetnych krewnych*, ponieważ nie jestem do końca przekonana, że wyszła spod pióra Szekspira.

Spojrzała na zauroczoną publiczność i odczekała chwilę, by ją odczarować.

– Jestem gotowa sformułować tezę, że gdyby Szekspir żył obecnie, producenci z Hollywood próbowaliby wymusić na nim szczęśliwe zakończenie *Romea i Julii*. Wyobraźcie sobie scenę z obojgiem kochanków, w których wcieliły się gwiazdy kina, stojących w objęciach na dziobie *Złotej Łani* Drake'a i wpatrzonych w zachód słońca.

Minęło trochę czasu, zanim śmiech i aplauz ucichły i mogła kontynuować.

– Pozwolę sobie w tym miejscu nawiązać do politycznej poprawności „New York Timesa" i zapytać: co na łamach tego dziennika napisano by o seksie czternastoletniego chłopca z trzynastoletnią dziewczynką w którymś z teatrów na Broadwayu?

Profesor odczekała, aż ustaną brawa, i odwróciła ostatnią kartkę notatek.

– Panie i panowie, mimo że jest to mój pożegnalny wykład, nie unikniecie testu czarownicy Burbage, który służy do wyłaniania spośród wielu uczonego z prawdziwego zdarzenia. – Po sali przeszedł głośny pomruk, który zignorowała. – Teraz przeczytam dwuwiersz z jednej ze sztuk Szekspira i mam nadzieję, że najbardziej błyskotliwy z was dopowie kolejne trzy wersy. – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do zebranych. W ich oczach dostrzegła zaniepokojenie. –

Czas, jak pan domu, wciąż żądny nowości,
Zdawkowo żegna tych, którzy odchodzą… [15] *– zaczęła.*

Nastała cisza, a profesor Burbage przez moment cieszyła się myślą, że podczas swego ostatniego wykładu pokonała młodych i starszych, do czasu aż wysoki, wyróżniający się wyglądem dżentelmen powoli podniósł się z miejsca. Margaret, chociaż nie widziała go od ponad czterdziestu lat, doskonale wiedziała, kim jest. Teraz miał szczupłą twarz, siwe włosy. Stracił rękę podczas niedawnej wojny. Swoim okaleczeniem przypomniał, że nie zalicza się do tych, którzy ustępują pola wrogowi.

– Rozpostartymi zaś rękoma wita, Jakby chciał wzlecieć — swoich nowych gości. Gdyż powitanie całe jest w uśmiechach, A pożegnanie mija jak westchnienie… [16] *–*

dokończył głosem, którego nie mogłaby nigdy zapomnieć.
– Z którego dzieła pochodzi? – zapytała.
– *Trojlus i Kressyda* – odparł bez wahania.
– Dobrze. I pytanie dodatkowe: z którego aktu i sceny?
Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:
– Akt trzeci, scena druga.
Numer aktu podał prawidłowo, ale sceny błędnie. Mimo to profesor Burbage tylko się uśmiechnęła.
– Właściwa odpowiedź, panie Lowell – potwierdziła.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]
2. Wikipedia, https://pl.wikiquote.org/wiki/Jonathan_Swift (wszystkie przypisy tłumaczki). [wróć]
3. Cyt. za: *Burza*, przeł. Leon Ulrich, Gebethner i Sp., Kraków 1895, Fundacja Nowoczesna Polska, https:/wolnelektury.pl/katalog/lektura/burza/. [wróć]
4. Tamże. [wróć]
5. Cytat za: *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa 2008, https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hamlet.html. [wróć]
6. Tamże. [wróć]
7. Cyt. za: *Król Henryk VI*, przeł. Leon Ulrich, Gebethner i Wolff, Kraków 1895, https://pl.wikisource.org/wiki/Dzie%C5%82a_dramatyczne_Williama_Shakespeare/Tom_II. [wróć]
8. Tamże. [wróć]
9. Tamże. [wróć]
10. Cyt. za: *Król Ryszard III*, przeł. Józef Paszkowski, Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla, Złoczów 1924, https://pl.wikisource.org/wiki/Kr%C3%B3l_Ryszard_III. [wróć]
11. Cyt. za: *Trojlus i Kressyda*, przeł. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski, Tower Press 2000, Gdańsk 2000, biblioteka.kijowski.pl/shakespeare.william/_trojlusikressyda.pdf. [wróć]
12. Cyt. za: *Sonet XXV*, przeł. Maria Sułkowska, Gebethner i Wolff, Kraków 1913, [https://pl.wikisource.org/Sonety*(Shakespeare_1913)XXV]*
(https://pl.wikisource.org/Sonety(Shakespeare_1913)XXV). [wróć]
13. Tamże. [wróć]
14. Słowa przypisywane Szekspirowi. [wróć]
15. *Trojlus i Kressyda*, op. cit. [wróć]
16. Tamże. [wróć]

W MIŁOŚCI I NA WOJNIE WSZYSTKO JEST DOZWOLONE

Ralph – Raif, bo tak wymawiano jego imię – Dudley Dawson dziedzicem w niewielkiej osadzie Nethercote został po śmierci swego ojca. Jej mieszkańcy tak nazywali starszego pana Dawsona, ponieważ więc przejął po nim majątek ziemski Nethercote Hall – ponad czterysta hektarów ziemi rolnej i dziesięć tysięcy owiec – uznał, że powinien być traktowany z takim samym szacunkiem jak jego przodkowie. Całkowicie przekonany o prawie przysługującym mu z tytułu urodzenia, Ralph nie otwierał żadnych listów, które nie były zaadresowane do Wielmożnego Pana Ralpha Dudleya Dawsona.

Przyjaciele Ralpha, których miał niewielu, byli albo od niego zamożniejsi, albo znajdowali się w księdze wydawanej przez Debrett’s Ltd, więc on sam, podobnie jak członkowie rodziny królewskiej, za swoją powinność uważał ożenek z osobą wywodzącą się z jego klasy społecznej, a nawet z wyższej. Ostatecznie Ralph był dobrą partią.

Jedyny problem Ralpha polegał na tym, że w głębi Kornwalii nie mieszkało wiele młodych kobiet, które spełniałyby jego oczekiwania. Wprawdzie przedstawiciel Korony w ich hrabstwie, sir Miles Seymour, miał trzy córki: urodziwą Arabellę, czarującą Charlotte i Clare, która nie odznaczała się żadną z tych cech, ale z nieznanych powodów wszystkie trzy odrzuciły starania Ralpha. Córka pastora, Maud, była dość sympatyczną dziewczyną, ale szczerze mówiąc, nie miał ochoty zabiegać o jej względy. Poza tym wybierała się na studia do Lady Margaret Hall, a to miejsce Ralph uważał za klasztor.

Kiedy skończył czterdzieści lat, stwierdził, że będzie musiał rozszerzyć zasięg poszukiwań, jeżeli ma znaleźć godną siebie kandydatkę na żonę, a w każdym razie był o tym przekonany do czasu, aż wpadła mu w oko Beth Trevelyan.

Został zaproszony na pływacką galę, podczas której jako dziedzic Nethercote miał wręczać nagrody laureatom zawodów. Tamtego dnia spojrzał na Beth, która wynurzyła się z wody, i nie mógł oderwać od niej wzroku. Patrzył na zjawiskową zawodniczkę, gdy zdejmowała czepek, spod

którego na jej ramiona wysypały się gęste, złociste loki, dopełniające obraz kobiecego ideału przyciągającego spojrzenia wszystkich młodych mężczyzn i wielu starszych.

Ralph był zdecydowany umieścić Beth na liście swoich licznych zdobyczy, ale ona przechodząc obok stołu sędziowskiego, nie spojrzała na niego po raz drugi. Być może trzyczęściowy tweedowy garnitur, brązowe, zamszowe półbuty i zegarek w myśliwskim stylu dodawały mu lat. Kręcił się koło basenu, mając nadzieję na rozmowę z boginią, ale kiedy wreszcie Beth się pojawiła, ubrana w prostą, żółtą sukienkę i z kokardą we włosach, szła pod rękę z jasnowłosym, przystojnym młodzieńcem. Ralph odniósł wrażenie, że go zna, ale nie potrafił skojarzyć skąd. Niedługo jednak musiał się zastanawiać, by sobie uświadomić, że jest nim Jamie Carrigan, który dzierżawił od Ralpha około szesnastu hektarów ziemi uprawnej i mieszkał w jednym z wiejskich domów na jego posiadłości. Wkrótce okazało się, że Beth jest córką miejscowego gospodarza pubu, który prowadził Nethercote Arms, również należący do Ralpha, ale ten nigdy tam nie zaglądał.

Przed rekonesansem Ralph nie wiedział, że młody hodowca owiec poprosił ojca Beth o rękę córki. Pan Trevelyan nie tylko zgodził się na ich związek, ale też zaproponował, że przyjęcie weselne zorganizuje im u siebie w pubie.

Pomimo niepomyślnego obrotu sprawy Ralph uznał, że gdy Beth dowie się o jego zainteresowaniu, nie zdoła się oprzeć urokom nowego adoratora, tak zresztą jak przed nią kilka innych wiejskich dziewcząt. Niestety na Beth nie wywarł wrażenia. Wysłał jej zaproszenie na herbatę do Nethercote Hall, ale nie zareagowała na nie. Ta młoda kobieta wyraźnie nie znała swego miejsca.

Upływał tydzień po tygodniu i kolejne propozycje wspólnego wyjścia na herbatę, lampkę wina, a nawet wyjazdu do Londynu spotykały się z odmową, a Ralph nie potrafił zrozumieć zachowania Beth, nie tylko dlatego, że nie miał w zwyczaju godzić się z odtrąceniem. Bliski rozpaczy postanowił zaproponować jej wyprawę do Paryża na weekend, ale znowu został odprawiony. Mijały już nie tygodnie, lecz miesiące i nic się nie zmieniło. Żaden jego pomysł nie spotkał się z jej zainteresowaniem, a każda odmowa tylko wzbudzała u Ralpha większą determinację do zdobycia pięknej Kornwalijki. W końcu nie potrafił dłużej znosić tej sytuacji. Niezapowiedziany zjawił się w Nethercote Arms i poprosił gospodarza o rękę jego córki. Pan Trevelyan milczał do czasu, aż Ralph

posłużył się wybiegiem, który – był przekonany – miał pomóc przypieczętować umowę. Oczywiście Ralph nie zamierzał żenić się z dziewczyną, ale był gotów na wszystko, by się przekonać, jak to będzie odsłaniać jej siedem zasłon. Beth jednak nie była Salome i znała już mężczyznę, z którym zamierzała spędzić życie, a zdecydowanie nie był nim wielmożny pan Ralph Dudley Dawson.

Mimo że ojciec udzielił Beth i Jamiemu błogosławieństwa, ani ona, ani jej narzeczony nie brali pod uwagę jej matki, która, jak każda szanująca się barmanka, gdy tylko wyczuła okazję, umiała ją wykorzystać. Pani Trevelyan, usłyszawszy wiadomość o zainteresowaniu dziedzica jej córką, nie zmarnowała ani chwili, próbując przekonywać, namawiać, a nawet zastraszać Beth. Jednym słowem zmusić córkę, by przyjęła oświadczyny dziedzica. Beth jednak opierała się tym naciskom, aż się zorientowała, że jest w ciąży.

Kiedy powiedziała rodzicom, kim jest ojciec dziecka, matka od razu przypomniała jej, że Jamie Carrigan to pasterz bez grosza, który dzierżawi około szesnastu hektarów ziemi i mieszka w niewielkim domu na posiadłości bogatego mężczyzny, który chce się z nią ożenić. Beth trwała w swoim postanowieniu wyjścia za mąż za ukochanego do czasu, gdy dziedzic zapowiedział, że nie przedłuży Jamiemu umowy o pięcioletnią dzierżawę ziemi. Zagroził też, że znajdzie innego gospodarza pubu Nethercote Arms na miejsce pana Trevelyana, jeśli jego córka nie przyjmie oświadczyn.

Naprędce zaaranżowane małżeństwo – Ralph nie mógł czekać ani chwili dłużej – zostało zawarte w urzędzie stanu cywilnego w Truro, a przyjęcie weselne z udziałem wysoko postawionych gości odbyło się nie w Nethercote Hall, lecz w Nethercote Arms dla wąskiego grona wybranych, ponieważ Ralph nie chciał, żeby jego przyjaciele dowiedzieli się, że ożenił się z dziewczyną z nizin społecznych.

* * *

Państwo Dudley Dawson spędzili miesiąc miodowy na Rodos, ponieważ szanse na spotkanie tam kogoś znajomego były niewielkie. Kiedy Ralph przyglądał się swojej żonie, która w jego obecności rozbierała się po raz pierwszy, był zachwycony jej figurą jak z obrazów Botticellego. Beth prezentowała się bowiem jeszcze bardziej zmysłowo, niż sobie wyobrażał.

W czasie miłosnego aktu, do którego w końcu doszło, był zawiedziony brakiem entuzjazmu z jej strony i uznał, że powodem jest dziewicza nieśmiałość. Pocieszał się, że z czasem Beth zacznie czerpać przyjemność z jego specyficznych erotycznych fantazji.

Wkrótce po powrocie nowożeńców do Nethercote Beth oznajmiła, że jest w ciąży. Ralph nie był zaskoczony, bo ostatecznie przez cały miesiąc miodowy kochali się niemal nieprzerwanie. Pięć razy na dobę, Ralph chwalił się przyjaciołom, nie zdając sobie sprawy, że Beth wyłącznie wykonuje polecenia matki.

Siedem miesięcy później na świat przyszedł Rupert Dudley Dawson – takie w każdym razie imię i nazwisko dziecka widniało w akcie urodzenia. Ralpha nie zdziwił przedwczesny poród, ale wyraził rozczarowanie, że mały Rupert nie odziedziczył po nim ani rudych włosów charakterystycznych dla Dudleyów Dawsonów, ani wydatnego nosa. Zapewnił przyjaciół, że narodziny nastąpiły we właściwym czasie, ponieważ uważał, że jego rodzinie, podobnie jak królewskiej, potrzebny jest spadkobierca i następca, który zapewni ciągłość rodu. Ta zwykła opowieść mogła nie wyjść poza ramy smutnego losu nieszczęśliwej kobiety i apodyktycznego, aroganckiego mężczyzny, gdyby 1 września 1939 roku Niemcy nie wkroczyli do Polski.

* * *

Młody Jamie Carrigan był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się do najbliższego biura rekrutacyjnego do służby dla króla i ojczyzny w Lekkiej Piechocie Księcia Kornwalii. Stracił bowiem swoją prawdziwą miłość i szukał honorowej śmierci.

Ralph natomiast nie zamierzał wstępować w wojskowe szeregi, a ponieważ miał czterdzieści lat – zaledwie – był zwolniony z obowiązku służby. Gdy Jamie wyruszył walczyć z wrogami króla, Ralph korzystał na gwałtownym zapotrzebowaniu rządu na żywność dla żołnierzy, które przysporzyło mu bogactwa. Jego małżeństwo natomiast chyliło się ku upadkowi.

Minął zaledwie rok od ślubu, gdy dziedzic zaczął się rozglądać na boki, a ponieważ wielu rodaków wysłano na wojnę, wybór kobiet, na których można by zatrzymać oko, był spory. Powiedział swoim znajomym, że mimo niekwestionowanej urody Beth mężczyzna potrzebuje odmiany. Kawior jest

bardzo dobry, oświadczył, ale od czasu do czasu warto skonsumować rybę z frytkami.

Wkrótce zaczął ignorować żonę, a jedyną radością Beth był mały Rupert, który ku jej zaniepokojeniu z czasem coraz bardziej upodabniał się do Jamiego. Każdej nocy padała na kolana i modliła się, by jej dawny kochanek przeżył wojnę i bezpiecznie powrócił do domu. Jedyne wieści o nim, które do niej docierały, pochodziły od żołnierzy powracających z frontu, a ci na wspomnienie nazwiska Jamiego powtarzali te same słowa: odważny, nieustraszony ryzykant.

Beth coraz bardziej się obawiała, że już nigdy go nie zobaczy, ale ranny na polu bitwy Jamie, tak jak wielu jego towarzyszy, został odesłany do domu, żeby tam odzyskał zdrowie. Pewnego dnia zobaczyła go po raz pierwszy od jego powrotu, idącego o kulach przez wioskę, i natychmiast uświadomiła sobie swój straszny błąd. Niedługo potem ich stłumiony romans rozpalił się na nowo.

Romans nie jest właściwym określeniem relacji, która się między nimi nawiązała podczas następnych sześciu tygodni, ponieważ w rzeczywistości była to miłość o wiele silniejsza niż wcześniej. Wystarczy nadmienić, że Beth ponownie zaszła w ciążę. Szybko zrozumiała, że musi wyznać mężowi prawdę, między innymi dlatego, że tym razem niewątpliwie się zorientuje, że dziecko, które jest w drodze, nie może być jego.

Beth zamierzała o wszystkim powiedzieć Ralphowi, gdy tylko lekarz potwierdzi jej przypuszczenia, i zrobiłaby to, gdyby po powrocie po południu do domu nie usłyszała od pokojówki nowiny, że dziedzic pojechał do Truro na niezaplanowane spotkanie ze swoim adwokatem.

Beth poczuła ulgę, ponieważ uznała, że Ralph zapewne w jakiś sposób dowiedział się o jej ciąży. Była przygotowana stawić czoło konsekwencjom, które sprowadzi na nią jego gniew. Siedziała sama w salonie i czekała na powrót męża, zdecydowana wyjawić mu prawdę. Już postanowiła, że jeśli on nie zgodzi się na rozwód, to ona wyprowadzi się z ich rezydencji i zamieszka z Jamiem w jego niewielkim domu. Po kilku godzinach Ralph wrócił, zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe i bez słowa zniknął w gabinecie.

Minęła godzina, po niej druga, a Beth siedziała samotnie, aż dłużej nie mogła tego znieść. Zebrała się na odwagę, wyszła z salonu, powoli przeszła przez hol i zapukała cicho do gabinetu Ralpha.

– Wejdź – usłyszała głos męża.

Roztrzęsiona weszła do środka, a on nawet na nią nie spojrzał, tylko podał jej list, który wyglądał na pismo urzędowe. Przeczytała go dwa razy, zanim zrozumiała, co go tak rozgniewało. Było to zarządzenie Ministerstwa Wojny z nakazem zgłoszenia się do miejscowego punktu rekrutacyjnego. Zawierało informację, że graniczny wiek powołania do służby został przedłużony z czterdziestu jeden do pięćdziesięciu jeden lat, a w związku z tym Ralph Dudley Dawson kwalifikuje się do służby wojskowej. Pozostawiono mu jedynie możliwość wyboru między siłami lądowymi, marynarką wojenną a lotnictwem. W tej sytuacji Beth stwierdziła, że nie jest to odpowiednia pora na powiadomienie męża o ciąży.

Następnego dnia Ralph wszczął awanturę z lekarzem rodzinnym, gdy ten przeklęty dziadyga odmówił wystawienia zaświadczenia, że jego pacjent z powodu płaskostopia powinien być zwolniony z obowiązku służby na wojnie. Ale Ralph nie poddał się tak łatwo. Natychmiast napisał do Ministerstwa Rolnictwa, wskazując na istotną rolę, jaką on, właściciel ziemski, odgrywa we wspomaganiu wojska przez ludność cywilną w czasie wojny. W odpowiedzi na jego list podsekretarz ministerstwa wyjaśnił jednak, że posiadanie ziemi nie kwalifikuje go do zwolnienia z obowiązku służby wojskowej.

Niezrażony tym Ralph nadal szukał powodu, którego mógłby użyć, by uniknąć wysłania na front. Wypełniał wnioski: o przyjęcie do Korpusu Wywiadowczego – odrzucony z powodu braku kwalifikacji, do Instytutu Marynarki Wojennej, Wojsk Lądowych i Lotnictwa, zrzeszenia zajmującego się aprowizacją – załatwiony odmownie z powodu zbyt dużej obsady kadrowej, do Obrony Terytorialnej – oddalony z powodu zbyt młodego wieku wnioskodawcy. Po miesiącu bezowocnych prób opóźniania wyjazdu w końcu przyjął do wiadomości, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zgłosić się do szkoły oficerskiej w Berkshire. Trzy miesiące później opuścił jednostkę szkoleniową Mons jako podporucznik Ralph Dudley Dawson Esq. i otrzymał nakaz zgłoszenia się do kwatery głównej swojego pułku w Truro po przydział i wyposażenie marszowe.

Beth cieszyłaby się z trzymiesięcznej nieobecności Ralpha, gdyby Jamie nie wyzdrowiał – za jego rany czuła się częściowo odpowiedzialna – i nie nakazano mu powrócić na front. Tym razem jednak Jamie chciał żyć.

Zanim ukochany wyjechał, Beth napisała do męża list. Poinformowała go, że będzie się domagać rozwodu, gdy tylko wojna się skończy, ale nie otrzymała odpowiedzi.

* * *

Po przyjeździe do Truro świeżo upieczony podkomendny zasugerował swojemu dowódcy, że jego szczególne umiejętności będą lepiej wykorzystane na froncie krajowym.

Pułkownik nie zdołał jednak dostrzec tych umiejętności u podporucznika Dudleya Dawsona, który otrzymał rozkaz dołączenia do piątego batalionu Lekkiej Piechoty Księcia Kornwalii w Caen. Wtedy do Ralpha po raz pierwszy los się uśmiechnął. Został oddelegowany do Kwatery Głównej Dowództwa za liniami aliantów, gdzie szybko wykazał, że jest nieoceniony, ponieważ nie zamierzał stanąć twarzą w twarz z wrogiem, jeśli tylko mógł tego uniknąć.

Podczas nieobecności męża Beth napisała do niego drugi list, na wszelki wypadek, gdyby nie otrzymał pierwszego, ale i tym razem Ralph nie odpowiedział. Uznał, że romans żony szybko się skończy, a ona na pewno się ustatkuje. Wystarczy, że pomyśli, z czego musiałaby zrezygnować.

W odległości niespełna kilometra od linii frontu znajdował się kapral Jamie Carrigan, który właśnie awansował i objął dowództwo nad własnym oddziałem. Pułk konsekwentnie przesuwał się w kierunku granicy niemieckiej, a im było do niej bliżej, tym większej Jamie nabierał pewności, że wojna już nie potrwa długo, a wtedy on wróci do Nethercote, poślubi kobietę, którą kocha, będzie w dalszym ciągu prowadził swoje skromne gospodarstwo, a Beth zajmie się wychowywaniem dzieci.

Niestety również Ralph się zastanawiał, co zrobi, gdy wojna się skończy i zostanie przeniesiony do cywila. Przede wszystkim postanowił nie przedłużać Carriganowi dzierżawy ziemi, kiedy przyjdzie czas na coroczne wznowienie umowy. Wręczy mu trzydziestodniowe wypowiedzenie, każe opuścić dom i szukać pracy gdzie indziej. Zamierzał także wycofać się z umowy z panem Trevelyanem i odmówić mu prawa ubiegania się o dzierżawę Nethercote Arms w przyszłości. W końcu żadne ustalenia nie zostały potwierdzone na piśmie. Ralph zakładał, że takie groźby z pewnością przywrócą jego żonie rozum, ale nawet jeśli się nie opamięta, to i tak on nie zamierza się z nią rozwodzić.

* * *

Dopiero po porannej odprawie z oficerami sztabu pułkownik poprosił kapitana Dudleya Dawsona o chwilę rozmowy.

– Ralph – zaczął dowódca, gdy zostali sami – pojawił się problem, który trzeba dyskretnie rozwiązać, i liczę na twoją pomoc. Straciliśmy kontakt radiowy z drugim batalionem, a muszę pilnie przekazać wiadomość ich dowódcy, że zamierzamy wyruszyć jutro o świcie. Jeżeli jej nie otrzyma, będziemy tu tkwić do czasu, aż zostanie przywrócona łączność.

– Zrozumiałem, panie pułkowniku – powiedział Dudley Dawson.

– Nie mogę udawać, że zadanie nie jest ryzykowne, i zastanawiam się, czy przychodzi ci na myśl ktoś, na kim można polegać i powierzyć mu tę niebezpieczną misję.

– Znam kogoś takiego – odparł bez wahania Dudley Dawson.

– Dobrze, wobec tego przekazuję sprawę w twoje ręce. Powiadom mnie, kiedy ten twój człowiek zamelduje się po powrocie… – Zawahał się. – Również jeżeli nie wróci.

Kapitan Dudley Dawson wyszedł z namiotu pułkownika, wsiadł do swego jeepa i kazał się zawieźć na linię frontu. Kierowca był wyraźnie zaskoczony, ponieważ Ralph jak dotąd ani razu się tam nie wybrał. Ralph po przybyciu natychmiast poinformował dowódcę Carrigana o zaplanowanej misji. Młody porucznik był zdziwiony wyborem przez pułkownika akurat tego posłańca. Dobrze pamiętał, że mistrz w biegu na przełaj również jest w jego plutonie, ale nie miał zwyczaju kwestionować rozkazów dowódcy.

Ralph z pewnej odległości obserwował, jak porucznik Jackson przekazuje Carriganowi instrukcje na temat ważnego zadania. Kilka minut później kapral wynurzył się z okopu i nie oglądając się za siebie, ruszył na ziemię niczyją.

– Jak myślisz, ile czasu zajmie mu dotarcie do drugiego batalionu? – zapytał Ralph, gdy Jackson powrócił.

– Jeśli mu się powiedzie, sir, nie więcej niż godzinę. Ale potem musi jeszcze taką samą drogę przebyć do nas.

– Miejmy nadzieję, że mu się uda – powiedział Ralph najszczerszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć.

Porucznik Jackson skinął głową.

– Niech mu Bóg dopomoże.

Ralph nie wierzył w Boga, ale postanowił zaczekać te kilka godzin, zanim przekaże pułkownikowi wiadomość, że niestety Carrigan nie wrócił,

a wobec tego trzeba będzie wstrzymać akcję.

Minęła godzina, a po Carriganie nie było śladu. Po kolejnych piętnastu minutach w dalszym ciągu nie dotarły żadne wieści. Ralph siedział skulony w okopie jeszcze przez pół godziny i dopiero wtedy pozwolił sobie na nikły uśmiech.

– Co za przeklęty los! Taki godny podziwu trud na marne! – wywnętrzał się przed porucznikiem Jacksonem, który obserwował zalesiony teren. – Trudno o większe poświęcenie ze strony Carrigana! – kontynuował Ralph, spoglądając na zegarek. – Chyba już wrócę do kwatery głównej i powiadomię pułkownika, że ruch armii trzeba będzie odwlec do czasu, aż odzyskamy łączność radiową. Do diabła, godny podziwu wyczyn – powtórzył. – Przedstawię pułkownikowi propozycję odznaczenia Carrigana Medalem Wojskowym za służbę wykraczającą poza zakres obowiązków. Przynajmniej na tyle taki bohater zasługuje. – Po tych słowach zaczął się czołgać wzdłuż okopu.

– Powodzenia, panie kapitanie – powiedział porucznik Jackson. – Zaraz, zaraz, chyba widzę kogoś w oddali!

Ralph się cofnął. Obawiał się najgorszego.

– Jest mniej więcej sto metrów od nas – dodał Jackson. – Zmierza prosto w naszą stronę.

– Gdzie? – zapytał Ralph, wychylając się z okopu i wpatrując w rozciągające się przed nimi pustkowie.

– Proszę się schować! – krzyknął porucznik, ale było już za późno i pocisk trafił wielmożnego pana kapitana Ralpha Dudleya Dawsona dokładnie w środek czoła, a jego ciało osunęło się na błotniste dno w tej samej chwili, w której Carrigan dał nura do okopu.

* * *

O świcie Lekka Piechota Księcia Kornwalii wyruszyła w kierunku Berlina, a trumna z ciałem kapitana Dudleya Dawsona została odesłana do Anglii wraz z listem kondolencyjnym od dowódcy. Pułkownik zapewniał w nim pogrążoną w żałobie wdowę, że jej mąż poświęcił życie w służbie ojczyźnie na linii frontu.

Piąty batalion Lekkiej Piechoty Księcia Kornwalii odniósł zwycięstwo w wielkiej bitwie, która rozegrała się tego samego dnia, a rok później

podczas nabożeństwa w katedrze w Truro do nazwy pułku został dodany przymiotnik „normandzki”.

Wśród zgromadzonych wiernych był też kapral Jamie Carrigan, odznaczony Medalem Wojskowym, wraz z żoną i dwójką dzieci, Rupertem i Susie. Niestety pan dziedzic Ralph Dudley Dawson nie brał pod uwagę własnej śmierci i zawczasu nie sporządził testamentu. Beth, jego żona i najbliższa mu osoba, odziedziczyła po nim posiadłość o powierzchni ponad czterystu hektarów, dziesięć tysięcy owiec, rezydencję Nethercote Hall i wszystkie inne doczesne dobra.

Jamie Carrigan nigdy nie uważał się za miejscowego dziedzica, lecz za gospodarza majątku ziemskiego i szczęściarza, bo poślubił jedyną kobietę, którą zawsze kochał.

KIEROWNIK PARKINGU [1]

Sprawy nie potoczyłyby się takim torem, gdyby wujek Bert nie zabrał go do ogrodu zoologicznego.

Joe Simpson chciał grać w piłkę nożną w klubie Manchester United. Gdy został kapitanem drużyny Barnsford Secondary Modern, był przekonany, że trzeba tylko cierpliwie zaczekać, aż główny łowczy talentów piłkarskich z Manchester United stanie przy bocznej linii boiska, żeby poznać go osobiście. Ale do dnia, w którym Joe wszedł na boisko przed ostatnim meczem sezonu, nawet trener Barnsford Rovers nie zadał sobie trudu, by przyjść i poobserwować go podczas gry. Joe, zdawszy tylko jeden egzamin w szkole średniej (z matematyki), był więc nieco zagubiony, ponieważ nie wiedział, co ma z sobą dalej począć.

– Zawsze możesz pracować razem z tatą jako dozorca parkingu samochodowego – zasugerowała mu mama. – Przynajmniej będziesz miał stałą pensję.

– Chyba żartujesz! – obruszył się Joe.

Wystarczył miesiąc i siedem rozmów kwalifikacyjnych, by sam się zorientował, że do wyboru pozostał mu albo parking należący do rady miejskiej, albo układanie towarów na półkach w miejscowym supermarkecie. Joe miał właśnie się zgłosić po zasiłek dla bezrobotnych i dołączyć do „pospólstwa” – tak ich nazywał jego ojciec, gdy zaproponowano mu pracę w sklepie spółdzielni socjalnej. Joe przetrwał dziesięć dni na stanowisku wykładacza towarów na półki, zanim pokazano mu drzwi. Musiał przyznać się mamie, że w utrzymaniu pracy nie pomogło mu zapewne niedopatrzenie polegające na ustawieniu dwustu puszek whiskasa obok kawałków wołowiny najwyższej jakości.

– Pojawił się wakat na parkingu przy Lakeside Drive – powiedział mu ojciec. – Więc jeśli chcesz, chłopcze, mogę szepnąć słowo szefowi.

– Niech już będzie – zgodził się Joe. – Popracuję tam przez kilka tygodni, a w tym czasie poszukam prawdziwej pracy.

Joe nie przyznałby się ojcu, że rola dozorcy parkingu nawet mu się podobała. Pracował na świeżym powietrzu, poznawał ludzi i ucinał sobie pogawędki z klientami, a jednocześnie zastanawiał się, jaką opłatę od nich pobrać, gdy się dowiadywał, na jak długo chcą zostawić samochód na

parkingu. Jego tata nigdy nie wpadł na ten pomysł, ale przecież on nie miał zdanego egzaminu z matematyki na poziomie szkoły średniej.

Joe szybko zaczął rozpoznawać kilku stałych bywalców i ich samochody. Jego ulubieńcem stał się pan Mason, który codziennie przyjeżdżał innym autem, czym wprawiał Joego w zdumienie. Zagadka się wyjaśniła dopiero wtedy, gdy tata powiedział mu, że pan Mason handluje używanymi samochodami i prawdopodobnie je sprawdza, bo lubi wiedzieć, co sprzedaje swoim klientom.

– Twój tata ma rację – przyznał Mason. – Ale o wiele ważniejsze jest wiedzieć, co się kupuje. Możesz kiedyś przyjść do mnie do salonu, to ci wyjaśnię, co dokładnie mam na myśli.

Kiedy Joe miał wolny dzień, postanowił skorzystać z zaproszenia pana Masona i wybrał się do salonu samochodowego. Zakochał się od pierwszego wejrzenia w ciemnozielonym jaguarze XK120, a na drugi rzut oka w księgowej szefa, dziewczynie w jaskrawoczerwonej sukience. Samochód był jednak poza zasięgiem dozorcy parkingu, tak samo jak dziewczyna. Molly Stokes nie tylko miała świadectwa szkolne z siedmiu przedmiotów, ale też skończyła kurs księgowości w Barnsford Polytechnic.

Od tamtego dnia Joe zawsze potrafił znaleźć powód, żeby odwiedzić pana Masona i pooglądać najnowsze modele samochodów, ale też porozmawiać z pierwszą dziewczyną, której nie uważał za marudną. Molly wreszcie się poddała i zgodziła pójść z nim do kina na *Spokojnego człowieka* z Johnem Wayne’em, za którym nie przepadała. W następnym tygodniu poszli zobaczyć Spencera Tracy’ego w filmie *Pat i Mike*. Tym razem był to jej wybór, który Joe zaakceptował. Tak miało już być przez całe ich dalsze życie.

* * *

Rok później Joe klęknął na jednym kolanie i oświadczył się Molly, i nawet wręczył jej pierścionek zaręczynowy, który kupił u H. Samuela za dwutygodniową pensję. Ona jednak nie przyjęła oświadczyn. Nie dlatego, że nie chciała wyjść za mąż za Joego, ale nie wyobrażała sobie małżeństwa bez własnego mieszkania, a na takie nie było ich stać.

– Pomyśl, jeśli się pobierzemy – przekonywał Joe – wspólnie wystąpimy o przydział mieszkania komunalnego i nie będziemy musieli mieszkać z rodzicami.

Ale Molly nie chciała mieszkać w budynku komunalnym.

Później wydarzyło się najgorsze – Joe został zwolniony z pracy.

– Nie chodzi o to, chłopcze, że źle pracujesz – tłumaczył mu kierownik. – Ale szefowie w radzie chcą ograniczyć wydatki i zdecydowali, że kto przyszedł ostatni, pierwszy odchodzi. Ponieważ pracowałeś u nas tylko kilka lat, jestem zmuszony się z tobą rozstać. Bardzo mi przykro.

Gdy Joemu się wydawało, że gorzej już być nie może, Molly oznajmiła, że jest w ciąży.

Pobrali się miesiąc później, po tym jak jego ojciec oznajmił stanowczo: „W naszej rodzinie nigdy nie było bękarta i nie zamierzamy tego zmieniać”.

Ślub odbył się trzy tygodnie po zapowiedziach w kościele parafialnym Najświętszej Marii Panny Niepokalanej, a po nim było przyjęcie w King’s Arms po drugiej stronie ulicy. Z kosztami nikt się nie liczył. Dziewczyny piły gruszkowy cydr, a panowie raczyli się piwem o gorzkim smaku. Goście do ostatniego zjedli chipsy i babeczki z mięsem. Wszyscy doskonale się bawili. Ale kiedy następnego ranka nowożeńcy obudzili się w pokoju gościnnym u pana Simpsona, Joe w dalszym ciągu był bezrobotnym na zasiłku, a Molly w ciąży. Nie mieli pieniędzy na wyjazd na miesiąc miodowy, nawet do Blackpool.

Wtedy przypadkiem, dzięki wujkowi Bertowi, zupełnie odmieniło się ich życie.

Wujek Bert pracował w ogrodzie zoologicznym w Barnsford, gdzie sprzątał klatkę lwa Big Borisa, którego oglądać przybywali ludzie z całego hrabstwa. Podczas przyjęcia weselnego Bert nad kuflem piwa napomknął, że może się pojawić szansa na pracę w zoo, więc jeśli Joe przyjedzie tam w poniedziałek, to wujek przedstawi go dyrektorowi, panu Turnerowi.

W poniedziałek rano Joe włożył czystą koszulę, nienagannie wyprasowane spodnie i krawat pożyczony od ojca, jeden z dwóch, które ten posiadał. Jadąc na spotkanie na górnym pokładzie autobusu, dostrzegł w oddali kawałek gruntu. Nie mógł oderwać od niego wzroku, więc gdy wysiadł na docelowym przystanku, nie skierował się wprost do najbliższej bramki wejściowej do ogrodu, lecz udał się w przeciwnym kierunku.

Joe stał i patrzył na dużą działkę niezagospodarowanego terenu, na którym parkowało około stu pojazdów. Przez cały dzień obserwował, jak przyjeżdżają i odjeżdżają auta osobowe, furgonetki, a nawet autokary. Kierowcy parkowali bez ładu i składu, zajmowali każdy wolny skrawek powierzchni. Niektórzy przyjezdni nawet nie udawali się do zoo. W umyśle

Joego zaczynał się krystalizować pomysł, a pod koniec dnia zastanawiał się już tylko nad sposobem wprowadzenia go w życie.

– Pan Turner zaproponował ci tę pracę? – zapytała Molly, kiedy Joe wrócił w porze odpowiedniej na herbatę.

– Nawet nie byłem u pana Turnera – przyznał Joe. – Coś mi wypadło.

– Co takiego się stało? – dociekała Molly.

Joe przygryzł wargi, bo do pokoju wszedł jego tata. Dopiero późnym wieczorem, kiedy leżeli w łóżku, opowiedział Molly, jak spędził dzień, a potem podzielił się z nią swoim nadzwyczajnym pomysłem.

– Jesteś głupi jak but, Joe Simpson. Ta parcela należy do miasta, a ty trafiłbyś za kratki za naruszenie prawa własności. Co więcej, udowodnię ci, że mam rację, więc zamiast niepotrzebnie tracić czas, lepiej idź do zoo i tam się postaraj o pracę, zanim ci ją ktoś sprzątnie sprzed nosa.

Następnego dnia Molly wybrała się do Urzędu Miasta w Barnsford, gdzie w wydziale do spraw nieruchomości spędziła całe przedpołudnie na rozmowie z młodym urzędnikiem, który po sprawdzeniu kilku map sytuacyjno-ewidencyjnych nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, do kogo należy grunt, do miasta czy do ogrodu zoologicznego. Molly w dalszym ciągu nie była przekonana do pomysłu Joego, ale po tej wizycie doszła do wniosku, że może warto zaryzykować.

Przez następny tydzień Joe codziennie jeździł do zoo i robił tam notatki. Zapisywał, ile osób parkowało samochody na upatrzonym miejscu, ile czasu zajmowało im zwiedzanie zoo. Jednego dnia zaczekał do zamknięcia ogrodu na noc, aż odjechał ostatni samochód, i dopiero wtedy zmierzył krokami teren. W notatniku napisał: dwieście dwadzieścia sześć kroków na sto siedemdziesiąt dwa.

Następnego dnia udał się na parking na Lakeside Drive, dawne miejsce pracy. Powiedział Molly, że chce zamienić kilka słów ze swoim staruszkiem, ale kiedy tam dotarł, wymierzył miejski parking. Tym razem nie krokami, ale starą szkolną linijką: wyszło pięć i pół metra na niespełna trzy metry dla samochodów osobowych i furgonetek, dwanaście metrów na trochę ponad trzy dla autokarów. Ojciec Joego nie potrafił pojąć, co ten jego chłopak wyprawia.

Przez cały weekend Joe próbował obliczyć, ile samochodów można zaparkować na placu przy ogrodzie zoologicznym. Po dokładnym sprawdzeniu wyliczeń doszedł do wniosku, że miejsca w zupełności wystarczy dla stu czternastu samochodów i pięciu autokarów. Kiedy tego

wieczoru Molly wróciła z pracy, pokazał jej plan parkingu. Była pod wrażeniem, ale wciąż miała wątpliwości.

– Nie uda ci się, nie ma szans! – stwierdziła.

– Być może nie, ale ponieważ nikt mi nie proponuje pracy, nie mam nic do stracenia.

Molly zmarszczyła czoło.

– Czyli co zamierzasz?

– Nauczyć się po ciemku malować pasy wyznaczające miejsca parkingowe.

– Do tego będzie ci potrzebna latarka i puszka białej farby emulsyjnej – wyliczała Molly. – Oprócz tego pędzel, wiadro z wodą i miotła do oczyszczenia placu. Jeszcze sznurek i gwoździe do wytyczenia linii prostej. Musisz mieć te wszystkie rzeczy, zanim zabierzesz się do malowania. A tak na marginesie, Joe, jak już będziesz je miał, radzę ci zacząć od namalowania czterech prostych linii za dnia.

– Myślałem, że nie wierzysz w powodzenie mojego planu – powiedział Joe.

– Nie wierzę, ale jeśli masz zamiar spróbować, to przynajmniej zrób to jak należy.

Joe odwiedził wszystkie sklepy z farbami w mieście, w czasie gdy Molly była w pracy u Masona. Po dniu spędzonym na porównywaniu cen doszedł do wniosku, że może sobie pozwolić na zakup tylko sześciu puszek białej farby, jeśli ma mu wystarczyć pieniędzy na pozostałe rzeczy, przy których obstawała Molly.

– Dostanę od Masona sznurek, gwoździe, młotek i dużą miotłę – oznajmiła Molly wieczorem po powrocie z pracy. – Możesz je skreślić z listy.

– A wiadro?

– Możesz pożyczyć od niego wiadro przeciwpożarowe, a wody nabierzesz w publicznej toalecie, która jest poza obrębem zoo.

Joe kiwnął głową.

– Pamiętaj też o próbie generalnej – instruowała Molly.

– Próbie generalnej?

– Tak. Znajdź jakiś pusty plac na terenie miasta i tam poćwicz malowanie jednego miejsca parkingowego, aż się nauczysz dobrze to robić.

Następnego dnia Molly poszła do pracy, a Joe pojechał na obrzeża miasta, w okolice, gdzie kiedyś wybuchła bomba, i namalował swoje

pierwsze miejsce parkingowe dla samochodu. Wcale nie szło mu tak łatwo, jak sobie wyobrażał, ale pod koniec tygodnia zdołał wytyczyć jedno stanowisko w ciągu czterdziestu minut i co więcej, wyglądało ono zupełnie nieźle. Powstał tylko problem z farbą. Już dość dobrze mu szło malowanie, ale na dalsze prace niewiele jej zostało i Molly musiała poświęcić tygodniową pensję na uzupełnienie zapasów. Na początku grudnia był gotowy do wejścia na plac.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zmartwiła się Molly. – Musimy wyznaczyć taki czas na malowanie, żeby nikogo nie było w pobliżu. Ważne, żeby nikt cię tam nie zauważył.

– Już wymyśliłem, kiedy będzie najlepiej – powiedział Joe. – W tym roku pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia przypada w piątek i właśnie wtedy nikogo tam nie będzie. Nikt nie przyjedzie ani w piątek, ani w sobotę i niedzielę, ani nawet w poniedziałek, bo ogród zoologiczny jest nieczynny. Myślę, że wtedy mógłbym wytyczyć sto stanowisk.

– Moim zdaniem na początek wystarczyłoby dwanaście – powiedziała Molly. – Powinniśmy się przekonać, czy ten nadzwyczajny pomysł się sprawdzi, zanim wydamy więcej pieniędzy, niż jest to konieczne. Nie zapominaj, że pan Mason rozpoczął swoją działalność od sześciu samochodów, a teraz ma salon sprzedaży z ponad setką aut na dziedzińcu i jest oficjalnym dilerem jaguara.

Joe niechętnie się zgodził i zaczął przygotowania do wielkiego dnia.

* * *

W Wigilię Joe nie mógł zasnąć, a następnego dnia wstał, zanim Molly się obudziła. Włożył T-shirt, dżinsy, sweter i wysłużone tenisówki, które miał jeszcze z czasów szkoły. Zszedł po cichu na dół, z szopy stojącej w głębi ogrodu wyciągnął stary dziecięcy wózek, do którego dzień wcześniej Molly zapakowała wszystkie potrzebne mu rzeczy.

Dotarł z wózkiem do zoo i spędził tam kilka godzin na zamiataniu terenu i oczyszczaniu go z liści, ziemi i pyłu. Gdy ostatecznie uznał, że plac jest odpowiednio przygotowany, wyznaczył pierwsze stanowisko parkingowe za pomocą miarki pożyczonej z koszyka mamy z przyborami do szycia. Następnie wbił gwoździe w czterech narożnikach i przywiązał do nich sznurek. Odszedł kilka kroków i z odległości podziwiał „płótno”, na którym artysta miał za chwilę namalować swoje dzieło.

Pierwsze miejsce parkingowe skończył dopiero po dziesiątej. Czuł się bardzo zmęczony. Ukrył wózek w kępie drzew i sam się sobie dziwił, skąd znalazł siły, by biegiem dotrzeć z powrotem do domu. Wrócił, jeszcze zanim ojciec wstał, więc tylko matka zapytała, gdzie ubrudził dżinsy białą farbą.

– To przeze mnie – odparła Molly bez dalszego wyjaśnienia.

Po bożonarodzeniowym obiedzie Joe czekał, aż wszyscy zasiądą przed telewizorem lub zapadną w drzemkę, i ponownie wyruszył do zoo. Do czwartej, gdy rozbłysły uliczne latarnie, wytyczył jeszcze dwa stanowiska. W drugi dzień świąt kolejne cztery, a do piątej po południu 27 grudnia do użytku gotowych było dwanaście miejsc parkingowych. Miał nadzieję, że wyschną do rana, kiedy znów tam wróci.

* * *

Ogród zoologiczny w Barnsford otwarto we wtorek o godzinie dziesiątej rano, ale zwiedzających nie było wielu. Joe stał na rogu ulicy i obserwował rozwój zdarzeń. Ilekroć pojawiał się samochód, kierowca wjeżdżał na stanowisko wydzielone starannie namalowanymi białymi pasami, które do tej pory wyschły. Joe coraz bardziej wierzył w powodzenie swego przedsięwzięcia. Prowadził obserwacje przez trzy kolejne dni i zauważył, że sytuacja się powtarza. Nie bez powodu mówi się o Brytyjczykach, że są zdyscyplinowanym narodem, który ceni sobie kolejki i porządek.

W sylwestra, a potem 1 i 2 stycznia Joe wrócił do pracy, i wspólnie z Molly uroczyście przywitali Nowy Rok, mając wytyczone dwadzieścia stanowisk parkingowych.

– W zupełności wystarczy – oświadczyła Molly. – Musisz teraz sprawdzić, czy ludzie będą z nich korzystać.

* * *

Następnego ranka Joe wstał o szóstej, włożył strój stróża parkingowego i zabrał ze sobą nieużywany już przez ojca kasownik biletowy.

Dotarł autobusem na plac parkingowy na długo przed otwarciem ogrodu zoologicznego. Pilnował swoich dwudziestu stanowisk jak lwica lwiątek,

a gdy pojawił się jego pierwszy potencjalny klient i zaparkował na jednym z wytyczonych miejsc, niepewnie do niego podszedł.

– Dzień dobry panu – przywitał go. – Opłata wynosi dwa szylingi.

Gdyby mężczyzna kazał mu odejść, oczywiście tak by zrobił, ale ten posłusznie podał Joemu florena.

– Dziękuję – powiedział Joe, wydając mu bilet. Dotknął palcami daszka czapki i się oddalił. Miał swego pierwszego klienta.

Do wieczora było ich czternastu. Przez cały dzień zebrał mu się funt i osiem szylingów. Kiedy pierwszy tydzień się skończył, miał już trzydzieści jeden funtów i zaprosił Molly do pubu, gdzie do spółki zjedli jajko po szkocku.

Joe chciał mieć szeroki gest i pójść do Swan, gdzie można było dostać trzydaniowy posiłek i pół butelki wina za trzy funty, ale Molly zaprotestowała. „Wzbudzimy tylko podejrzenia i wszystko wyjdzie na jaw”. Wytłumaczyła mu też, co się rozumie pod pojęciem przepływów pieniężnych.

W poniedziałek, gdy ogród zoologiczny był nieczynny, Joe mógł wziąć wolny dzień, ale zamiast tego postanowił pracować dalej i wytyczył sześć dodatkowych stanowisk. W miarę upływu dni liczba prostokątów rosła, a wraz z tym jego dochody, on zaś nabierał coraz większej pewności siebie. Ale we wtorek, w trzecim tygodniu prowadzenia parkingu, zobaczył pana Turnera, dyrektora zoo, zmierzającego w jego stronę. Uznał, że zabawa się skończyła.

– Dzień dobry, panie…?

– Joe – przedstawił się.

– Joe, czy możemy zamienić kilka słów?

– Oczywiście, panie Turner.

– Do tej pory parkowałem tutaj bezpłatnie – powiedział dyrektor zoo.

– I teraz też nie będzie pan musiał płacić, panie Turner – odparł Joe.

– Ale skoro rada miejska przejęła ten teren, opłata z pewnością będzie obowiązkowa.

– Nie zapłaci pan ani pensa, panie Turner. Wyznaczę panu prywatne stanowisko, na którym nikt inny nie będzie mógł zostawić samochodu.

– Czy rada nie będzie zgłaszać żadnych zastrzeżeń?

– Nikomu nic nie powiem, jeśli i pan tego nie zrobi – powiedział Joe, dotykając nosa.

– To miło z twojej strony, Joe – ucieszył się Turner. – Daj mi znać, gdybym kiedykolwiek mógł coś dla ciebie zrobić.

Joe wybrał stanowisko naprzeciwko wejścia do ogrodu zoologicznego i pozostałą część dnia spędził na starannym malowaniu napisu „Zarezerwowane dla dyrektora zoo”.

* * *

Po urodzeniu dziecka Molly na czas urlopu macierzyńskiego przestała pracować u Masona, a wtedy Joe zaproponował, żeby zajęła się zarządzaniem finansami i prowadzeniem księgowości.

Zaraz potem otworzyła rachunek bankowy w Barclays i co tydzień wpłacała do banku nieco ponad dwadzieścia funtów, czyli kwotę odpowiadającą średniemu wynagrodzeniu dozorcy parkingowego, a resztę wkładała pod deskę podłogową w sypialni.

Molly wzorowo prowadziła rachunki, ale potrzebowała czasu, by poświęcić go Joemu juniorowi. Jego narodziny dumnemu ojcu dodały motywacji do wytyczenia kolejnych stanowisk parkingowych i w ciągu roku gotowe do użytku były wszystkie, czyli sto dziewiętnaście miejsc i dodatkowo specjalnie wydzielona powierzchnia dla autokarów.

Kiedy nadszedł czas powrotu do pracy, Molly nie podjęła jej u Masona, ale już oficjalnie zatrudniła się u Joego jako jego księgowa i sekretarka. Wypłacała sobie dwadzieścia pięć funtów tygodniowo. Niewiele to pomogło w bilansowaniu przepływów pieniężnych. Wciąż musieli wyjmować kolejne deski podłogowe, ale ona już pracowała nad rozwiązaniem tego problemu.

* * *

To Molly powiedziała, że nadszedł czas na wyjazd do Macclesfield.

– Moim zdaniem Macclesfield nie jest najlepszym miejscem na wakacje – zauważył Joe.

– Ale my nie jedziemy na wakacje – sprostowała Molly. – Tylko na jednodniową wycieczkę. Obejrzyj dokładnie ten najnowszy kasownik swego ojca. Na pewno znajdziesz na nim nazwę producenta. Uważam, że powinniśmy się do niego wybrać.

Ponieważ zoo było zamknięte w poniedziałki, Molly wypożyczyła od pana Masona furgonetkę i całą trójką wyruszyli do Macclesfield. Pomieszczenie wystawowe okazało się skarbnicą mundurów, kasowników i wszelkich innych akcesoriów potrzebnych szanującym się pracownikom parkingowym. Joe kupił dwa mundury (letni i zimowy) z nadrukowanym na ramieniu napisem ZOO, najnowszy kasownik, czapkę z daszkiem i małą, emaliowaną plakietkę z napisem Kierownik. Uważał, że koniecznie musi ją mieć, chociaż Molly wcale nie była o tym przekonana. Sama zadowoliła się dużą księgą rachunkową i szafką na dokumenty.

W drodze powrotnej do Barnsford Molly ogłosiła dwie wielkie nowiny.

– Jestem znowu w ciąży – powiedziała. – Ale przynajmniej rada wreszcie zaoferowała nam mieszkanie.

– Myślałem, że nie chcesz mieszkać w mieszkaniu komunalnym. Na wpłatę zaliczki na niewielki dom w Woolwich możemy sobie pozwolić – dodał Joe.

– Nie chcę ryzykować – powiedziała Molly. – Gdybyśmy to zrobili, ludzie mogliby zacząć plotkować i się zastanawiać, skąd wziąłeś tyle pieniędzy, pracując na parkingu. Nie zapominaj też, że mnie uważają za osobę w dalszym ciągu niepracującą.

– Po co nam w takim razie te zarobione pieniądze, jeśli nie możemy się nimi cieszyć? – zapytał Joe.

– Nie martw się. W związku z tym mam pewne plany.

* * *

Sześć miesięcy później państwo Simpsonowie, Joe junior i Janet przeprowadzili się do budynku komunalnego w Keir Hardie. Mieszkańcy uważali, że ich nowi sąsiedzi żyją skromnie jak wszyscy w takim domu, ale gdyby zostali zaproszeni do Simpsonów, dowiedzieliby się, że ci wcale nie robią zakupów w sklepie spółdzielczym. Nikt jednak ani razu u nich nie był.

Puchate dywany, nowoczesne wyposażenie kuchni, telewizor z dużym ekranem i trzyczęściowy zestaw wypoczynkowy nie zostały kupione za bezcen, a mimo to wciąż borykali się z nadwyżkami finansowymi. Joe był jednak pewien, że Molly znajdzie rozwiązanie.

– W tym roku latem nie pojedziemy na wakacje do Blackpool – oznajmiła pewnego ranka przy śniadaniu.

– To dokąd, mamusiu? – zapytał Joe junior.

– Nie mów z pełnymi ustami – zwróciła mu uwagę Molly. – Na Majorkę.

Joe już miał zapytać, gdzie to jest, ale uratowała go Janet, która zadała to pytanie.

– To jest wyspa na Morzu Śródziemnym, o której słyszało niewiele osób z Barnsford, a prawdopodobnie jeszcze mniej na niej było.

To wyjaśnienie uciszyło całą trójkę.

Joe i Molly zazwyczaj wyjeżdżali na dwutygodniowe wakacje w czasie najmniejszego ruchu w zoo. Zbliżał się dzień wyjazdu i dzieci były coraz bardziej podekscytowane, ponieważ miała to być ich pierwsza podróż samolotem. Joe i Molly czuli się podobnie, ale się z tym nie zdradzali.

Trzeba obiektywnie przyznać, że tym razem wykazał się Joe, ponieważ pomysł zatrudnienia bystrego studenta, najlepiej imigranta, wyszedł od niego. Student zastępował Joego za każdym razem, gdy ten wyjeżdżał na wakacje. Swemu pomocnikowi wynagrodzenie zawsze wypłacał gotówką. Wprawdzie w ciągu tych dwóch tygodni dochody z parkingu nie były duże, ale przynajmniej jego użytkownicy nie dziwili się, dlaczego nikt się nim nie zajmuje.

– Jeśli ktoś zapyta, gdzie jestem – Joe poinstruował studenta – to powiedz, że wyjechałem z rodziną na wakacje do Blackpool.

Podczas rodzinnego pobytu na Majorce Molly nie marnowała czasu. Joe zabierał dzieci na plażę, a ona odwiedzała agentów nieruchomości w Palmie. Dwa tygodnie później, przed podróżą powrotną samolotem do domu, Joe ważył trzy kilogramy więcej, dzieci były opalone na orzechowobrązowy kolor, a Molly miała potwierdzenie wpłaty zaliczki na parcelę położoną w pierwszym ciągu działek w Port de Pollença z widokiem na morze.

Agent nieruchomości nie komentował, gdy przy podpisaniu umowy pięć tysięcy funtów zaliczki wpłaciła w gotówce. Gdy przyjechali na Majorkę po raz szósty, działka już należała do nich.

W następnej kolejności Molly zaczęła szukać architekta na miejscu. Ku niezadowoleniu Joego wybrała Niemca. Temu nawet nie drgnęła powieka, gdy kwartalne honorarium otrzymywał w gotówce.

Rok później na ich działkę wjechał ciężki sprzęt budowlany marki JCB, a szef firmy budowlanej ślinił palce, gdy w regularnych odstępach czasu

zwoje dwudziestofuntowych banknotów zmieniały właściciela, chociaż kierownik projektu uważał Molly za osobę nieco uciążliwą.

W Barnsford Joe i Molly w dalszym ciągu żyli oszczędnie. Jedyną ekstrawagancją, na którą pozwalał sobie Joe, był okresowy bilet na mecze drużyny piłkarskiej Barnsford Rovers, wciąż utrzymującej się w dolnej połowie trzeciej ligi. Molly natomiast od czasu do czasu odwiedzała The Smoke, gdy grano tam najnowszy musical, i Veeraswamy, bo lubiła tam zjeść indyjskie curry. Zawsze wracali do Barnsford pociągiem drugą klasą, na wypadek gdyby ktoś ich zauważył. Podczas każdych letnich wakacji natomiast całą rodzinę można było zastać w luksusowej willi z widokiem na Zatokę Pollença.

* * *

W roku, w którym ojciec Joego w wieku sześćdziesięciu lat przeszedł na emeryturę, Joe wyprawił rodziców w rejs statkiem pasażerskim *Queen Elizabeth 2*, wyjaśniając im, że inwestycja w obligacje Premium przyniosła im trochę zysku. Dwa lata później, gdy władze ogrodu zoologicznego wystąpiły z apelem o dofinansowanie nowego pomieszczenia dla słoni, jego dyrektor (piąty za czasów Joego) był zachwycony anonimową darowizną w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, choć nieco zaskoczony, że została mu przekazana w dużej, brązowej papierowej torbie.

Joe był szczególnie dumny, gdy Joe junior otrzymał propozycję odbycia studiów prawniczych na Uniwersytecie w Leeds – kolejna rzecz, która pierwszy raz wydarzyła się w rodzinie Simpsonów – ale dwa lata później Janet prześcignęła brata, wygrywając stypendium na studia na wydziale filologii angielskiej w Durham.

– Co zrobimy, gdy nadejdzie czas na emeryturę? – zapytał Joe, który wiedział, że Molly już się nad tym zastanawiała.

– Zamieszkamy na Majorce i, pozwól, że zacytuję słowa miłościwego Pana, „będziemy się cieszyć owocami naszej pracy”.

– A mój parking?

– Niech kto inny się tym martwi.

* * *

Joe, który był tradycjonalistą, również przeszedł na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat. Razem z Molly spakowali potrzebne rzeczy (bardzo niewiele ich było), zwrócili klucze do swego mieszkania komunalnego i udali się na lotnisko z dwoma biletami w jedną stronę.

Wkrótce Joe został wiceprezesem Real Mallorca, drużyny z co najmniej górnej połowy drugiej ligi, i wiceprezesem miejscowego klubu rotariańskiego, a Molly honorowym skarbnikiem rady mieszkańców.

Joe junior był już praktykującym adwokatem w północnym okręgu, a Janet uczyła języka angielskiego w szkole podstawowej w Roundhay. Oboje regularnie odwiedzali rodziców na Majorce, w towarzystwie Charliego, Rachel i Joe młodszego juniora, dla których Joe i Molly kompletnie stracili głowę.

* * *

– Widziałaś, co zrobili z moim parkingiem? – zapytał Joe pewnego wieczoru po przeczytaniu tygodnika „Yorkshire Post”. – Durnie – dodał po chwili, nie odrywając się od artykułu.

Drugiego stycznia nowy dyrektor ogrodu zoologicznego, pan Braithwaite, zadzwonił do wydziału nieruchomości w Urzędzie Miasta Barnsford, żeby się dowiedzieć, kiedy zastępca Joego Simpsona zgłosi się do pracy.

– Kim jest Joe Simpson? – zapytał urzędnik odpowiedzialny za gospodarkę nieruchomościami.

– Dozorca parkingu znajdującego się naprzeciwko zoo. Pracował tu przez ostatnie czterdzieści lat. Zorganizowaliśmy mu nawet przyjęcie pożegnalne.

– Nie wiem, o czym pan mówi – zdumiał się urzędnik. – Zawsze uważałem, że ten teren należy do ogrodu zoologicznego.

– A my byliśmy przekonani, że właścicielem placu jest miasto – powiedział Braithwaite.

– Co za durnie! – powtórzył Joe. Odłożył gazetę i poszedł do Molly, która krzątała się w kuchni. – Gdyby ten dyrektor miał trochę oleju w głowie, to trzymałby język za zębami i zoo by tylko na tym skorzystało – powiedział do żony. – Zresztą mnie zawsze o to chodziło. Ale nie, musiał się skonsultować z przewodniczącym rady, Aldermanem Appleyardem, który doszedł do wniosku, że trzeba zasięgnąć porady prawnej, a cała

sprawa zakończyła się długotrwałym sporem między radą miejską a ogrodem zoologicznym. Skutek? Obie strony przegrały, a przez ten czas na moim parkingu wyrosły chwasty.

Trzy lata później sędzia ostatecznie orzekł, że rada powinna przejąć parking, ale wszelkie zyski miały być równo dzielone między obie strony sporu. Typowy brytyjski kompromis, z którego korzyści czerpią wyłącznie prawnicy. Do takiego wniosku doszedł Joe po przeczytaniu najnowszych wiadomości z Yorkshire.

– Jestem tylko zaskoczona – powiedziała Molly – że jeszcze nikt nas nie wezwał.

– I nikt tego nie zrobi – odrzekł Joe. – Moim zdaniem, gdyby nawet chcieli, to cała rada miejska wyszłaby na bandę głupków. Nie, dla nich im mniej się o tym mówi, tym lepiej. I możesz być pewna jednego, nikt się nie wychyli i nie weźmie na siebie odpowiedzialności. Nie zapominaj, że w maju mają się odbyć wybory, więc najlepiej siedzieć cicho.

* * *

Kiedy ostatni raz jadłem obiad z Joem i Molly w Pollença, nie mogłem się powstrzymać i zapytałem, ile zarobił przez te lata jako dozorca parkingu.

– Kierownik – poprawił mnie, ale nie odpowiedział na moje pytanie.

– Trzy miliony czterysta dwadzieścia dwa tysiące trzysta dziewiętnaście funtów – odpowiedziała Molly.

– Mniej więcej tyle – potwierdził Joe. – Następnym razem, Jeff, gdy będziesz w Barnsford, koniecznie obejrzyj nowe akwarium w zoo. Oboje z żoną jesteśmy nim zachwyceni.

* * *

Joe i Molly Simpson zostali pochowani obok siebie na dziedzińcu kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Niepokalanej w Barnsford, na co za życia nalegała Molly.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]

NIEWYKORZYSTANA GODZINA [1]

Kelley zawsze wracała do college’u autostopem, ale nigdy nie przyznała się do tego rodzicom. Wiedziała, że nie pozwoliliby jej na to.

Pierwszego dnia semestru ojciec odwoził ją na stację kolejową, a ona spacerowała po peronie, aż nabrała pewności, że on jest już w drodze do domu, i szła kilka kilometrów do autostrady.

Do Stanford wolała podróżować autostopem, zamiast jechać autobusem lub pociągiem, z dwóch ważnych powodów. Po pierwsze, dwanaście takich podróży w obie strony rocznie przekładało się na ponad sto dolarów oszczędności. Była to kwota, której w inny sposób by nie miała, ponieważ ojciec nie mógłby sobie pozwolić na taki wydatek po zwolnieniu z pracy w przedsiębiorstwie wodociągowym. I tak rodzice ponosili wiele wyrzeczeń, żeby ona mogła się uczyć w college’u, więc nie chciała ich narażać na dodatkowe koszty.

Po drugie, Kelley chętniej korzystała z tej formy podróżowania, ponieważ po skończeniu studiów zamierzała zostać pisarką, a w ciągu ostatnich trzech lat na krótkiej trasie z Salinas do Palo Alto poznała fascynujących ludzi. Często dzielili się swoimi doświadczeniami z nią, osobą nieznajomą, z którą najpewniej nigdy więcej się nie spotkają.

Na przykład jeden mężczyzna pracował jako goniec na Wall Street w czasie Wielkiego Kryzysu, inny został odznaczony orderem Srebrnej Gwiazdy za udział w bitwie pod Monte Cassino, ale największe wrażenie zrobił na niej ten, który spędził dzień na łowieniu ryb w towarzystwie prezydenta Roosevelta.

Kelley miała żelazne zasady i zawsze się nimi kierowała, wybierając osoby, z którymi jeździła. Wśród wykluczonych z tego grona na pierwszym miejscu plasowali się kierowcy ciężarówek, ponieważ tylko jedno mieli w głowie. Na drugim – młodzi mężczyźni z dwoma lub trzema kolegami. Na ogół unikała też tych poniżej sześćdziesiątki, zwłaszcza mknących sportowymi samochodami.

W pierwszym samochodzie, który zwolnił, jechało dwóch młodzieńców, i nawet jeśli tego można nie uznać za wystarczające ostrzeżenie, to z całą pewnością były nim puste puszki po piwie na tylnym siedzeniu. Wyglądali

na rozczarowanych, gdy zdecydowanie pokręciła głową, i po kilku zaczepnych gwizdach odjechali.

Następnym pojazdem, który się zatrzymał, była ciężarówka, ale szła dalej i nawet nie spojrzała na kierowcę. W końcu odjechał, trąbiąc przeraźliwie klaksonem.

Za trzecim razem zatrzymała się furgonetka, w której z przodu jechali mężczyzna i kobieta. Pomyślała, że ci wyglądają obiecująco, ale zaraz potem zobaczyła owczarka niemieckiego na tylnym siedzeniu. Sprawiał wrażenie wygłodzonego, więc uprzejmie wyjaśniła, że jest uczulona na psy – hmm, z wyjątkiem Daisy, cocker spaniela, którego mieli w domu i za którym przepadała.

Minęło trochę czasu, nim dostrzegła przedwojennego studebakera, który powoli zbliżał się do niej. Kelley odwróciła się w stronę nadjeżdżającego samochodu, uśmiechnęła i uniosła kciuk. Kierowca zwolnił i zjechał z drogi. Szybko podeszła do drzwi od strony pasażera i zobaczyła starszego dżentelmena, który pochylił się, by opuścić szybę.

– Dokąd się wybierasz, młoda damo? – zapytał.

– Do Stanford, proszę pana – odpowiedziała.

– Przejeżdżam obok frontowej bramy uniwersytetu, więc zapraszam.

Kelley ani chwili się nie wahała, ponieważ kierowca spełniał wszystkie najbardziej rygorystyczne kryteria: miał ponad sześćdziesiąt lat, obrączkę na palcu, ładnie się wysławiał i był uprzejmy. Wsiadła do auta, usadowiła się wygodnie na skórzanym fotelu i tylko z pewnym niepokojem zastanawiała się, czy ten wiekowy pan zdoła ją dowieźć do celu takim starym samochodem.

Mężczyzna odwrócił się w lewo i skoncentrowany czekał, aż będzie się mógł włączyć do ruchu. Kelley skorzystała z okazji, by przyjrzeć mu się uważniej. Miał szpakowate włosy, bladą, pokrytą zmarszczkami twarz, która wyglądała jak mocno wytarta skóra znoszonej marynarki. W ustach trzymał nadpalonego papierosa i to się jej niezbyt podobało. Był w koszuli w kratkę i sztruksowej marynarce z naszytymi skórzanymi łatami na łokciach.

Opiekun jej pracy dyplomowej wielokrotnie powtarzał, że jeśli chce zostać pisarką, to powinna zdobywać doświadczenie, a zwłaszcza uczyć się życia od innych ludzi. Wprawdzie ten kierowca nie wydawał jej się idealnym kandydatem na nauczyciela, który mógłby poszerzyć jej horyzonty, ale był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

– Dziękuję, że się pan zatrzymał – powiedziała. – Mam na imię Kelley.

– A ja John – przedstawił się, puścił jedną ręką kierownicę i uścisnął jej dłoń.

Od razu pomyślała, że ten starszy pan ma szorstkie ręce rolnika.

– Co studiujesz, Kelley? – zapytał.

– Amerykańską literaturę współczesną.

– Obecnie nie jest to często wybierany kierunek – zauważył. – Ale czasy się zmieniają. Kiedy ja studiowałem na Uniwersytecie Stanforda, w miasteczku akademickim w ogóle nie było kobiet, nawet w nocy.

Kelley była zaskoczona, że John uczył się w Stanford.

– Co pan studiował?

– Wolałbym John. Jeśli chcesz, zwracaj się do mnie po imieniu – poprosił. – Starość jest wystarczająco przykrym doświadczeniem, więc lepiej, żeby na dodatek nie przypominała mi o niej młoda kobieta.

Kelley się roześmiała.

– Studiowałem literaturę angielską, tak jak ty. Mark Twain, Herman Melville, James Thurber, Longfellow. Ale niestety wyleciałem z uczelni. Nie uzyskałem dyplomu, czego do tej pory bardzo żałuję.

Kelley spojrzała na niego jeszcze raz. Zastanawiała się, czy John kiedykolwiek jeździ na wyższym biegu niż trzeci. Już miała go zapytać, dlaczego nie skończył studiów, ale odezwał się pierwszy.

– Kogo się teraz zalicza do współczesnych gigantów literatury amerykańskiej, jeśli można spytać?

– Hemingwaya, Steinbecka, Bellowa i Faulknera – wyliczyła.

– Masz ulubioną książkę? – zapytał, nie spuszczając wzroku z drogi.

– Tak. *Grona gniewu*. Przeczytałam ją, gdy miałam dwanaście lat, i uważam, że jest jedną z wybitnych powieści dwudziestego wieku. „I jeszcze tę ostatnią, krzyczącą prawdę, która rozlega się echem w dziejach świata: represje mają jedynie ten skutek, że wzmagają opór i jednoczą prześladowanych” [2].

– No, no! Jestem pod wrażeniem – powiedział. – Moją ulubioną książką zawsze była i będzie *Myszy i ludzie.*

– „A do tego nie potrzeba rozumu” – zacytowała Kelley. – „Czasem mi się wydaje, że jest na odwrót: spryciarz rzadko bywa porządnym człowiekiem” [3].

– Nie przypuszczam, żebyś kiedykolwiek zawaliła egzaminy – zażartował John i się roześmiał, a Kelley uznała, że nadszedł dobry

moment na przeprowadzenie wywiadu.

– Co zrobiłeś po opuszczeniu uniwersytetu?

– Mój ojciec chciał, żebym pomagał mu na farmie w Monterey, więc przez kilka lat to robiłem. Nie było to jednak odpowiednie miejsce dla mnie, więc się zbuntowałem i zostałem przewodnikiem wycieczek na terenach wokół jeziora Tahoe.

– Przyjemna praca – zauważyła Kelley.

– Rzeczywiście taka była. Mnóstwo kobiet, ale zarobek marny. Potem razem z moim przyjacielem Edem postanowiliśmy podróżować wzdłuż wybrzeża Kalifornii i zbierać okazy biologiczne, ale to też było niezbyt dochodowe zajęcie.

– Próbowałeś znaleźć coś bardziej stabilnego? – dociekała Kelley.

– Nie, i nawet nie mogę udawać, że szukałem. W każdym razie do wybuchu wojny, kiedy to zostałem korespondentem wojennym w „Herald Tribune”.

– Ooo! Niezwykle ekscytująca przygoda – powiedziała Kelley. – Obecność w samym centrum wydarzeń, a potem przekazywanie relacji ludziom we własnym kraju.

– Nie obyło się bez problemów. Za bardzo zbliżyłem się do rejonu działań wojennych i skończyło się serią z karabinu w plecy. Musiałem wrócić do Stanów. Tu się okazało, że straciłem pracę w „Tribune” i moją pierwszą żonę.

– Pierwszą żonę?

– Czyżbym nie wspomniał o Carol? – zdziwił się. – Była moją żoną przez trzynaście lat, a potem jej miejsce zajęła Gwyn, która wytrzymała ze mną zaledwie pięć. Ale żeby oddać jej sprawiedliwość, co nie jest łatwe, urodziła mi dwóch wspaniałych synów.

– Co było dalej, kiedy już wyleczyłeś rany?

– Zacząłem pracować z imigrantami, którzy po wojnie masowo napływali do Kalifornii. Sam pochodzę z Niemiec, więc wiedziałem, przez co przechodzą. Bardzo im współczułem.

– I od tamtego czasu wciąż robisz to samo?

– Nie, nie. Kiedy prezydent Johnson postanowił ruszyć na Wietnam, znów otrzymałem propozycję pracy w „Herald Tribune”. Chyba nie mogli znaleźć zbyt wielu chętnych, którzy by uważali zesłanie do Wietnamu za „znaczący krok do przodu w karierze zawodowej”.

Kelley się roześmiała.

– Ale przynajmniej tym razem wyszedłeś cało.

– Tak by było, gdyby CIA nie żądało ode mnie, żebym równocześnie pracował dla nich.

– Mogę zapytać, co dla nich robiłeś? – zwróciła się do starszego pana, przyglądając mu się uważniej.

– Pisałem relacje z wydarzeń w Wietnamie dla „Tribune”, a w doniesieniach dla CIA przedstawiałem rzeczywistą sytuację. Miałem pewną przewagę nad kolegami, o której wiedziało tylko CIA.

Kelley chciała zapytać jaką, ale John odpowiedział jej, zanim zdążyła to zrobić.

– Obaj moi synowie, John junior i Thomas, służyli na linii frontu, więc od nich otrzymywałem informacje, które nie docierały do moich kolegów.

– W „Herald Tribune” pewnie byli bardzo zadowoleni.

– Niestety nie – powiedział John. – Redaktor naczelny zwolnił mnie, gdy się dowiedział o mojej współpracy z CIA. Powiedział, że straciłem dziennikarską uczciwość i przeszedłem na drugą stronę. W dodatku pobierałem wynagrodzenie od dwóch pracodawców.

Kelley była oczarowana.

– Prawdę mówiąc – kontynuował – nie mogłem się z nimi nie zgodzić. A w każdym razie czułem się coraz bardziej rozczarowany sytuacją w Wietnamie i nawet zacząłem wątpić, czy w istocie wspięliśmy się na moralne wyżyny.

– I co zrobiłeś, gdy tym razem wróciłeś do domu? – zapytała Kelley, która zaczynała uważać podróż za równie ekscytującą jak ta z kierowcą, który spędził dzień na łowieniu ryb z prezydentem Rooseveltem.

– Po powrocie do domu – kontynuował John – dowiedziałem się, że moja druga żona sypia z innym facetem. Nie obwiniam jej za to. Zresztą niedługo byłem sam, ponieważ wkrótce poślubiłem Elaine. Mogę ci powiedzieć jedno, Kelley, bo tego jestem pewien: trzy żony to więcej, niż potrzebuje mężczyzna.

– Co było dalej? – zapytała Kelley, wiedząc, że zbliżają się do miasteczka akademickiego.

– Elaine i ja przeprowadziliśmy się na Południe, gdzie pisałem o ruchu na rzecz praw obywatelskich dla każdego szmatławca, który chciał drukować moje poglądy. Niestety znowu popadłem w kłopoty, kiedy wdałem się w konflikt z J. Edgarem Hooverem, ponieważ odmówiłem współpracy z FBI. Powiedziałem im, czego się dowiedziałem na

spotkaniach z Martinem Lutherem Kingiem juniorem i Ralphem Abernathym. Hoover się wściekł do tego stopnia, że próbował przylepić mi łatkę komunisty. Tym razem jednak mu się nie udało, więc sprawiał sobie przyjemność, co roku przysyłając do mnie kontrole urzędu skarbowego.

– Poznałeś Martina Luthera Kinga i Ralpha Abernathy’ego?

– Jasne, że tak. I Johna Kennedy’ego też, świeć Panie nad jego duszą.

Usłyszawszy, że John osobiście poznał prezydenta Kennedy’ego, Kelley chciała zadać mu o wiele więcej pytań, ale widziała przybliżającą się z minuty na minutę uniwersytecką wieżę Herberta Hoovera.

– Miałeś niezwykle ciekawe życie – powiedziała Kelley, zawiedziona, że ich wspólna podróż dobiega końca.

– Przypuszczam, że w mojej relacji mogłem je przedstawić bardziej ekscytująco, niż wyglądało naprawdę – westchnął John. – Ale nie zawsze można polegać na wspomnieniach starego człowieka. A ty, Kelley, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

– Chcę być pisarką. Marzę o tym, żeby za pięćdziesiąt lat studenci stanfordzkiego wydziału współczesnej literatury amerykańskiej uczyli się o Kelley Ragland.

– Nic w tym złego – powiedział John. – Ale jeśli pozwolisz starszemu panu udzielić ci pewnej rady, to nie śpiesz się z napisaniem amerykańskiego dzieła wszech czasów. Zdobądź jak najwięcej doświadczenia i wiedzy o świecie i ludziach, zanim usiądziesz przed kartką i weźmiesz pióro do ręki – dodał, gdy przyhamował, a samochód skokami podjechał przed bramę college’u. – Mogę cię zapewnić, Kelley, że nie pożałujesz.

– Dziękuję, John – powiedziała Kelley, wysiadając z auta. Szybkim krokiem okrążyła je, przystanęła po stronie kierowcy, by pożegnać się ze starszym mężczyzną, który opuścił szybę. – Jestem zachwycona twoim opowiadaniem o własnym życiu.

– A ja rozmawiałem z tobą z ogromną przyjemnością – odwzajemnił się John. – I mogę tylko mieć nadzieję, że będę żył na tyle długo, żeby przeczytać twoją pierwszą powieść, zwłaszcza że byłaś tak uprzejma i wyraziłaś tyle pochwał na temat mojej książki, którą, jeśli dobrze pamiętam, po raz pierwszy przeczytałaś w wieku zaledwie dwunastu lat.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]
2. J. Steinbeck, *Grona gniewu*, przeł. Alfred Liebfeld, Prószyński i S-ka, Warszawa 2012, s. 248. [wróć]
3. J. Steinbeck, *Myszy i ludzie*, przeł. Zbigniew Batko, Prószyński i S-ka, Warszawa 2012, s. 40. [wróć]

DROGA DO DAMASZKU [1]

Czy zastanawiacie się czasem, tak jak ja, co się stało z waszymi rówieśnikami ze szkoły, gdy po jej ukończeniu wkroczyli do prawdziwego świata? Szczególnie tymi z rocznika wyżej, których imion nie sposób zapomnieć? Tym bardziej że zaledwie nieliczni z klas niższych pozostają w pamięci.

Na przykład taki Nick Atkins, który był kapitanem drużyny krykieta. Przypuszczałem, że będzie kapitanem w klubie Yorkshire i w reprezentacji Anglii, ale okazało się, że po kilku wyjazdach na turniej Second XI został dyrektorem regionalnego oddziału banku Halifax Building Society. Albo Stuart Baggaley, który rozpowiadał wszystkim, że zamierza być posłem do Parlamentu Zjednoczonego Królestwa z okręgu wyborczego Leeds Central, a dwadzieścia lat później wspiął się na imponujące wyżyny, to znaczy objął stanowisko przewodniczącego Komisji Budżetowej w Radzie Okręgu Huddersfield. I wreszcie, z całą pewnością nie z najmniejszymi osiągnięciami, Derek Mott, który przygotowywał się do zawodu aktuariusza, a ostatnio słyszałem, że prowadzi salon gier w Blackpool.

Niemniej jednak było dla mnie oczywiste, nawet już w tamtych czasach, że jeden z naszych kolegów zrealizuje swoje aspiracje, i to nie tylko dlatego, że decyzja w sprawie jego przyszłości zapadła, gdy był jeszcze w łonie matki. W końcu Mark Bairstow był synem sir Ernesta Bairstowa, prezesa Bairstow i Syn, największej odlewni w Yorkshire, a tym samym na świecie.

W latach szkolnych nie znałem osobiście Bairstowa. Po pierwsze, dlatego że był o rok wyżej ode mnie, a po drugie, należał – i to dosłownie – do zupełnie innej klasy. Uczniowie naszej szkoły na ogół przychodzili do niej pieszo albo przyjeżdżali rowerem lub autobusem, Bairstowa natomiast każdego ranka limuzyną przywoził kierowca. Sir Bairstow nie miał czasu odwozić syna, ponieważ z samego rana był już w odlewni, a matka młodego Bairstowa nie prowadziła samochodu – tak w każdym razie brzmiało wyjaśnienie.

Naprawdę mi nie przeszkadzało, że nosił szkolny mundurek o wiele bardziej elegancki od mojego i że chodził w butach ręcznie robionych na miarę. Dostrzegałem natomiast, że jest wyższy i przystojniejszy ode mnie,

również zdecydowanie bystrzejszy, ponieważ zaproponowano mu miejsce w Gonville and Caius College – autonomicznej uczelni wchodzącej w skład Uniwersytetu Cambridge (w skrócie Caius, o czym wówczas nie wiedziałem) – na wydziale języków nowożytnych.

Po raz pierwszy rozmawiałem z Bairstowem, kiedy zacząłem chodzić do niższej szóstej, a on został wybrany na przewodniczącego rady uczniowskiej, i to tylko dlatego, że pełniłem dyżury w bibliotece i musiałem raz w miesiącu składać mu sprawozdanie. Gdybyśmy nie pojechali razem na wakacyjną wycieczkę, bez wątpienia… Nie powinienem przesadzać.

Fred Costello, nauczyciel historii, organizował jedną ze swoich corocznych wycieczek szkolnych na kontynent – tak się mówiło, zanim powstał wspólny rynek, czyli EWG. Interesowałem się wtedy historią i miałem zamiar iść na uniwersytet, więc moi rodzice uznali, że dobrze byłoby wysłać mnie na wycieczkę do Niemiec.

W dniu wyjazdu wsiadaliśmy do pociągu na Dworcu Centralnym w Leeds i ze zdumieniem dostrzegłem Marka Bairstowa wśród nas, niezupełnie razem z nami, ponieważ siedział w pierwszej klasie z Clive’em Dangerfieldem, który również się wybierał do Cambridge. Spotkaliśmy ich dopiero w Berlinie, gdy wszyscy znaleźliśmy się w niewielkim hotelu. Dzieliłem pokój z moim najlepszym przyjacielem, Benem Levym. Bairstow i Dangerfield zajmowali apartament na najwyższym piętrze.

W grupie było nas piętnastu. Większość czasu spędzałem z Benem, który podobnie jak ja kibicował Leeds United, Yorkshire i reprezentacji Anglii, właśnie w takiej kolejności. Dobrze zapamiętałem ten wyjazd, ponieważ wtedy po raz pierwszy byliśmy za granicą.

Pan Costello, nauczyciel posiadający dużą wiedzę, w czasie drugiej wojny światowej służył w wojsku w stopniu porucznika i był świadkiem bitwy pod El Alamein. Żywił głębokie przekonanie, że Wielka Brytania powinna dołączyć do wspólnego rynku, jeśli nie z innych powodów, to przynajmniej z jednego – żeby nie doszło do trzeciej wojny światowej.

Z pobytu w Berlinie najbardziej zapamiętałem wcale nie budynek opery ani nawet nie Bramę Brandenburską, ale betonowe monstrum, które ciągnęło się jak jadowity wąż przez środek niegdyś niepodzielonego miasta.

– Wyobraźcie sobie – powiedział pan Costello, gdy patrzyliśmy w górę na mur – że ta blisko czterometrowa barykada biegnie od Mersey do

Humber i żaden mieszkaniec tej części miasta nie może odwiedzić nikogo z rodziny ani znajomych po drugiej stronie muru.

Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Po kilku dniach spędzonych w Berlinie pojechaliśmy do Drezna. Na miejscu ani razu nie wysiedliśmy z autokaru, tylko z niedowierzaniem oglądaliśmy przez okna pozostałości po tym historycznym mieście. Odnosiłem wrażenie, że czasami Brytyjczycy również zachowywali się jak barbarzyńcy. Byłem zadowolony, gdy ta wycieczka się skończyła i znów znaleźliśmy się Berlinie.

Plan na kolejny dzień był wymarzony dla ucznia. Pojechaliśmy autokarem do Ratyzbony, gdzie spędziliśmy poranek na statecznie przesuwającej się po Dunaju barce węglowej, która zionęła czarnym dymem. Tak dotarliśmy do Pasawy. Po obiedzie pojechaliśmy pociągiem do Monachium, gdzie przez trzy dni mieszkaliśmy w schronisku młodzieżowym z dziewczynami, które spały w internacie na podłodze piętro niżej. Następnego ranka zwiedziliśmy stolicę Bawarii. Nic nie wskazywało na to, że kiedyś było to miejsce narodzin partii nazistowskiej. Bardzo podobała mi się rezydencja królów Bawarii, rozległy pałac Wittelsbachów, gdzie Mark Bairstow czuł się tak swobodnie, jakby przybył do domu dawnego przyjaciela w odwiedziny.

Wieczorem poszliśmy do teatru Cuvilliés na *Cyganerię*. Było to moje pierwsze spotkanie z operą, dziedziną, która miała się stać moją życiową pasją. Minęły lata, zanim doceniłem, ile zawdzięczam panu Costello, nauczycielowi, którego lekcje wykraczały daleko poza cztery ściany szkolnej klasy.

Nazajutrz zwiedzaliśmy Starą Pinakotekę, ale nie mogę udawać, że zdołałem w pełni docenić dzieła Dürera czy Cranacha, ponieważ nie odrywałem oczu od grupy dziewcząt, którą oprowadzał po galerii ten sam przewodnik. Zwłaszcza jedna z nich skupiła na sobie moją uwagę.

Do zajęć przewidzianych w programie wycieczki po Bawarii doszły mi też nowe doświadczenia: poznałem smak piwa i frankfurterek, dowiedziałem się, czym jest opera i pocałunek dziewczyny na dobranoc, chociaż nie wydaje mi się, żeby na niej zrobił głębokie wrażenie. Żałowałem, że nie mieliśmy przed sobą kolejnego tygodnia, ponieważ się okazało, że chodziła do klasy o rok wyżej ode mnie.

Ostatniego dnia pan Costello sprowadził nas wszystkich z powrotem na ziemię, gdy w autokarze ogłosił, że celem naszej podróży będzie dawna

linia frontu. Pokonaliśmy mniej więcej dwadzieścia dwa kilometry drogą wiodącą na północ od Monachium, zanim dotarliśmy do niewielkiego miasta o nazwie Dachau. Wiedziałem, że mój najbliższy przyjaciel jest Żydem, ale zawsze myślałem o nim wyłącznie jako o koledze z klasy. Nigdy się ze sobą nie sprzeczaliśmy, tylko czasem mieliśmy różne zdania co do tego, który pałkarz drużyny Yorkshire jako pierwszy powinien zająć miejsce przy bazie domowej. Kiedyś Ben powiedział mi, że jego babcia trzymała spakowaną walizkę przy drzwiach wejściowych, ale nie zrozumiałem, o czym mówi.

Autokar zatrzymał się przed wejściem do obozu koncentracyjnego. Wysiedliśmy w ponurym milczeniu i przyglądaliśmy się niezachęcającej do wejścia, zardzewiałej bramie. Nie chciałem iść dalej, ale ponieważ wszyscy podążyli za panem Costello, potulnie ruszyłem za nim. Najpierw zatrzymaliśmy się przed ogromną ścianą z czarnego marmuru, w którym wyryto tysiąc nazwisk, po to by przypominać każdemu, kto w tym miejscu przebywał nie tak dawno temu i to nie podczas wakacyjnej wycieczki z przewodnikiem. Zauważyłem, że Ben po cichu płacze, patrząc na nazwisko Levy powtórzone na niej trzydzieści siedem razy; trzy z tych osób nie dożyły jego wieku. Spojrzałem z ukosa na Marka Bairstowa. Stał zamyślony, ale nie wyglądał na poruszonego. Pozostali uczniowie zamarli w niezwyczajnej dla nich, całkowitej ciszy.

Młody niemiecki przewodnik przeprowadził nas przez baraki, które pozostały w stanie nietkniętym, odkąd obóz wyzwolili Amerykanie. Zobaczyliśmy w nich rzędy czteropiętrowych prycz z materacami zaledwie dwuipółcentymetrowej grubości, bez poduszek. W jednym końcu stało do połowy napełnione wodą wiadro, które służyło za toaletę dla pięćdziesięciu sześciu osób, opróżniane raz dziennie. Jednakże najgorsze było dopiero przed nami, ponieważ pan Costello nie miał zamiaru nas oszczędzać.

Wróciliśmy do autokaru i pojechaliśmy do Hartheim, gdzie przewodnik zaprowadził nas do dużego, opustoszałego budynku. Weszliśmy do zimnego, przerażającego pomieszczenia, w którym czas się zatrzymał. Wskazał na otwory w suficie, którymi, jak wyjaśnił, wpuszczano gaz do komory, ale dopiero gdy rozebrano więźniów i zaryglowano drzwi. Czułem mdłości. Nie miałem odwagi wejść do ostatniego pomieszczenia, w którym znajdowały się ogromne piece. Przewodnik powiedział nam, że zostały wybudowane w 1933 roku, wkrótce po dojściu Hitlera do władzy. Służyły do obracania w proch ciał jego niewinnych ofiar.

Dopiero po pewnym czasie pojawił się Ben. Upadł na kolana i głośno wymiotował. Pomyślałem o jego babce i po raz pierwszy zrozumiałem, na co czekała ta spakowana walizka. Pośpieszyłem do mojego przyjaciela i zaskoczony dostrzegłem, że Mark Bairstow klęczy obok niego, obejmuje go i próbuje pocieszyć kolegę, z którym nigdy wcześniej nie rozmawiał.

* * *

Z przyjemnością podążałem za przykładem Marka Bairstowa jako przewodniczący rady uczniowskiej, mimo że nie mogłem nawet marzyć o naśladowaniu jego stylu i rozmachu. Przez ostatni rok w szkole pilnie się uczyłem i dzięki intensywnej pomocy pana Costello zaproponowano mi miejsce na Uniwersytecie w Manchesterze, na wydziale historii. Przyjąłem propozycję, chociaż dalsza nauka po drugiej stronie Gór Pennińskich w Lancashire dla kogoś, kto pochodzi z Yorkshire, była równoznaczna za zdradą stanu.

Przed końcem studiów nie potrzebowałem zachęt pana Costello do wyboru zawodu, do którego się najlepiej nadaję. A jeśli ta opowieść była o nauczycielu czerpiącym satysfakcję ze swojej długoletniej pracy… Nie, nie to jest jej tematem.

* * *

Pracowałem jako nauczyciel w szkole średniej w Norfolk, kiedy moja żona zaszła w ciążę. Przekonałem ją, że musimy się udać do Yorkshire, żeby tam urodziła naszego syna, bo w przeciwnym razie chłopiec nie będzie mógł grać w barwach hrabstwa. Rzecz nie w tym, że wykazywała jakiekolwiek zainteresowanie grą w krykieta. Na dodatek okazało się, że na świat przyszła dziewczynka, więc do tematu krykieta nigdy więcej nie wracaliśmy. Postanowiłem skorzystać z okazji, którą był powrót do Leeds, i spotkać się z moim dawnym przyjacielem, Benem Levym. Obecnie prowadził tam praktykę adwokacką. Zaproponowałem mu wypad na jeden dzień do Headingley na mecz Roses.

Jako rodowici obywatele Yorkshire na swoich miejscach byliśmy na długo przed pierwszym rzutem piłki. Przed poranną przerwą wynik meczu dla hrabstwa był siedemdziesiąt siedem do dwóch.

– Mały lunch? – zaproponowałem, wstając z miejsca na trybunie w Hutton. Spojrzałem w stronę loży honorowej i zobaczyłem mężczyznę o znajomej twarzy. Mógłbym przysiąc, że go rozpoznałem, mimo upływu lat. Ale miał na szyi koloratkę i był w fioletowej koszuli, co mnie wprawiło w zdumienie.

Dotknąłem łokcia Bena i wskazując na lożę, zapytałem:

– Czy to jest ten, o kim pomyślałem?

– Tak, to Mark Bairstow, nowy biskup Ripon. W dalszym ciągu jest miłośnikiem krykieta.

– Wydawało mi się, że od samego początku był przygotowywany do roli prezesa najlepszej w hrabstwie odlewni należącej rodziny Bairstowów.

– Świat jest pełen niespodzianek – zażartował Ben. – Po pierwszym semestrze w Cambridge zmienił kierunek i poszedł na teologię. Nikt nie był zdziwiony, gdy został biskupem.

* * *

Podobnie jak pan Costello, ja również organizowałem coroczne wyjazdy do Europy, a po wycieczkach do Rzymu, Paryża i Madrytu uznałem, że nadszedł czas powrócić do Berlina i zobaczyć, jakie zmiany zaszły w stolicy Niemiec od zburzenia muru.

Zastałem miasto zupełnie odmienione. Tylko jedna, niewielka część muru, pokryta graffiti, stała nieruchomo na swoim miejscu – szpetny monument przypominający młodym ludziom, którzy teraz uczą się historii, o losie, jaki przypadł w udziale ich rodzicom i dziadkom.

Drezno okazało się nowoczesnym miastem ze stali i szkła, a w Monachium trzeba było się dobrze naszukać śladów świadczących o zaangażowaniu Niemców w wojnę. W teatrze Cuvilliés dwóch uczniów wykazało taką samą fascynację operą, jaką ja odczuwałem, gdy pierwszy raz się z nią zetknąłem.

Ostatniego dnia po zastanowieniu uznałem, podobnie jak pan Costello, że mam obowiązek pojechać do Dachau, ponieważ antysemityzm ponownie pokazuje swą paskudną twarz w moim kraju. Byłem tak samo poruszony jak za pierwszym razem, chociaż starałem się tego nie okazywać. Nie chciałem, żeby chłopcy i dziewczęta wiedzieli, co czuję. Autokar zatrzymał się przed głównym wejściem. W milczeniu poprowadziłem uczniów przez jeszcze bardziej zardzewiałą bramę do obozu. Na tyle, na ile się

zorientowałem, od mojego pierwszego pobytu nic się w nim nie zmieniło. Moi młodzi podopieczni spędzili trochę czasu, przyglądając się nazwiskom byłych więźniów na ścianie pamięci, a ja zatrzymałem wzrok na nazwisku „Levy” wypisanym trzydzieści siedem razy i pomyślałem o Benie. Baraki pozostały nietknięte. Dostrzegłem wyraz niewiary w oczach dzieci, gdy zobaczyły wiadro z wodą w końcu pomieszczenia. Nigdy więcej nie będą narzekać na swoje ciasne bursy.

Przewodnik zaprowadził nas do muzeum, gdzie oglądaliśmy fotografie więźniów w pasiakach wiszących na ich wychudzonych ciałach i zwłoki mężczyzn i kobiet wleczone z komór gazowych do pieców. Było też zdjęcie Himmlera dla przypomnienia wszystkim, kto wykonywał rozkazy Hitlera.

Żal mi było naszego niemieckiego przewodnika, niewiele starszego ode mnie, z którego smutnych oczu można było wyczytać, że ideologia nazistowskiej ery nie daje się łatwo wyeliminować, a on tak jak ja urodził się po wojnie.

Potem nadszedł czas na ostatni etap zwiedzania, którego bardzo się obawiałem. Również tym razem czułem mdłości, gdy wszedłem do komory gazowej, ale przynajmniej zdobyłem się na odwagę i poszedłem wraz z moimi podopiecznymi do budynku, w którym znajdowały się piece krematoryjne. Patrzyłem na wskaźniki temperatury, przełączniki na ścianie, a potem przez jakiś czas stałem z pochyloną głową. Kiedy znów ją podniosłem, moje oczy spoczęły na ogromnych drzwiach pieca krematoryjnego i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jaką drogę przebył jeden młody człowiek, zanim został biskupem Ripon.

BAIRSTOW I SYN
ODLEWNIA
ZAŁOŻONA W 1866 R.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]

ROGACZ

Adam Weston i Gareth Blakemore spotykali się w każdą niedzielę wieczorem, by w swoim towarzystwie raczyć się winem i nad butelką trunku naprawiać świat.

Miejsce spotkań zawsze było to samo, zmieniało się tylko wino, zwykle najwyższej jakości, wybierane przez Adama. Ostatecznie to on prowadził Swan Inn, popularny pub z dobrym jedzeniem na przedmieściach Evesham.

Gareth, wieloletni przyjaciel Adama, był z zawodu prawnikiem i prowadził kancelarię adwokacką, która należała do Lincoln's Inn. Niedawno otrzymał tytuł honorowego członka palestry – Queen's Counsel. Razem z żoną Angelą mieszkali w wiktoriańskim domu na drugim końcu miasteczka. Gareth zazwyczaj przychodził do Swan Inn około siódmej, przed wyjazdem do Londynu. Dzisiaj był spóźniony, bardzo spóźniony, a Adam znał powód.

Gareth zjawił się kilka minut po dziewiątej. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Uśmiechnął się blado do przyjaciela i usiadł na stołku w głębi baru. Adam otworzył butelkę wina, napełnił dwa kieliszki i dołączył do niego.

– Co to jest? – zapytał Gareth i zaczerpnął łyk wina.

– Niedocenione cabernet sauvignon z Doliny Napy, dość popularne wśród moich stałych klientów.

– Wiem dlaczego – powiedział Gareth, biorąc kolejny łyk.

– Jak minął tydzień? – zapytał Adam, świadom, że nie ma czasu do stracenia.

– Nawet nie pytaj. Powiedz raczej, co u ciebie, bo z pewnością masz lepsze wieści od moich.

– Mieliśmy dobry tydzień – powiedział Adam. – Greene King złożył mi ofertę sprzedaży pubu, ale niestety w tej chwili nie mam takich pieniędzy.

– Ile chcą?

– Dwa miliony. Cena uczciwa. Nalegają tylko, żeby w umowie znalazł się zapis, że przez następne dziesięć lat będę sprzedawać ich piwo.

– Wydaje się to całkiem sensowne – powiedział Gareth. – Zwłaszcza że w zeszłym roku miałeś przyzwoity zarobek.

– Obroty wyniosły prawie milion, a po uregulowaniu czynszu, innych opłat i podatków osiągnąłem około dziewięćdziesięciu tysięcy zysku, nie licząc mojej pensji.

– Uważam, że to opłacalna inwestycja.

– I zamierzam zwiększyć rotację przy stolikach do około dwunastu nakryć. Oprócz tego mam na oku szefa kuchni, który pracuje w Savoyu. Mówi, że ma dość codziennych dojazdów do Londynu.

– Wszystko razem przedstawia się obiecująco. A jakie jest stanowisko banku?

– Pożyczyliby mi milion na cztery procent, ale chcą ustanowić zastaw na wszystkich aktywach, włącznie z pubem. Czyli i tak muszę zgromadzić kolejny milion z innych źródeł. Zastanawiałem się, czy nie zgodziłbyś się zostać moim wspólnikiem…

– Bardzo chętnie – odpowiedział Gareth. – Ale nie mogłeś wybrać gorszego momentu na tę propozycję.

– Wciąż czytam w prasie, że jesteś jednym z najlepiej prosperujących adwokatów w królewskim sądownictwie.

– Owszem, ale wkrótce się to zmieni.

– Dlaczego?

– Angela złożyła pozew rozwodowy. Mam jutro rano wstępne spotkanie z jej adwokatami. To najbardziej wredni prawnicy w branży i powinienem wiedzieć… To ja ich poleciłem.

– Jak to?

– Angela poprosiła o wskazanie kogoś w imieniu przyjaciółki, a tą przyjaciółką okazała się ona sama.

– Naprawdę mi przykro – zmartwił się Adam. – Nic nie wiedziałem – dodał, patrząc ponad barem na dawnego kolegę z klasy.

– Muszę przyznać, że ostatnio nie było mi do śmiechu – powiedział Gareth po kolejnym łyku wina. – W dodatku głównie sam jestem temu winien. Jeśli ktoś cały tydzień siedzi w Londynie i nie zawsze może wrócić na weekend do domu, to relacjom małżeńskim to nie sprzyja.

– Ale rozwód rozwodem, a ty przecież w dalszym ciągu masz przyzwoite dochody z kancelarii.

– Będzie mi potrzebny każdy grosz – powiedział Gareth. – Prawnicy Angeli przygotowują umowę na twardych warunkach. Domagają się nie tylko rezydencji, ale i willi na południu Francji, i to tylko na początek.

– Masz przecież mieszkanie w Chelsea warte parę groszy – zauważył Adam.

– To prawda, ale będę musiał je zatrzymać, jeśli mam jakoś przetrwać – odparł Gareth. – Na szczęście ona uważa, że jest wynajęte, a ja powiedziałem jej, że umowa najmu ma być przedłużona w przyszłym roku.

– Może więc rozsądnie byłoby się z nią ułożyć, zanim się dowie, ile ono jest naprawdę warte.

– Zgodziłbym się z tobą w normalnych okolicznościach – powiedział cicho Gareth – gdybym niedawno nie odkrył, że ona ma romans. Chciałbym się dowiedzieć, kim jest ten drań, byłbym wtedy w o wiele lepszej sytuacji.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że ona ma romans?

– Znalazłem pod łóżkiem spinkę do mankietów, która z całą pewnością nie należy do mnie.

* * *

– Gareth znalazł pod łóżkiem spinkę do mankietów i powiedział mi, że nie jest jego.

Angela spokojnie zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

– Musimy być ostrożniejsi – powiedziała. – Gdyby się dowiedział, że mamy romans, moi adwokaci nie mieliby żadnych szans na wyciągnięcie od niego dwóch milionów. A bez tych pieniędzy nie mogłabym zainwestować w pub.

– Ale w dalszym ciągu chcesz być moją wspólniczką? – zapytał zaniepokojony Adam.

– W pełnym tego słowa znaczeniu, mój drogi – zapewniła Angela, wypuszczając kłęby dymu. – Jeśli jednak nie dostanę tych pieniędzy, może się skończyć na tym, że będę zmuszona stanąć za barem.

– Nie brałem w moim planie pod uwagę takiego wariantu – powiedział Adam. – Natomiast kiedy już się do ciebie wprowadzę, mam zamiar zaadaptować najwyższe piętro pubu i urządzić tam pokoje gościnne, z których można będzie czerpać bardzo potrzebne, dodatkowe dochody. Ale w sprawie ich wystroju zasięgnę twojej rady.

– Z wielką przyjemnością wniosę swój wkład w ten twój plan – powiedziała Angela i zgasiła papierosa. – Wciąż jednak uważam, że byłoby najrozsądniej, gdybyśmy na jakiś czas ograniczyli kontakty.

Adam nie potrafił ukryć rozczarowania.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie w usta.

– Zaczekajmy, aż on podpisze dokumenty rozwodowe – dodała, odsuwając się od niego. – Wtedy będę wolna i zostanę nie tylko twoją wspólniczką, ale też żoną.

– Przyszedł mi na myśl jeszcze inny sposób, który skłoni go do szybkiego załatwienia sprawy.

Angela uniosła brwi.

– Poprosić go o szczegółowe informacje na temat najmu jego mieszkania w Chelsea.

– Nie. Lepiej niech dalej uważa, że to jego karta atutowa, bo inaczej mogłaby się opóźnić finalizacja twojej umowy z Greene King. – Oparła się na poduszce i okryła prześcieradłem. – A tak przy okazji, na jakim etapie jest ta sprawa?

– Spotkałem się w zeszłym tygodniu z przedstawicielem browaru i uzgodniliśmy warunki. Powiedzieli, że gdy tylko będę gotów wpłacić zaliczkę, sporządzą umowę.

– Czyli pozostaje przekonać Garetha, że powinien się zgodzić na dwa miliony, i pub będzie twój.

– Nasz – poprawił Adam. Położył dłoń na wewnętrznej stronie jej nogi i wsunął się z powrotem pod prześcieradło.

* * *

– To jest burgund – powiedział Gareth.

– Wiedziałem, że go poznasz – ucieszył się Adam – po kształcie butelki.

Gareth zmarszczył brwi i pociągnął kolejny łyk.

– Muszę przyznać, że wino jest wspaniałe. Stawiam na Clos de Tart.

Adam pokiwał głową.

– Blisko, ale spróbuj jeszcze raz.

Gareth nabrał kolejny łyk i spojrzał w sufit, jakby szukał natchnienia.

– Wiem. Chambolle-Musigny.

– Brawo, udało ci się.

– W takim razie jest to jedyna rzecz, która mi się udała w tym tygodniu – powiedział Gareth, opróżniając kieliszek.

– Jest aż tak źle?

– Nawet gorzej. Angela podbiła stawkę i teraz domaga się dwóch milionów.

– W takim razie rozsądniej byłoby załatwić sprawę, zanim zażąda więcej.

– Kto wie, może i masz rację, ale gdybym tylko zdołał się dowiedzieć, kim jest ten jej kochanek, to musiałaby się trochę opamiętać.

– Tylko że gdyby się dowiedziała o tym mieszkaniu, mogłaby chcieć dodatkowych pieniędzy, a moim zdaniem na pewno nie warto ryzykować.

– Być może, ale z podjęciem ostatecznej decyzji chyba wstrzymam się jeszcze z tydzień.

Adam sięgnął po butelkę, by nalać Garethowi kolejny kieliszek, ale ten uniósł rękę.

– Ja dziękuję, drogi kolego. Na mnie już czas. Muszę trochę odetchnąć. Jutro o dziesiątej zaczynam, na dodatek jeszcze nie przeczytałem akt. Do zobaczenia w przyszłą niedzielę.

– Miejmy nadzieję, że do tego czasu wszystko będzie załatwione – powiedział Adam. – W taki czy inny sposób.

– Byłoby tak, gdyby się znalazł właściciel drugiej spinki – rzucił Gareth. Zeskoczył ze stołka i szybko opuścił pub.

Adam napełnił sobie kieliszek, ale opróżnił go dopiero wtedy, gdy zobaczył samochód Garetha wyjeżdżający na drogę do Londynu. Zabrał butelkę z resztą trunku do swojego gabinetu. Podniósł słuchawkę i wybrał numer, pod który dzwonił w każdą niedzielę wieczorem.

– Poważnie myśli o tych dwóch milionach – powiedział, gdy tylko usłyszał znajomy głos. – Ostrzegłem go przed konsekwencjami, jeśli odkryjesz prawdziwą wartość mieszkania.

– Brzmi zachęcająco – stwierdziła Angela.

– Tyle że zamierza zwlekać z decyzją kolejny tydzień w nadziei, że dowie się, kim jest twój kochanek.

– Czyli z pewnością nie możemy ryzykować spotkania w tym tygodniu – oświadczyła Angela.

– Ale minął prawie miesiąc – żalił się Adam. – A ja nie mogę się doczekać, kiedy znów cię zobaczę.

– Wiem, jak się czujesz, mój drogi, ale to nie potrwa długo, a potem spędzimy resztę życia razem.

– Miejmy nadzieję.

– Daj spokój, nie bądź takim pesymistą, Adamie. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko będę miała jakieś wieści.

* * *

– Możesz rozmawiać?

– Tak – szepnął Adam.

– Zgodził się na te dwa miliony.

Adam chciał głośno krzyknąć, ale w pubie było pełno gości.

– Moi adwokaci przygotowują dokumenty – relacjonowała Angela. – Obiecał je podpisać w poniedziałek rano, a ponieważ spotkasz się z nim w niedzielę wieczorem, to zrób wszystko, żeby nie zmienił zdania.

– Nie ma obawy – zapewnił Adam. – Na tę okazję wybrałem nawet jego ulubione wino.

– Przygotuj już dziś butelkę szampana, niech się chłodzi w lodzie. A jeśli w poniedziałek podpisze dokumenty, to pójdziemy razem na uroczystą kolację, a potem spędzimy wspólnie pierwszą noc w twoim nowym domu.

* * *

Adam od dłuższego czasu stał zniecierpliwiony przy telefonie, który w końcu zadzwonił. Od razu podniósł słuchawkę.

– Przed chwilą wyszedł z domu, więc powinien być u ciebie za kilka minut.

– Dlaczego tak późno? – zapytał Adam z irytacją. – Zacząłem podejrzewać, że się o nas dowiedział i pojechał prosto do Londynu.

– Daj spokój, znów przesadzasz, mój drogi – ofuknęła go Angela. – Po prostu miał dużo rzeczy do spakowania przed wyjazdem.

– Całe szczęście, bo nie mogę już dłużej odwlekać sprawy z browarem.

– Jestem pewna, że nic się nie stanie, jeśli poczekają do poniedziałku.

– Zadzwoń, proszę, do mnie, gdy tylko podpisze dokumenty. Wtedy od razu przekażę im te dwieście tysięcy zaliczki, których się domagają, choć przyznaję, że jak się tych pieniędzy pozbędę, będę doszczętnie spłukany.

– O to się nie martw, kochanie. Kiedy dokumenty zostaną podpisane, natychmiast przeleję milion na twoje konto i pub będzie twój.

– Nasz – przypomniał jej Adam, przyglądając się, jak jaguar Garetha wjeżdża na parking. – Właśnie przyjechał – szepnął do słuchawki.

– Doskonale. Postaraj się, żeby nie zmienił zdania.

– Z tym nie ma problemu – zapewnił Adam i się rozłączył. Pochylił się i wyjął spod kontuaru zakurzoną butelkę Pouilly-Fumé z 1987 roku. Otworzył ją w chwili, gdy Gareth wchodził do pubu. Po raz pierwszy od wielu miesięcy wyglądał na bardzo zadowolonego.

– W tym tygodniu nie musisz zgadywać – powiedział Adam, stawiając przed nim na barze dwa kieliszki. – Ponieważ wybrałem jedno z twoich ulubionych.

– Z jakiej okazji świętujemy?

– Twojej wolności, oczywiście.

– Skąd o niej wiesz? – zapytał Gareth.

– Widzę po twojej minie – powiedział Adam nieco zbyt szybko. – Czyli teraz będzie jak za dawnych czasów – dodał, unosząc kieliszek.

– Trochę mi do tej wolności brakuje. Muszę jeszcze w poniedziałek podpisać dokumenty.

– Dobrze się zastanowiłeś i nie masz wątpliwości?

– Miałem, ale po rozważeniu twojej rady postanowiłem jej posłuchać i spróbować iść dalej.

– Nawet jeśli będzie cię to kosztować dwa miliony?

– Dodaj do tego dom rodzinny i willę na południu Francji.

– Ale przynajmniej masz mieszkanie w Chelsea.

– I spinkę do mankietu – dodał Gareth.

– Spinkę do mankietu?

– Nie pamiętasz? Dowód, że Angela ma romans.

– Ach, tak! Coś sobie przypominam – powiedział Adam.

– W dodatku jestem prawie pewien, że wiem, do kogo należy druga.

Adam poczuł, jak czerwienią mu się policzki. Pociągnął łyk wina.

– Ktoś, kogo znamy?

– Nie.

– W takim razie, jak się…

– Znalazłem w jej torebce dwa bilety na lot liniami British Airways do Nicei.

Adam milczał, gdy Gareth włożył rękę do kieszeni spodni, wyjął z niej srebrno-niebieską spinkę i położył ją na kontuarze. Adam nie spuszczał jej z oczu.

– Prawdopodobnie ten kochanek zjawi się jutro rano na Heathrow, przed ich wspólnym wyjazdem do naszej – jej – willi na południu Francji.

Adam wciąż nie mógł oderwać oczu od spinki, którą widział po raz pierwszy.

WAKACJE ŻYCIA [1]

– Przestań zrzędzić, babo! – powiedział Dennis, ale nie na tyle głośno, żeby usłyszała go żona.

Dennis Pascoe rozwiódłby się już wiele lat temu, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Z Joyce żył w małżeństwie od trzydziestu czterech lat i uznał, że niestety musi w nim trwać, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Nie była jego wymarzoną kandydatką na żonę, ale przypuszczał, że i on dla niej nie był wyśnionym materiałem na męża. Dennis tłumaczył sobie, że zostali razem ze względu na dzieci, ale ten argument przestał być przekonujący, ponieważ zarówno Joanna, jak i Ken mieszkali teraz za granicą. W istocie więc ich małżeństwo toczyło się pod wpływem działania siły bezwładności.

Dennis niedawno przeszedł na emeryturę. Wcześniej pracował jako zastępca kierownika stacji kolejowej w Audley End na lokalnej linii prowadzącej do Saffron Walden. Zawrotnej kariery zawodowej nie zrobił. Do szkoły przestał chodzić w wieku czternastu lat, nie zdobył żadnego zawodu i bez powodzenia odbył wiele rozmów kwalifikacyjnych na różne stanowiska pracy, zanim podpisał umowę z British Rail i został przyjęty na praktykanta. Powiedział swojej matce, że praca na stacji w Audley End jest tylko trampoliną do dalszej kariery. Rzecz w tym, że zupełnie nie wiedział, jak miałaby wyglądać ta dalsza kariera, i nigdy się nie dowiedział.

Dennis przeszedł drogę od praktykanta, do kasjera biletowego, potem został księgowym i ostatecznie zastępcą kierownika stacji, odpowiedzialnym za pięcioosobowy zespół pracowników, z których tylko trzech pełniło dyżur na stacji w tym samym czasie. Słowo „zastępca” przy nazwie stanowiska stało mu na przeszkodzie do członkostwa w lokalnym klubie golfowym i z tego samego powodu nie mógł liczyć na zaproszenie do grona rotarian.

Jednak prawdziwy problem pojawił się wtedy, gdy przedsiębiorstwo kolejowe Great Eastern przejęło obsługę połączeń od państwowego przewoźnika British Rail, a Dennis zdecydował się na przejście na wcześniejszą emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat i pobieranie świadczenia w pełnej wysokości. Był przekonany, że jest jeszcze na tyle młody, by znaleźć inną pracę i dorobić sobie do skromnego uposażenia

emerytalnego, ale sprawy znowu nie ułożyły się po jego myśli. W sektorze prywatnym nie oferowano zbyt wielu zajęć dla emerytowanych zastępców kierowników stacji kolejowych, oprócz pracy stróża nocnego i osoby przeprowadzającej przez jezdnię uczniów idących do szkoły, a takiej Joyce nie pozwoliła mu nawet brać pod rozwagę.

W ciągu kilku dni po przejściu na emeryturę Dennis zorientował się ponadto, że małżeństwo jest związkiem dwojga ludzi na dobre i na złe, ale nie na siedem dni w tygodniu. Joyce, która nie przepracowała ani jednego dnia w życiu, ponieważ zajmowała się sprzątaniem, robieniem zakupów, przygotowywaniem posiłków, prowadzeniem domowych rachunków i wychowywaniem dzieci, nie była zadowolona, że Dennis plącze się jej w domu pod nogami, gdy ona się po nim krząta. Często mu przypominała, że gospodynie domowe nie przechodzą na emeryturę.

Dennis musiał się też zmierzyć z innym problemem, a mianowicie emerytura uniemożliwiała mu korzystanie z większości luksusów, a w miarę jak przybywało mu lat i wraz z postępującą inflacją, było coraz gorzej. Miał bilet sezonowy do Norwich Football Club na miejsce w odległej części stadionu, a i tak ledwie mógł sobie na niego pozwolić. Na domiar złego los drużyny nie był ani trochę lepszy niż jego. Albo próbowali się utrzymać w pierwszej lidze, albo starali się zakwalifikować do rozgrywek barażowych w drugiej. Trzeba też wspomnieć o miłości jego życia, nie o Joyce, ale o kolekcjonowaniu znaczków – o hobby, które miał od czasu, gdy był siedmiolatkiem, a dokładnie od kiedy dziadek podarował mu pakiet specjalny znaczków pocztowych wydanych z okazji koronacji królowej. W zbiorach Dennis miał teraz ponad tysiąc znaczków z całego świata, które z dumą przechowywał w pięciu klaserach.

Drugim przejawem jego rozrzutności była prenumerata comiesięcznego biuletynu i katalogu Stanleya Gibbonsa; spędzał nad nim wiele godzin ze świadomością, że nigdy nie będzie go stać na rzadkie okazy, które najbardziej chciałby mieć w swojej kolekcji.

Dennis próbował wypełnić dzień długimi spacerami, nie zawsze możliwymi w deszczową pogodę, i wizytami w lokalnym pubie, gdzie siedział w kącie, sącząc małe gorzkie piwo i czytając poranny dziennik „Sun”. Starał się punktualnie wracać do domu na lunch, a później przenosił się na kanapę i tylko drzemał, oglądał popołudniowe programy w telewizji lub przewracał karty swoich albumów ze znaczkami.

Pewnego dnia, gdy czytał „Sun”, a Joyce odkurzała pokój gościnny, zauważył ofertę dotyczącą wakacji na Costa del Sol, które przedstawiały się o wiele atrakcyjniej niż ich coroczny pobyt w Skegness. Dennis dokładniej zapoznawał się z informacjami, gdy Joyce próbowała odkurzyć podłogę wokół niego. Oferta obejmowała noclegi, pełne wyżywienie oraz podróż samolotem w obie strony w cenie dwustu funtów. Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, pomyślał Dennis. Ale czy Joyce w ogóle rozważy ewentualność takiego wyjazdu? Podczas porannego spaceru zastanawiał się, jak ją przekonać, że nadszedł czas na nieco bardziej urozmaicone przedsięwzięcia.

Czekał do końca lunchu, a potem powiedział:

– Kiełbasa i purée były wyśmienite, kochanie.

Joyce zrobiła podejrzliwą minę, ponieważ pochwały nieczęsto płynęły z przeciwległej strony stołu, więc mogła tylko próbować zgadnąć, o co Dennisowi chodzi. Nie musiała długo czekać, żeby się dowiedzieć.

– Przyszło mi na myśl, że może w tym roku miałabyś chęć pojechać w inne miejsce zamiast do Skeggie.

– Ciekawe, co też ci chodzi po głowie. Dwa tygodnie w Wenecji? Relaksująca przejażdżka la Grande Corniche? A może rejs po Nilu, a potem zwiedzanie Kairu i podziwianie skarbów Tutanchamona?

Dennis nie zwracał uwagi na jej złośliwe docinki. Przesunął gazetę po stole i pokazał jej fotografię pensjonatu na Costa del Sol. Zanim zdążyła wyrazić opinię, dodał:

– I weź pod uwagę, że podróż pociągiem na Heathrow będzie bezpłatna. Przywilej zastępcy kierownika stacji kolejowej.

Joyce pomyślała, że to naprawdę jeden z bardziej sensownych pomysłów Dennisa. Szkoda tylko, że będzie musiała spędzić dwa tygodnie w jego towarzystwie. Mimo to zgodziła się, żeby dowiedział się więcej na temat tej podróży.

* * *

Państwo Pascoe wyjechali z Audley End na letni urlop z mieszanymi uczuciami, więc byli mile zaskoczeni, gdy na miejscu się okazało, że śmiałe zachęty w reklamie przełożyły się na wakacje życia. Oboje z zadowoleniem przyłączyli się do grupy dobrze sytuowanych współtowarzyszy przyzwyczajonych do luksusowych podróży, nawet jeśli ta miała się odbyć

liniami Ryanair. W dobrych humorach wylądowali w kraju, w którym słońce znika z nieba dopiero bardzo późno wieczorem. Na taką pogodę nie zawsze można liczyć w Skegness, nawet latem.

Pokoju, w którym zamieszkali, wprawdzie nie można by nazwać luksusowym, ale był czysty i wygodny, a żaden z trzech posiłków dziennie ani razu nie składał się z kiełbasy i ziemniaków purée. Być może dla Joyce czasy bikini już minęły, a jej mąż miał wypukłości we wszystkich miejscach, w których nie powinno ich być, ale przynajmniej na plaży nie widzieli porozrzucanych pustych butelek po piwie, a w morskiej wodzie czuli się jak w ciepłej kąpieli w wannie. Była jeszcze premia, ponieważ zyskali wielu nowych znajomych. Ilekroć ktoś pytał Joyce o męża, odpowiadała, że jest emerytowanym kierownikiem stacji kolejowej.

Dwa tygodnie później pan i pani Pascoe wrócili do Anglii opaleni i wypoczęci z gotowymi planami na kolejny taki wyjazd wakacyjny za rok. Joyce nawet podała pod rozwagę pomysł, żeby wybrać się w nieco dalszą podróż.

Niewiele brakowało, a fantastyczne wakacje w ostatniej chwili okazałyby się nieudane, gdy na lotnisku Stansted przyszło im czekać w hali bagażowej na walizkę Dennisa, która miała się pojawić na karuzeli, ale się nie pojawiła. Nie wszystko jednak było stracone, bo kiedy Joyce nieco później tamtego wieczoru przeczytała informację zamieszczoną drobnym drukiem na broszurce wakacyjnej, dowiedziała się, że wszystkie szkody o wartości do pięćdziesięciu funtów są objęte ubezpieczeniem. Zagubiona walizka dawniej należała do jej matki i nie przedstawiała praktycznie żadnej wartości, więc Joyce nie mogła być bardziej zachwycona, gdy trzy tygodnie później czek na trzydzieści cztery funty i pięćdziesiąt pięć pensów znalazł się na ich wycieraczce.

Joyce, która zaliczała się do oszczędnych pań domu, czekała na styczniową wyprzedaż i dopiero wtedy nabyła nową walizkę i torebkę. Takiego zakupu nie brałaby pod uwagę w normalnych okolicznościach. Doskwierało jej nawet pewne poczucie winy, ale tylko do czasu, gdy odkryła, że Dennis w tajemnicy przed nią kupił zestaw znaczków wydanych z okazji urodzin księcia Walii.

* * *

Wszystko w domu państwa Pascoe byłoby dobrze, gdyby utracona walizka po pewnym czasie nie została odnaleziona w przechowalni zagubionego bagażu, a potem przekazana z powrotem do Railway Cuttings. Dennis natychmiast napisał do towarzystwa ubezpieczeniowego, z którego przyszedł standardowy list skierowany do „Szanownych Państwa” z pieczątką „Sprawa zakończona”.

Joyce poczuła ulgę, że nie będą musieli zwrócić trzydziestu czterech funtów, już wydanych, ale to zdarzenie skłoniło ją do zastanowienia…

Przez cały następny miesiąc Dennis pisał listy do wszystkich wiodących agencji turystycznych, a przez kolejne sześć miesięcy analizował różne broszury, które otrzymał od nich pocztą. Do swego zadania podszedł bardzo poważnie, jakby przygotowywał się do egzaminu, który miał zdawać przed Joyce. Upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim był gotów zaproponować swojej żonie miejsce, w którym mogliby spędzić następne letnie wakacje.

Joyce także wysłała kilka listów z prośbą o broszury i przeglądała je równie uważnie jak mąż, żeby zanim Dennis będzie przygotowany przedstawić propozycje dotyczące terminu i miejsca kolejnej podróży, ona była również gotowa podzielić się z nim swoimi informacjami, które gromadziła przez ostatnie sześć miesięcy.

Po długiej dyskusji postanowili się wybrać na Lanzarote i wtedy Joyce opowiedziała mężowi o swoim pomyśle udoskonalenia planów wyjazdowych, dzięki któremu według niej wakacje byłyby jeszcze bardziej satysfakcjonujące. Dennis słuchał z niedowierzaniem wyjaśnień żony i natychmiast pomysł Joyce odrzucił. Powiedział, że jakkolwiek by patrzeć, jej zamiary są nieuczciwe. Jednakże tydzień później, po kilku długich spacerach i zbyt wielu opróżnionych kuflach piwa w miejscowym pubie, poprosił Joyce, żeby ponownie przeanalizowali jej pomysł, ale ostatecznie zgodził się na jego realizację dopiero wtedy, gdy w najnowszym katalogu Stanleya Gibbonsa zobaczył znaczek Penny Black, o którym od dawna marzył.

Joyce bez wątpienia bardzo skrupulatnie całą sprawę przemyślała i w drobnych szczegółach, minuta po minucie, wytłumaczyła Dennisowi to, co będą musieli zrobić, pozwalając mu jednocześnie zadawać dodatkowe pytania i wskazywać słabe punkty jej planu. Dennis zwrócił uwagę na tylko jeden problem, który uznał za niemożliwy do pokonania, ale zdziwił się, gdy się okazało, że jego żona wymyśliła rozwiązanie. Był pod wrażeniem

i choć wciąż miał wątpliwości, pozwolił jej wprowadzić plan w życie i wypełnić wszystkie niezbędne formularze.

* * *

Pan i pani Pascoe wsiedli do pociągu na lotnisko Heathrow i z niecierpliwością czekali na drugie „wakacje życia”. Urlop mógłby wypaść lepiej, gdyby Dennis nie denerwował się ewentualnymi konsekwencjami niepowodzenia planu Joyce. Niemniej jednak dwa tygodnie później, po powrocie do domu, zgodnie stwierdzili, że pobyt na Lanzarote był o wiele bardziej udany od poprzedniego na Costa del Sol. Ponadto, ilekroć w rozmowach z innymi urlopowiczami pojawiał się temat pracy, Dennis ani razu nie zaprzeczył, że niedawno przeszedł na emeryturę jako dyrektor w przedsiębiorstwie kolejowym Great Eastern, a na Lanzarote brzmiało to bardzo przekonująco.

Na lotnisku, gdy po przylocie wszyscy pasażerowie zabrali swoje bagaże z pasa transmisyjnego, Joyce uderzyła w płacz, a Dennis starał się wszelkimi sposobami ją pocieszyć. Wkrótce potem wyjaśniła sympatycznemu, młodemu bagażowemu, że jedna z jej walizek nie pojawiła się na karuzeli. Podjęto intensywne poszukiwania, ale niestety nie udało się znaleźć bagażu. Joyce zalewała się łzami.

Wrócili do Saffron Walden. Joyce odczekała kilka dni i wysłała dwa wnioski o odszkodowanie z tytułu utraty walizki do dwóch różnych firm ubezpieczeniowych wraz z wykazem zawartości bagażu: trzy sukienki, kilka sztuk bielizny osobistej, dwie pary butów, flakonik perfum, kosmetyczka, a nawet elegancka bransoletka z charmsami (zdjęcie w załączeniu).

Nie minęło wiele czasu i niemal równocześnie przyszły pocztą dwa czeki: jeden na kwotę osiemdziesięciu czterech funtów i dwudziestu pensów oraz drugi na sto dziesięć funtów. Każdy z nich został złożony w innym banku z dyspozycją przekazania odpowiedniej kwoty na rachunek osoby o innym nazwisku.

Podczas świątecznej wyprzedaży Joyce kupiła sześć nowych walizek różnej wielkości w kilku domach towarowych w centrum Londynu, a Dennis nabył pakiet znaczków Penny Red w wersji nieperforowanej, które z dumą dodał do swojej kolekcji.

* * *

Przedstawiciel linii Cunarda nie znajdował słów przeprosin za zagubienie jednej z dużych walizek pana i pani Pascoe – zielonej, opatrzonej zawieszką z wyraźnie wypisanym na niej imieniem i nazwiskiem, Joyce Pascoe, która z przekonaniem o tym zapewniała – podczas rozładunku bagaży ze statku po trzeciej podróży. Ochmistrz zapewnił panią Pascoe, że dołożą wszelkich starań, żeby jej walizkę odnaleźć.

Kilka tygodni później przyszedł pierwszy z kilku czeków na kwotę odszkodowania za poniesioną stratę, kolejne rekompensaty za tę samą walizkę pojawiały się w regularnych odstępach czasu w ciągu następnych sześciu miesięcy, podobnie jak coraz rzadziej spotykane okazy znaczków czystych pocztowo i opieczętowanych od Stanleya Gibbonsa.

– Nie możemy być zbyt chciwi – powiedziała Joyce po powrocie z zimowych wakacji na Karaibach, po których napłynęło dziewięć kolejnych czeków.

„Wakacje życia” okazały się tak bardzo udane, że po pięciu latach państwu Pascoe udało się zgromadzić kwotę wystarczającą na przeprowadzkę z wynajętego domu w zabudowie bliźniaczej w Saffron Walden do niewielkiego, własnego, wiejskiego domu krytego strzechą w Steeple Bumpstead, który nazwali „Bocznica”. Joyce poczuła tam, że znacznie zbliżyli się do ludzi o statusie tych, których poznali podczas wakacji.

* * *

Kiedy pan i pani Pascoe przystąpili do planowania następnych letnich wakacji, Joyce przestrzegła męża, że zaczyna brakować towarzystw ubezpieczeniowych, a nie można sobie pozwolić na ponowne zgłaszanie roszczenia do tego samego, z którego już korzystali. Dennis był rozczarowany tą wiadomością, ponieważ niedawno został członkiem lokalnego klubu golfowego, nabył bilet okresowy na mecze Norwich City FC na miejsce położone dość blisko linii środkowej i został zaproszony do pełnienia funkcji wiceprezesa Klubu Rotariańskiego. Zaczął także zapełniać coraz cenniejszymi znaczkami swój ósmy album. Dennis byłby pierwszą osobą, która przyznałaby, że nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby nie jego

nowo odkryta zamożność. Uświadomił sobie, że znalazł się wśród ludzi sukcesu, i wśród nich chciał zostać.

* * *

Joyce obudziła męża w środku nocy, ponieważ przyszedł jej do głowy nowy pomysł, którym się z nim chciała podzielić. Dennis słuchał uważnie, a potem nie mógł zasnąć. Gdyby się udało zrealizować jej plan, to mógłby nawet kandydować do rady parafialnej.

– Ale to będzie nasze ostatnie przedsięwzięcie – zastrzegła Joyce – ponieważ pozostały jeszcze tylko trzy renomowane towarzystwa ubezpieczeniowe.

Nie wymieniła, których do tej pory nie obrabowali.

Spisała dla Dennisa listę zadań do wykonania przed ich wyjazdem na letnie wakacje. Znalazła się na niej między innymi wypłata wolnych środków, które mieli na rachunkach bankowych. Uważnie przeczytała wszystkie adnotacje wydrukowane drobną czcionką w ogólnych warunkach trzech firm ubezpieczeniowych, do których nie występowali jeszcze o odszkodowanie, a Dennis poinformował swoich znajomych z klubów golfowego i rotariańskiego, że wspólnie z Joyce planują podróż po Nilu z okazji czterdziestej rocznicy ślubu, ponieważ jego żona zawsze chciała zobaczyć piramidy i zwiedzić grobowiec Tutanchamona.

Z kolei Joyce wypełniła formularze, napisała listy i wysłała czeki. Zanim wyruszyli do Southampton, wszystkie sprawy były załatwione.

17 lipca 2001 roku Dennis i Joyce weszli na pokład statku wycieczkowego SS *Balmoral*, który wypływał w rejs do Salali, Port Saidu i po Kanale Sueskim, a w drodze powrotnej do Southampton zawijał do Stambułu.

ADNOTACJA AUTORA

Na tym etapie opowieści wymyśliłem trzy różne zakończenia, a ponieważ nie wiedziałem, na które się zdecydować, postanowiłem napisać wszystkie trzy i wybór pozostawić czytelnikom.

A

Statek wycieczkowy zawinął do portu w Stambule i zacumował przy nabrzeżu. Pasażerowie przechylający się przez burtę z zainteresowaniem obserwowali dwóch policjantów, którzy weszli na pokład luksusowego liniowca i poprosili ochmistrza o wskazanie kabiny pana i pani Pascoe.

Joyce głośno szlochała, gdy oboje schodzili ze statku pod opieką funkcjonariuszy i w czasie jazdy na najbliższe lotnisko. Nie przestała płakać podczas lotu na Heathrow ani w drodze powrotnej czarną limuzyną do Steeple Bumpstead.

Kiedy samochód, którym przyjechali dzięki uprzejmości władz Barrington, zatrzymał się przed bramą „Bocznicy”, Joyce znów zalała się łzami. Dennis wysiadł z auta i w milczeniu przyglądał się dogasającym zgliszczom, które pozostały po ich niewielkim domu.

Naczelnik miejscowej straży pożarnej, również rotarianin, szybkim krokiem podążał w ich stronę.

– Bardzo mi przykro, Dennis – powiedział. – Moi ludzie przybyli na miejsce niemal natychmiast, ale płomienie sięgnęły strzechy i niewiele mogli poradzić.

– Jestem pewien, że nie zaniedbałeś niczego, Alanie – zapewnił go Dennis, starając się robić wrażenie zmartwionego.

– Straciliśmy wszystko – powiedziała Joyce reporterowi z lokalnej gazety. – I żadne odszkodowanie nie zrekompensuje nam szkód.

Te słowa znalazły się na pierwszej stronie gazety obok zdjęcia zapłakanej Joyce, która była pewna, że żadna firma ubezpieczeniowa tego doniesienia nie przeoczy. Na szczęście nie wszystko, pomyślał Dennis, który ukrył kolekcję znaczków w swojej szafce w klubie golfowym.

Joyce i Dennis zameldowali się w hotelu Bumpstead Arms (koszt noclegów wchodził w zakres jednej z trzech polis ubezpieczeniowych), a następnie spędzili miesiąc na poszukiwaniach nowego domu. Firma, która ubezpieczała ich majątek ruchomy, załatwiła formalności dość szybko. Nieco dłużej trwało uzyskanie odszkodowania od ubezpieczyciela nieruchomości.

Państwo Pascoe kupili podobny dom po drugiej stronie wsi, tym razem niepokryty strzechą – takie pokrycie dachu stanowi zbyt duże zagrożenie,

wyjaśnił Dennis swoim znajomym z klubu golfowego. Urządzili go i umeblowali. Po tych wydatkach zostało im wystarczająco dużo zasobów finansowych na bardzo komfortowe życie. Od czasu do czasu mogli też sobie pozwolić na wyjazd wypoczynkowy poza sezonem bez gubienia bagażu.

Pojawił się jednak problem, którego żadne z nich nie przewidziało. Z powodu nudy w krótkim czasie znowu zaczęli działać sobie nawzajem na nerwy.

To Joyce wpadła na pomysł rozwiązania, na które Dennis chętnie przystał. Zmienili nazwisko, przenieśli się do West Country i znów zaczęli się rozglądać za „wakacjami życia”.

B

Salala była pierwszym miastem na trasie ich podróży na Bliski Wschód. Statek wycieczkowy zawinął do portu i wkrótce potem Joyce i Dennis pojechali taksówką na suk. Nie spiesząc się, spacerowali po zatłoczonym bazarze, krążyli między różnobarwnymi straganami – było ich pewnie kilkaset – z tysiącami najrozmaitszych dywanów. Joyce wykazywała o wiele więcej zainteresowania znalezieniem odpowiedniego sprzedawcy niż wyborem dywanu. Wypatrzyli mężczyznę, którego z pewnością nikt nie zaprosiłby do wygłoszenia prelekcji w Klubie Rotariańskim, oni natomiast przyjęli jego zaproszenie na filiżankę tureckiej kawy. Dopiero po kawie przystąpili do negocjacji ceny dywanu utkanego z tysięcy jedwabnych nici, którego wyjątkowe cechy zachwalał sprzedawca.

Godzinę później Joyce zgodziła się na cenę, którą Dennis zapłacił gotówką, a sprzedawca za ten rzadko spotykany dywan z naturalnego jedwabiu wystawił im pokwitowanie na czterokrotnie wyższą kwotę.

W Port Saidzie odwiedzili kilka sklepów jubilerskich i z ich oferty wybrali tylko najbardziej atrakcyjną biżuterię, między innymi złotą broszkę z wizerunkiem Nefretete, sznur pereł godnych Kleopatry i bransoletkę z brylantami, której – Joyce była więcej niż pewna – pozazdroszczą jej żony rotarian. Właściciele sklepów z biżuterią byli równie życzliwi jak sprzedawca dywanów, gdy doszło do wystawiania rachunków na kwotę odpowiadającą wartości odtworzenia do celów ubezpieczeniowych, jak im wyjaśniła Joyce.

W Stambule kupili obraz olejny z widokiem na cieśninę Bosfor z łodzią rybacką na pierwszym planie. Joyce wyobrażała sobie, że będzie się doskonale prezentował nad kominkiem w ich pokoju gościnnym. Cena dzieła już była wygórowana, ale na pokwitowaniu znalazła się trzykrotnie wyższa.

Zanim *Balmoral* zawinął do portu w Southampton, państwo Pascoe wydali wszystkie pieniądze, które mieli do dyspozycji, ale za to weszli w posiadanie niezwykle cennych przedmiotów, których wartość Joyce mogła w sposób niepodważalny udowodnić.

Joyce starannie zapakowała wszystkie zakupy z podróży do dużej, zielonej walizki. Gdy bagaże były gotowe, pracownik obsługi zabrał z ich kajuty kufer i dwie nieduże walizki. W hali bagażowej w Southampton Joyce zagrała w pożegnalnym przedstawieniu rolę godną Elizabeth Taylor.

– Mówi pani, że to była duża, zielona walizka?

– Tak, proszę pana – odparła Joyce. – Z wszystkimi pięknymi rzeczami, które kupiliśmy w podróży.

Dennis robił wszystko, by pocieszyć żonę, a miał w tym już dużą wprawę.

Zachęceni obietnicą nagrody niektórzy członkowie załogi statku przystąpili do poszukiwania dużej, zielonej walizki, ale godzinę później okazało się, że żaden z nich na nagrodę nie zasłużył.

Państwo Pascoe opuszczali halę bagażową jako jedni z ostatnich pasażerów, przekonani, że nie ma już nadziei na odnalezienie ich skarbów. Pracownik obsługi umieścił ich kufer i dwie walizki na wózku i ruszył z nimi w stronę wyjścia.

Dennis i Joyce podążali za nim w minorowych nastrojach, aż w pewnym momencie niedawno awansowany funkcjonariusz celny na domiar złego, jakby specjalnie chciał ich jeszcze bardziej pogrążyć, poprosił ich na bok i polecił umieścić bagaż na kontuarze. Bagażowy posłusznie zastosował się do jego polecenia.

– Czy w czasie pobytu za granicą kupiła pani jakieś wartościowe przedmioty?

– Nie – odpowiedziała Joyce. – Tylko kilka niedrogich pamiątek.

Ochoczo otworzyła dwie walizki. W jednej z nich zapakowane w worek znajdowały się brudne rzeczy Dennisa, przygotowane do prania, w drugiej, starannie ułożone jej ubrania.

– Dziękuję – powiedział celnik. – A kufer?

Bagażowy podniósł kufer i postawił go przed celnikiem.

– Proszę otworzyć – powiedział celnik, gdy Dennis odwrócił się i spojrzał na żonę.

Joyce znów zalała się łzami, ale tym razem nie spotkała się z takim samym współczuciem jak poprzednio.

– Czy mógłby pan otworzyć kufer, proszę pana – powtórzył młody funkcjonariusz bardziej stanowczo.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Dennis niechętnie postąpił krok do przodu, otworzył kufer i podniósł wieko, pod którym ukazała się duża, zielona walizka wypełniająca niemal całe wnętrze.

– Proszę teraz otworzyć walizkę – powiedział młody celnik, gdy starszy rangą funkcjonariusz podszedł do stanowiska kontroli.

Dennis otworzył suwak walizki i powoli uniósł pokrywę. Ukazały się wszystkie skrupulatnie wybrane przedmioty, które kupili w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Młodszy funkcjonariusz zaczął je wyciągać, odwijał jeden po drugim, a starszy kolejno je spisywał.

Dopiero po dłuższej chwili odezwał się po raz pierwszy.

– Czy mają państwo rachunki za te pamiątki? – zapytał.

– Tak – odparł Dennis.

– Nie – wtrąciła się Joyce, co spowodowało, że starszy funkcjonariusz poprosił ją o torebkę, w której szybko znalazł kopertę z czterdziestoma dwoma paragonami.

Nie spieszył się przy sprawdzaniu każdego przedmiotu z pokwitowaniem. Na koniec podliczył poszczególne kwoty na dużym kalkulatorze. Minęło trochę czasu, zanim zwrócił się do Joyce.

– Proszę sprawdzić moje wyliczenia, chociaż przypuszczam, że również pani wyjdzie ostatecznie dwadzieścia siedem tysięcy siedemset szesnaście funtów. Mam nadzieję, że oboje państwo wiecie, że od kupionych za granicą towarów o wartości przekraczającej pięćdziesiąt funtów jesteście zobowiązani zapłacić czterdziestoprocentowy podatek przywozowy. – Powrócił do kalkulatora. – To znaczy, że w tym wypadku podatek dla Urzędu Skarbowego i Podatkowego Wielkiej Brytanii wynosi jedenaście tysięcy osiemdziesiąt sześć funtów i czterdzieści pensów. Jeśli nie zostanie

uiszczony, wszystkie towary będą zatrzymane do czasu wniesienia należnej opłaty w pełnej wysokości.

C

W drodze powrotnej pociągiem do Audley End Dennis i Joyce zgodnie uznali te ostatnie wakacje za najbardziej udane z dotychczasowych i już planowali kolejną podróż na przyszły rok.

Joyce stwierdziła, że najrozsądniej byłoby pojechać do Steeple Bumpstead taksówką, zamiast ciągnąć się z walizkami do autobusu. Dennis się zgodził, chociaż w kieszeni miał ostatnie dziesięć funtów.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed bramą „Bocznicy", Joyce zalała się łzami.

Dennis wysiadł z samochodu i w milczeniu przyglądał się dogasającym zgliszczom, które pozostały po ich niewielkim domu.

Naczelnik miejscowej straży pożarnej, również rotarianin, szybkim krokiem podążał w ich stronę.

– Bardzo mi przykro, Dennis – powiedział. – Moi ludzie przybyli na miejsce niemal natychmiast, ale zapaliła się już strzecha i nic nie można było zaradzić.

– Nie mam wątpliwości, że niczego nie zaniedbałeś, Alanie – powiedział Dennis, starając się robić wrażenie zmartwionego.

Joyce nie przestawała płakać, a Dennis zastanawiał się, czy ona nie przesadza z tą rozpaczą.

– Spójrz na jasną stronę tej sprawy – wyszeptał do żony, obejmując ją ramieniem. – Jestem pewien, że kupiłaś kilka polis ubezpieczeniowych domu.

– Ale ja nie ubezpieczyłam domu – powiedziała Joyce głęboko poruszona. – Uważałam, że nie ma żadnego powodu.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]

WSZYSTKO ALBO NIC

– Chyba mamy problem przy trzecim stole – powiedział menedżer, wpatrując się uważnie w ekran monitora stojącego na jego biurku.

– Który gracz? – zapytał szef ochrony. Podszedł do szefa i spojrzał mu przez ramię.

– Młody mężczyzna. Ten, za którym stoi atrakcyjna kobieta. Co sądzisz, André?

– Daj zbliżenie – poprosił szef ochrony. – Przyjrzyjmy się dokładniej.

Menedżer nacisnął i trzymał klawisz, aż twarz młodego mężczyzny wypełniła ekran.

– Masz rację – potwierdził André. – Ten gość gra o podwójną stawkę. Ma spocone czoło. Prawdopodobnie wysoko mierzy.

– A dziewczyna? – dociekał menedżer, kierując kamerę wprost na młodą kobietę, która prawą ręką wspierała się na ramieniu hazardzisty.

– Mogę tylko powiedzieć, że to nie jest laska na jedną noc.

– Skąd ta pewność?

– Oboje mają obrączki.

– Przyprowadź tu Duvala.

André szybkim krokiem opuścił gabinet menedżera, a ten w dalszym ciągu obserwował młodzieńca, który postawił tysiąc franków na trzynastkę.

– Idiota – mruknął pod nosem menedżer, rzucając okiem na pierwszą stronę dziennika „Le Figaro”, który leżał obok na biurku. Nie musiał czytać artykułu po raz trzeci. Nagłówek był wystarczająco złowrogi.

JEDENASTE SAMOBÓJSTWO W MONTE CARLO PO GIGANTYCZNEJ PRZEGRANEJ W KASYNIE

Spojrzał na ekran i zobaczył, jak młody gracz umieszcza kolejne tysiąc franków na trzynastce.

– Idiota! – powtórzył. – Wydaje ci się, że bez ciebie mam tu za mało problemów?

Claude Richelieu, właściciel kasyna, telefonował z Paryża na początku tygodnia, zaniepokojony ostatnim rozporządzeniem rządu francuskiego. Minister spraw wewnętrznych wywierał naciski na Radę ds. Gier

Hazardowych w Monte Carlo, by zamknąć niedawno otwarte kasyno. Zbyt wiele się pojawiło w prasie doniesień o samobójstwach, rozbitych małżeństwach i bankructwach spowodowanych hazardem, we Francji zakazanym prawem, i powodach niebotycznych dochodów w Monte Carlo. Menedżerowi wymknęło się przekleństwo, gdy Richelieu dodał: „Samobójców już nam wystarczy”.

– Ale co mam zrobić? – zapytał. – Jeśli ktoś zgra się do ostatniego grosza, a potem postanawia się zabić?

– Wyreguluj koło – powiedział Richelieu. – Zrób tak, żeby wygrał.

– A jeśli się nie uda?

Właściciel kasyna szczegółowo wyjaśnił swemu podwładnemu, jak ma postąpić, jeśli regulacja koła okaże się nie w pełni skuteczna.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wrócił szef ochrony w towarzystwie jednego z nielicznych pracowników, którzy wieczorem nie musieli być w kasynie w smokingu. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś na ulicy zauważył Philippe’a Duvala, przypuszczalnie pomyślałby, że ten niewysoki, łysiejący mężczyzna w średnim wieku jest nauczycielem albo księgowym. Duval miał jednak talent wyjątkowo cenny dla kasyn – potrafił w pięciu językach z ruchu warg odczytać, co mówią ludzie.

– O którego chodzi? – zapytał, patrząc na ekran.

– O tego młodego. – Menedżer ponownie skierował kamerę na hazardzistę. – Co możesz mi o nim powiedzieć?

Duval obserwował gościa uważnie i odezwał się dopiero po pewnym czasie, kiedy młody człowiek zdążył stracić kolejne tysiąc franków postawionych na trzynastkę.

– Jest Francuzem, paryżaninem. Kobieta stojąca za nim to jego żona, Maxine, chyba że każde z tych dwojga jest w związku małżeńskim z kimś innym.

– Powiedz mi, co mówią – poprosił Marcel.

Duval pochylił się i uważnie przyglądał się parze.

– On: Zły los się wkrótce odwróci. Ona: Wolałabym, żebyś już przestał, Jacques. Wróćmy do hotelu, dopóki mamy dość pieniędzy na zapłacenie rachunku. On: O rachunek za hotel się nie martwię, Maxine, przecież wiesz. Boję się tego rekina pożyczkowego. Dopadnie mnie, gdy tylko pokażę się w Paryżu.

Młody człowiek położył następne tysiąc franków na trzynastce.

Kulka wpadła do przedziału oznaczonego numerem dwadzieścia sześć.

– On: Następnym razem się uda.

– Czy Tony dziś wieczorem pracuje? – zapytał menedżer.

– Tak, szefie – odpowiedział szef ochrony. – Przy dziewiątym stole.

– Niech się zamieni z tym od stołu trzeciego. I powiedz mu, że kulka ma wpaść do trzynastki.

– To wciąż tylko szansa jedna na pięć – powiedział szef ochrony.

– I tak lepiej niż trzydzieści siedem do jednego – odparł menedżer. – Idź i to załatw.

– Już się robi – powiedział szef ochrony. Wybiegł z pokoju i skierował się do sali gier, ale zanim tam dotarł, młody człowiek zdążył stracić kolejne tysiąc franków.

– Przestaw kamerę – poprosił Duval. Menedżer pomniejszył obraz. – Chcę się przyjrzeć temu człowiekowi w głębi sali. Opiera się w rogu o filar. – Kamera przesunęła się na mężczyznę w średnim wieku, który również uważnie obserwował stół. – To dziennikarz z „Le Figaro”.

– Jesteś pewien? – burknął menedżer.

– Spójrz na zdjęcie przy nazwisku autora przed artykułem na pierwszej stronie. – Duval postukał palcem w gazetę leżącą na biurku.

– François Colbert – przeczytał menedżer. – Najchętniej bym go ukatrupił.

– Myślę, że on to samo zrobiłby z tobą – powiedział Duval, gdy kamera wróciła do poprzedniego położenia i pokazał się obraz stołu, przy którym nastąpiła zmiana krupierów.

– Zrób tak, żeby kulka wpadła do trzynastki, Tony – powiedział menedżer.

Nowy krupier zakręcił kołem. Wszyscy skierowali uwagę na kulkę, a wtedy prawa ręka krupiera niepostrzeżenie znalazła się pod stołem.

Tymczasem Jacques postawił kolejne tysiąc franków na numer trzynasty w tej samej chwili, w której krupier puścił w ruch białą kulkę. Młody hazardzista, menedżer, szef ochrony i Duval nie odrywali od niej wzroku, aż do momentu, gdy znalazła się w przedziale oznaczonym numerem dwadzieścia siedem bezpośrednio sąsiadującym z lewej strony z trzynastką.

– Przy następnym rzucie ustawi dobrze – powiedział menedżer.

– Lepiej niech się postara – skomentował Duval. – Bo nasza ofiara ma już tylko dwa żetony.

Młody mężczyzna postawił oba na trzynastkę. Krupier znowu rzucił kulkę i po raz kolejny palcem wskazującym dotknął ukrytej pod stołem

dźwigni, a sześciu bezpośrednio zainteresowanych rezultatem obserwowało, w którym przedziale zatrzyma się kulka. Wpadła do trzydziestego szóstego.

– Tony wstrzelił się po obu stronach trzynastki – powiedział menedżer. – Za trzecim razem z pewnością trafi tam, gdzie trzeba.

– Ale wydaje mi się, że nasz gość nie ma już pieniędzy – zauważył Duval, gdy gracz odwrócił się i spojrzał na żonę.

– Co on mówi? – zapytał kierownik.

– Nie wiem, bo jest odwrócony do mnie plecami. Przybliż mi kobietę. Ona mówi: Ale nic oprócz tego nie mamy, Jacques. Jeśli dam ci resztę, to jesteśmy doszczętnie spłukani.

Krupier jeszcze raz zakręcił kołem, wyrzucił kulkę i po raz trzeci przestawił dźwignię. Tym razem kulka zatrzymała się w przedziale trzynastym, ale gracz nie zdążył obstawić. Gdy się odwrócił przodem do stołu, rozległo się głębokie westchnienie stojących wokół obserwatorów, a on z rozpaczą w głosie powiedział do żony: Widzisz, nie posłuchałaś mnie, Maxine. A mogłem wygrać trzysta tysięcy i oddać dług.

Młoda kobieta natychmiast otworzyła torebkę i wręczyła krupierowi plik banknotów. Przeliczył je powoli.

– Dziesięć tysięcy franków, proszę pana – powiedział obojętnym głosem, po czym wrzucił pieniądze do plastikowego pojemnika, który znajdował się obok niego.

– Miej oko na dziennikarza – powiedział Duval.

Menedżer przeniósł wzrok na François Colberta, który zapisywał każde słowo wypowiedziane przez Jacques’a i jego żonę.

– *Merde!* – zaklął i skierował uwagę z powrotem na krupiera.

– Wszystko na trzynastkę – powiedział młody człowiek.

Krupier spojrzał na zastępcę menedżera, który skinął głową. Zakręcił kołem i puścił w ruch kulkę, jeszcze raz namacał ręką dźwignię. Kulka wpadła do przedziału z numerem trzynastym, ale tylko na chwilę i zaraz przeskoczyła do oznaczonego liczbą dwadzieścia siedem. Młody człowiek wydał przeraźliwy jęk, zerwał się od stołu i krzyknął do kobiety: Przez ciebie nie mam wyboru!

Maxine osunęła się na najbliższe krzesło i uderzyła w płacz, a jej mąż wybiegł z kasyna na taras. Menedżer wstał od biurka i pospieszył na balkon. Patrzył, jak młody człowiek wyskakuje na plażę i pędzi w kierunku

morza. Przyjrzał mu się uważniej i mógłby przysiąc, że dostrzegł pistolet w jego prawej ręce.

Nie zwlekając, wrócił do biurka i próbował skontaktować się telefonicznie z szefem ochrony. Wtedy dobiegł go odgłos wystrzału.

– Przyjdź do mnie! – polecił menedżer, gdy André się zgłosił. – Tylko szybko. – Tymczasem podszedł do dużego sejfu wmurowanego w ścianę. Wprowadził ośmiocyfrowy kod i otworzył ciężkie drzwi. – Jaką kwotę wymienił? Ile miało rozwiązać jego problemy?

– Trzysta tysięcy franków – powiedział Duval, w chwili gdy do gabinetu wpadł André.

– Weź te pieniądze – powiedział menedżer, wręczając szefowi ochrony pakiet gotówki. – Idź i wykonaj polecenie góry.

Szef ochrony wymknął się z pokoju, zszedł schodami na zapleczu i tylnymi drzwiami wybiegł na plażę. W świetle księżyca od razu zobaczył świeże ślady i podążał za nimi, aż dotarł do mężczyzny leżącego na piasku. Z jego ust płynęła krew, pistolet znajdował się tuż obok. Szef ochrony rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, i zaczął wpychać zwitki banknotów do kieszeni marynarki martwego, a potem do kieszeni spodni. Na koniec kilka banknotów rozrzucił w pobliżu ciała.

André jeszcze raz sprawdził, czy nikt go nie widział, podniósł się z kolan i wrócił do kasyna. Gdy był już w środku, ruszył biegiem tymi samymi schodami do gabinetu menedżera.

– Zrobione, szefie – poinformował krótko.

– W porządku. Teraz nikt nie będzie snuł przypuszczeń, że gość popełnił samobójstwo, bo u nas stracił fortunę.

* * *

Maxine zaczekała, aż szef ochrony zniknie z powrotem w kasynie, i dopiero wtedy wyszła na zewnątrz. Wciąż się rozglądała we wszystkie strony. Wolała mieć pewność, że nikt jej nie obserwuje.

Dotarła do ciała męża i uklękła na piasku. Wyciągała banknoty z jego kieszeni i chowała je do dużej, pustej torebki. Zebrała nawet rozrzucone przy nim na piasku.

Pochyliła się niżej i delikatnie pocałowała męża w czoło.

– Na plaży czysto, kochanie – szepnęła, zerkając w stronę kasyna.

Jacques otworzył oczy i się uśmiechnął.

– Spotykamy się w Paryżu, François, ty i ja – powiedział.
Jego żona wzięła torbę i ulotniła się, nie zwlekając ani chwili.

PIERWSZY ZASTĘPCA DYREKTORA BANKU

1

Arthur Dunbar analizował operacje na rachunku pana S. Macphersona z niemałą satysfakcją graniczącą z poczuciem dumy. Znów przeniósł wzrok na rubrykę salda końcowego, w której widniała kwota: 8 681 762 dolary amerykańskie. Porównał ten stan rachunku z ubiegłorocznym. Wówczas wynosił on 8 189 614 dolarów. Wzrósł o sześć procent, a trzeba pamiętać, że w ciągu ostatniego roku jego klient wykorzystał 281 601 dolarów na wydatki osobiste, czyli na opłacenie wszystkich rachunków domowych oraz na kwartalne zestawienie wynagrodzenia pana i pani Laidlaw, którzy, według przypuszczeń Arthura, pełnili u jego klienta długoletnią służbę.

Arthur oparł się na krześle i nie po raz pierwszy pomyślał o człowieku, który pochodził z Ambrose, miejscowości położonej w górzystym regionie północnej Szkocji. Kiedy Arthurowi powierzono prowadzenie konta, mniej więcej osiemnaście lat temu, jego poprzednik, który się tym zajmował, powiedział mu, że pan Macpherson, wtedy niewiele starszy od Arthura, pojawił się w banku i, po zdobyciu fortuny w branży kolejowej, zdeponował 871 tysięcy dolarów w gotówce i oznajmił, że wraca do Szkocji.

Arthur uśmiechnął się na myśl o tym, że wobec każdego, kto w dzisiejszych czasach zjawiłby się w banku z dziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce, wszczęto by śledztwo, które byłoby prowadzone przez niedawno powołany zespół do spraw przeciwdziałania praniu pieniędzy. Co więcej, gdyby nie zostały zaznaczone wszystkie pola w odpowiednim formularzu, to cała dokumentacja trafiłaby do specjalnej brygady dochodzeniowej policji w Toronto.

Arthur już dawno przestał się zastanawiać, dlaczego pan Macpherson w dalszym ciągu współpracuje z National Bank of Toronto, skoro ma do dyspozycji wiele szkockich banków oferujących usługi na równie wysokim poziomie i znacznie dogodniejszych pod względem dostępu i kontaktów. Ponieważ jednak przez ostatnie dwadzieścia pięć lat prowadził sprawy

wzorowo, to ten temat uznał za zamknięty, a ponadto torontyjski bank z całą pewnością nie chciał stracić jednego ze swoich najważniejszych klientów.

Informacji o swoim kliencie Arthur miał niewiele. Wiedział tylko tyle, że on i jego klient dzielą wiele wspólnych cech. Przez te wszystkie lata przekonał się, że pan Macpherson jest niewątpliwie pełnym inwencji, inteligentnym biznesmenem. Ostatecznie dziesięciokrotnie pomnożył swoją pierwotną inwestycję, a jednocześnie pobierał z rachunku tyle środków, ile potrzebował na niezwykle komfortowe życie. W rzeczywistości tylko raz w ciągu ostatnich osiemnastu lat nie udało mu się osiągnąć zysku, pomimo krachu na giełdzie, zmian rządów i niezliczonych konfliktów na całym świecie. Sprawiał wrażenie człowieka bez przywar, a jego jedynym upodobaniem odbiegającym od ogólnie przyjętych zwyczajów było kupowanie od czasu do czasu obrazu u Munro, handlarza dziełami sztuki w Edynburgu, i to pod warunkiem że wyszedł spod pędzla szkockiego artysty.

Arthur już dawno pogodził się z brakiem talentu na miarę pana Macphersona do poruszania się w świecie finansów, ale był bardzo zadowolony, że może się uczyć od mistrza. Ilekroć otrzymywał od niego nowe instrukcje, inwestował część własnych pieniędzy w te same walory w ilości, która nikomu nie rzucała się w oczy. Kiedy więc pierwszy zastępca dyrektora banku sprawdził stan swego konta na koniec kwartału, wynoszący 243 519 dolarów amerykańskich, miał ogromną chęć osobiście podziękować panu Macphersonowi. Tym bardziej że wiek emerytalny szybko się zbliżał, a Arthur, dzięki sporej sumce zgromadzonej na czarną godzinę i pełnej emeryturze, czekał na ten czas w poczuciu komfortu, na jaki bez wątpienia sobie zasłużył.

Jeśli nawet istniała pani Macpherson, żadne oznaki na to nie wskazywały, więc Arthur uznał, że jego klient, podobnie jak on, jest kawalerem. Wiele tajemnic otaczało tego człowieka, więc i ta prawdopodobnie pozostanie niewyjaśniona.

Było jednak coś, co od kilku tygodni budziło niepokój Arthura w związku z rachunkiem klienta, choć nie potrafił określić, co jest jego źródłem. Ponownie otworzył plik i zanotował kwotę 8 681 762 dolary, a potem skrupulatnie sprawdził każdy zapis. Wszystko wydawało się w porządku.

Potem przejrzał czeki od osób prywatnych i firm, które wpłynęły w ciągu ostatniego miesiąca, i porównał z pozycjami w księdze rachunkowej. Nie dopatrzył się żadnych nieprawidłowości. Zgadzały się zwykłe wydatki na gospodarstwo domowe i rachunki za usługi komunalne, żywność, wino, gaz, energię elektryczną, nawet płatności dla Hudsons, miejscowego sklepu z prasą. Mimo to Arthur wciąż miał wrażenie, że coś jest nie w porządku. W samym środku nocy doznał nagłego olśnienia, jakby zobaczył błyskawicę na niebie.

Następnego dnia rano, zaraz po przyjściu do banku, wyciągnął księgi pana Macphersona z dolnej szuflady. Przerzucił kartki do poprzedniego kwartału i od razu zauważył, że wydatki z ostatniego okresu były o wiele niższe od księgowanych dotychczas. Gdyby były znacznie wyższe, Arthur zorientowałby się od razu i nabrałby podejrzeń. Odkrycie, którego dokonał, zaciekawiło go. Tylko jedna pozycja po stronie wydatków nie odbiegała od wykazywanych do tej pory, a mianowicie comiesięczne wynagrodzenie dla długoletnich służących, pana i pani Laidlaw.

Oparł się na krześle i zastanawiał, czy powinien poinformować dyrektora o tym odstępstwie, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu z dwóch powodów. Po pierwsze, zbliżał się dzień rozpoczynający kolejny kwartał, a wtedy zawsze otrzymywał nowe instrukcje od pana Macphersona. Bez wątpienia zatem nadejdzie proste wyjaśnienie powodów zmniejszenia wydatków. Po drugie, nie przepadał za nowym dyrektorem banku.

Nie tak dawno temu Arthur sam rozważał możliwość wystąpienia z wnioskiem o nominację na to stanowisko, ale jego nadzieje się rozpłynęły, gdy został na nie mianowany pan Stratton z oddziału w Montrealu, o połowę młodszy od Arthura, ale za to absolwent McGill University i Wharton Business School. Arthur natomiast – w tym miejscu warto przytoczyć słowa jego nieżyjącego ojca, byłego sierżanta w Seaforth Highlandres, sławnym pułku brytyjskiej armii – przeszedł przez wszystkie stopnie od szeregowego do oficerskiego. Ostatnio powierzono mu funkcję pierwszego zastępcy dyrektora banku. W kręgach bankowych było jednak wiadomo, że w strukturze organizacyjnej przewidziano kilku zastępców dyrektora, pierwszym zaś zostawało się wtedy, gdy poprzednik przechodził na emeryturę, a nowo mianowany znalazł się na czele kolejki przyszłych emerytów. Ojciec Arthura nazwałby ten cykl „rotacją Bugginsa”.

Arthur kilkakrotnie ubiegał się o stanowisko dyrektora jednego z mniejszych oddziałów swego banku, ale nawet nie zakwalifikował się do grona kandydatów zaproszonych na rozmowę kwalifikacyjną. Pewnego razu usłyszał, jak członek komisji rekrutacyjnej powiedział o nim: „Dunbar jest porządnym facetem, ale na wyższe stanowisko się nie nadaje”.

Arthur zastanawiał się też, czy by nie odejść z National Bank of Toronto do któregoś z konkurentów, ale szybko się zorientował, że wynagrodzenie w nowym miejscu byłoby na początku niższe, a z całą pewnością nie mógłby liczyć na uczestnictwo w takim samym planie emerytalnym, do jakiego miał prawo dzięki wieloletniej lojalnej i oddanej pracy. W końcu za osiemnaście miesięcy mija mu trzydzieści lat zatrudnienia w tym banku, a to znaczy, że mógłby przejść na emeryturę i otrzymywać świadczenie w wysokości dwóch trzecich obecnej pensji. Gdyby odszedł przed upływem trzydziestu lat, otrzymałby zaledwie połowę, musi więc tylko wytrwać kolejne osiemnaście miesięcy.

Arthur powrócił do czeków, których stos piętrzył się na biurku, i już miał je przejrzeć kolejny raz, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i od razu rozpoznał wesoły głos Barbary, sekretarki pana Strattona.

– Pan Stratton pyta, czy mógłbyś zajrzeć do niego w dogodnej chwili, co należy rozumieć „jak najszybciej”, ponieważ ma ważną sprawę do przedyskutowania, a to znaczy, że „masz przyjść teraz”.

– Oczywiście – odparł Arthur. – Zaraz tam będę.

Nie lubił wezwań do gabinetu dyrektora, ponieważ rzadko, jeśli w ogóle, zwiastowały dobre wieści. Ostatnim razem Stratton wezwał go, gdy potrzebował ochotnika do zorganizowania przyjęcia bożonarodzeniowego, a obowiązki z tym związane przełożyły się na wiele godzin pracy bez wynagrodzenia wyrwanych z wolnego czasu, no i dawno minęły dni, kiedy mógł mieć nadzieję, że jedna z dziewczyn z hali maszyn pójdzie z nim tamtego wieczoru do domu.

Najszczęśliwsza z tych okazji pojawiła się wtedy, gdy do pracy w banku przyszła Barbara i zawiązała się między nimi więź, którą można nazwać przelotnym flirtem. Okazało się, że wiele ich łączy, nawet zamiłowanie do muzyki klasycznej, chociaż wciąż nie potrafił zrozumieć, dlaczego ona woli Brahmsa od Beethovena. Największy żal Arthur miał do siebie, że nie poprosił jej o rękę. Gdy wychodziła za mąż za Rega Caldercrofta z działu rachunkowości, Arthurowi przypadła w udziale rola ich świadka.

Złożył akta pana Macphersona i umieścił je w górnej szufladzie biurka, którą zamknął na klucz. Wyszedł z pokoju i ruszył wolno korytarzem. Zapukał do drzwi gabinetu dyrektora i usłyszał krótkie: „Wejść”. Tego typu zachowań również nie znosił u pana Strattona.

Otworzył drzwi i wszedł do dużego, ładnie urządzonego gabinetu. Zatrzymał się i czekał na zaproszenie do zajęcia krzesła. Stratton uśmiechnął się i mu je wskazał. Arthur odwzajemnił się równie nieszczerym uśmiechem i zajął miejsce naprzeciwko dyrektora. Zastanawiał się, jakie to zadania do wykonania na ochotnika tym razem otrzyma.

– Dzień dobry, Arthurze – przywitał go młody mężczyzna.

– Dzień dobry, panie Stratton – odparł Arthur, który raz zwrócił się do Geralda po imieniu, wtedy gdy tamten objął stanowisko dyrektora, ale usłyszał, że „Gerald nie jest odpowiednią formą w godzinach pracy”. Ponieważ nigdy nie spotkali się na gruncie towarzyskim, to ten pierwszy raz, gdy zwrócił się do dyrektora po imieniu, był zarazem ostatni.

– Arthurze – zaczął Stratton z takim samym uśmiechem – otrzymałem pismo z centrali, o którym, moim zdaniem, powinniśmy wspólnie porozmawiać, zwłaszcza że jesteś wicedyrektorem banku i naszym pracownikiem z najdłuższym stażem.

Arthurowi od razu na myśl nasunęło się pytanie: „Do czego on zmierza?”.

– Zobowiązano mnie do ograniczenia liczby personelu. Domagają się… – ciągnął Stratton, patrząc na list leżący na biurku – dziesięcioprocentowej redukcji zatrudnienia. Zgodnie z sugestią zarządu powinniśmy zacząć od zaproponowania pracownikom wyższego szczebla możliwości przejścia na wcześniejszą emeryturę.

Żeby ustąpić miejsca młodszym, którym będą mogli wypłacać połowę wynagrodzenia, Arthur chciał dodać, ale to spostrzeżenie zachował dla siebie.

– Oczywiście pomyślałem, że uznasz to za idealną okazję dla siebie po ubiegłorocznym incydencie zdrowotnym.

– To nie był żaden incydent zdrowotny – sprostował Arthur. – Nie byłem w banku przez cztery dni. Zaledwie cztery przez blisko trzydzieści lat pracy – przypomniał Strattonowi.

– W istocie, postawa godna pochwały – przyznał Stratton. – Ale czy nie wydaje ci się, że czasem tego rodzaju historie trzeba uznać za ostrzeżenie?

– Nie, wcale tak nie uważam – zaprzeczył Arthur. – Jestem w doskonałej formie i dobrze pan wie, że brakuje mi tylko osiemnastu miesięcy do okresu zatrudnienia kwalifikującego do pełnej emerytury.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Stratton. – I proszę, nie sądź, że nie jestem wyrozumiały. Mam jednak związane ręce. – Spojrzał na list, wyraźnie próbując obarczyć winą kogoś innego. – Jestem pewien, że zrozumiesz problem, w którego obliczu stoję.

– To ja stoję przed problemem, nie pan – powiedział Arthur, zdobywając się na odwagę, której dotychczas na ogół mu brakowało.

– Zarząd poprosił mnie, bym wyraził w ich imieniu wielkie uznanie – odparł Stratton – dla twojej długoletniej i oddanej pracy dla banku. Jestem pewien, że z zadowoleniem przyjmiesz do wiadomości, że zgodzili się, by na twoją cześć zorganizować przyjęcie pożegnalne i uhonorować cię odpowiednim prezentem za wybitne zasługi dla National Bank of Toronto.

– Raut z chipsami, orzeszkami ziemnymi, lampką *vin ordinaire* i pozłacanym zegarkiem. Dziękuję bardzo. Wolałbym pełną emeryturę, do której mam prawo.

– I chcę, Arthurze, żebyś wiedział – dodał Stratton, pomijając milczeniem ostrą reakcję wicedyrektora – że stoczyłem… bój w twojej obronie, ale zarząd… Cóż, jestem pewien, że wiesz, jacy oni są.

W rzeczywistości Arthur nie miał pojęcia, jacy oni są. Wątpił nawet, czy na ulicy rozpoznałby napotkanego przypadkiem któregokolwiek z członków zarządu.

– Udało mi się mimo to osiągnąć pewien niewielki sukces w twojej sprawie – kontynuował Stratton. Ten sam nieszczery uśmiech znów się pojawił na jego twarzy. – Uzyskałem zgodę na odroczenie wykonania decyzji. – Po minie dyrektora widać było, że wyraźnie pożałował słów wypowiedzianych przed chwilą, ale nie powstrzymało go to przed dalszą ofensywą. – Wszyscy inni będą musieli odejść przed końcem następnego kwartału, czyli najpóźniej za sześć miesięcy, ty natomiast, jako pierwszy zastępca dyrektora, będziesz mógł zachować swoje stanowisko jeszcze przez rok.

– Wtedy zostanie mi zaledwie sześć miesięcy do granicznego stażu pracy – zauważył wzburzony Arthur.

– Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, zważywszy na okoliczności – obstawał przy swoim Stratton. – W ciągu kilku najbliższych dni napiszę do ciebie pismo ze szczegółowymi informacjami. – Dyrektor

wahał się chwilę, po czym dodał: – Mam nadzieję, Arthurze, że mogę liczyć, że powiadomisz innych starszych kolegów o decyzji zarządu. W takich sprawach doskonale się sprawdzasz.

Arthur wstał z godnością, na jaką się potrafił zdobyć.

– Idź do diabła, Geraldzie. Sam sobie odwalaj swoją brudną robotę – powiedział spokojnie z nieszczerze przymilnym uśmiechem i wyszedł.

Wrócił do siebie i zaklął głośno po raz pierwszy od przegranego meczu drużyny hokejowej Toronto Maple Leafs z Montreal Canadiens w ostatniej minucie dogrywki w Pucharze Stanleya.

Przez jakiś czas krążył bez celu po swoim niewielkim pokoju, aż w końcu usiadł i zaczął pisać list do pana Macphersona z wyjaśnieniem, dlaczego ktoś inny będzie w przyszłości obsługiwał jego konto.

* * *

Minęły dwa tygodnie, a odpowiedź z Ambrose Hall nie nadchodziła. Arthur był zdziwiony, ponieważ o swoim najbardziej szanowanym kliencie z całą pewnością mógł powiedzieć jedno: że nigdy nie pozwolił sobie na żadne uchybienie i był niezwykle skrupulatny.

Pierwszy zastępca dyrektora banku w dalszym ciągu codziennie sprawdzał pocztę, ale odpowiedzi na swój list nie otrzymał. Jeszcze bardziej się zdumiał nietypową sytuacją, kiedy nastał ostatni dzień kwartału, a nie nadszedł jak zazwyczaj długi, napisany na maszynie list ze szczegółowymi instrukcjami pana Macphersona dotyczącymi inwestycji i zawierający dyspozycje dla banku na najbliższe trzy miesiące.

Właśnie wtedy, gdy Arthur usiłował zasnąć, przyszedł mu do głowy jedyny sensowny powód nietypowego zachowania pana Macphersona. Usiadł na łóżku wyprostowany jak struna i tej nocy nie zmrużył oka.

Niemniej jednak minęły jeszcze dwa tygodnie, zanim Arthur uznał, że ten „jedyny sensowny powód” stał się bardzo prawdopodobny. Ale dopiero gdy otworzył list od Strattona, potwierdzający dzień przejścia na emeryturę i szczegółowe warunki, pierwszy raz w ciągu dwudziestu ośmiu lat pracy w National Bank of Toronto zaświtała mu nieuczciwa myśl.

Arthur Dunbar był z natury człowiekiem rozważnym, więc tej nieuczciwej myśli pozwolił przez jakiś czas dojrzewać, zanim ułożył wstępny plan – oczywiście tylko w swojej głowie.

W następnym miesiącu rozliczał każdy czek wystawiony na nazwisko klienta, realizował także miesięczne polecenie wypłaty wynagrodzenia panu i pani Laidlaw na ich wspólny rachunek w Bank of Scotland w Ambrose. Niemniej, gdy z drukarni przysłano nową książeczkę czekową, Arthur nie wysłał jej panu Macphersonowi, ale zamknął ją w górnej szufladzie swego biurka.

Był pewien, że w ten sposób wywoła natychmiastową reakcję, jeśli…

Arthur kolejny raz czytał list, który znalazł się na jego biurku. Przekazała mu go sekretarka pana Strattona. Był krótki i rzeczowy.

Z ogromną przykrością…

W żadnym miejscu w liście nie pojawiło się słowo „zwolniony” ani wzmianka o „redukcji zatrudnienia”, znalazły się w nim natomiast życzenia szczęśliwej emerytury i wyrazy zadowolenia z możliwości kontynuowania współpracy przez następne dziesięć miesięcy. Arthur zaklął po raz drugi w tym roku.

Do końca miesiąca nic specjalnego się nie wydarzyło, list od pana Macphersona nie nadszedł. Przyjęcie dla pracowników wszyscy uznali za wielki sukces, oprócz Arthura, który wyszedł ostatni i spędził Boże Narodzenie sam.

* * *

Arthur spojrzał w kalendarz: 7 stycznia, a on w dalszym ciągu nie otrzymał żadnych dyspozycji od pana Macphersona, chociaż jego klient wiedział, że wszelkie płatności wkrótce przestaną być realizowane, ponieważ Arthur nie wydał nowej książeczki czekowej za miniony kwartał. Ale Arthur się nie spieszył. Miał jeszcze dziewięć miesięcy na opracowanie strategii wyjścia i jak przystało na bankowca, był zwolennikiem długotrwałych procedur.

Przed końcem następnego kwartału również nie pojawiły się żadne instrukcje od pana Macphersona, więc Arthur uznał, że jego klient jest albo poważnie chory i nie może się komunikować, albo zmarł. Swój następny ruch przemyślał bardzo dokładnie. Początkowo myślał, że dobrze byłoby napisać do pana Macphersona o ostatniej dywidendzie, którą otrzymał od Shell Oil Company. Zapytać go, czy chce ją przyjąć w formie wypłaty, czy też woli skorzystać z oferty nabycia nowych akcji. Po długim zastanowieniu listu nie wysłał, ponieważ obawiał się, że byłby on sygnałem ostrzegawczym dla pana i pani Laidlaw, że ktoś w banku nabrał podejrzeń.

Arthur zdecydował, że poczeka do wyczerpania czeków i dopiero wtedy wykona następny ruch. Za każdym razem, gdy z drukarni przychodziła nowa książeczka czekowa, umieszczał ją w górnej szufladzie swego biurka z pozostałymi.

Cierpliwość się opłaciła, ponieważ Laidlawowie w końcu się zdradzili. Kiedy cztery ostatnie czeki zostały przysłane do rozliczenia, Arthur zauważył, że widniejące na nich kwoty są coraz większe. Podjął odważną decyzję, że pomimo stanu konta przekraczającego osiem milionów dolarów w środkach pieniężnych, akcjach i obligacjach, zakwestionuje czek wystawiony dla Cooks Travel za wyjazd wypoczynkowy dla dwóch osób na Ibizę. Czekał na ostry list od pana Macphersona, w którym będzie się domagał wyjaśnienia, ale żadna korespondencja nie nadeszła, co ostatecznie przekonało Arthura, że nadszedł czas wprowadzić w życie drugą część planu.

2

Ilekroć w banku ktoś – choć takich osób nie było wiele – pytał Arthura, dokąd się wybiera na urlop, za każdym razem odpowiadał: „Jadę w odwiedziny do mojej siostry, do Vancouver”. Zanim nadszedł czas wyjazdu na letnie wakacje, miał nie tylko siostrę, ale też całą rodzinę: Eileen i Mike’a, którzy pracowali w instytucji samorządu lokalnego, a także siostrzenicę i siostrzeńca, Sue i Mike’a juniora. Nie wykazał się szczególną inwencją, ale jeżeli przez dwadzieścia dziewięć lat się nie kłamie, to przyjaciele i znajomi na ogół dają wiarę temu, co się im mówi.

Przez następny miesiąc Arthur w dalszym ciągu regularnie inwestował aktywa pana Macphersona, choć nieco zachowawczo, trzymając się dobrze sprawdzonych sposobów. Równocześnie wypłacał ze swego konta osobistego niewielkie kwoty, aż w górnej szufladzie biurka zgromadził nieco ponad trzy tysiące dolarów, zupełnie jak oblubieniec przygotowujący się do ślubu.

W poniedziałek rano, na tydzień przed wyjazdem, Arthur włożył banknoty do pudełka na lunch, wyszedł z biura i udał się na swoją ulubioną ławkę w parku. Jednak po drodze zboczył do Royal Bank of Canada, gdzie odczekał na swoją kolej do kasy i dolary wymienił na funty szterlingi.

We wtorek, podczas przerwy na lunch, okrężną drogą udał się do miejscowego biura podróży, gdzie kupił bilet lotniczy do Vancouver

i z powrotem. Zapłacił czekiem, wrócił do banku i położył bilet w widocznym miejscu na rogu biurka, żeby każdy mógł go zobaczyć. Zagadnięty o wakacyjny wyjazd, znowu opowiadał o swojej siostrze Eileen i jej rodzinie w Vancouver.

W środę Arthur, w imieniu pana Macphersona, złożył wniosek o wydanie nowej karty kredytowej i dyspozycję zablokowania płatności dotychczasową. Po czterdziestu ośmiu godzinach na biurku pojawiła się lśniąca, czarna karta. Arthur był gotowy do realizacji drugiego etapu swojego planu.

Skrupulatnie wybrał dni, w które będzie poza biurem. Wyznaczył dwa tygodnie przed corocznym urlopem zaplanowanym przez Strattona.

W piątek wyszedł z banku kilka minut po szóstej i jak zwykle pojechał autobusem do swojego niewielkiego mieszkania w Forest Hill. Spędził bezsenną noc, zastanawiając się, czy podjął właściwą decyzję. Gdy w sobotę rano słońce w końcu wzeszło, był zdecydowany w dalszym ciągu wprowadzać w życie plan i tak jak powiedziałby jego ojciec, „dbać wyłącznie o własny interes”.

Po spokojnym śniadaniu spakował walizkę i tuż przed południem opuścił mieszkanie. Wezwał taksówkę, choć normalnie w ogóle nie brałby pod uwagę takiego wydatku. Niemniej jednak to, co miał zrobić przez następne kilka dni, w równym stopniu nie mieściło się w jego zwyczajach.

Wysiadł z taksówki na terminalu lotów krajowych i udał się wprost do stanowiska linii lotniczych Air Canada. Tam wymienił bilet do Vancouver i z powrotem na bilet w jedną stronę do Londynu i wybrał miejsce przy oknie w samym końcu samolotu. Różnicę w cenie zapłacił gotówką. Następnie przejechał autobusem wahadłowym na terminal międzynarodowy, gdzie był jednym z pierwszych pasażerów, którzy zgłosili się do odprawy. W poczekalni przed wejściem na pokład siedział za dużym filarem z opuszczoną głową, osłonięty gazetą „Toronto Star”. Zamierzał wejść do samolotu pierwszy, a wyjść z niego ostatni, mając nadzieję, że w ten sposób zmniejszy prawdopodobieństwo rozpoznania przez kogokolwiek.

Zapiął pasy i nie próbował nawiązać rozmowy z młodymi ludźmi siedzącymi obok. Podczas siedmiogodzinnego lotu obejrzał dwa filmy, na które nie traciłby czasu w domu, a w przerwie między nimi udawał, że śpi.

Następnego dnia rano samolot wylądował na lotnisku Heathrow. Arthur czekał cierpliwie w kolejce do odprawy imigracyjnej. Zanim funkcjonariusz

przyłożył mu pieczęć w paszporcie, jego jedyna walizka krążyła już na karuzeli bagażowej. Po odprawie celnej wsiadł do autobusu jadącego do terminalu piątego. Tam kupił bilet do Edynburga, za który również zapłacił gotówką. W stolicy Szkocji, znów taksówką, dotarł do hotelu Caledonian, który polecił mu kierowca.

– Na jak długo zamierza się pan u nas zatrzymać? – zapytała recepcjonistka.

– Tylko na jedną nocy – odparł Arthur, gdy podawała mu klucz do pokoju.

Obawiał się, że będzie miał kolejną niespokojną noc, ale ledwie przyłożył głowę do poduszki, zapadł w sen.

* * *

Rano zamówił śniadanie do łóżka – była to kolejna rzecz, którą zrobił po raz pierwszy. Kiedy usłyszał dziewięć uderzeń dobiegających z pobliskiego zegara, podniósł słuchawkę telefonu stojącego na nocnym stoliku i wybrał numer, którego nie musiał szukać w notesie.

– Royal Bank of Scotland. W czym mogę pomóc?

– Chciałbym porozmawiać ze starszym doradcą do spraw rachunków bankowych – powiedział Arthur.

– Buchan, słucham – rozległ się w słuchawce głos innego pracownika. – Czym mogę służyć?

– Zamierzam przenieść moje konto do państwa banku – wyjaśnił Arthur. – Czy możemy się umówić na spotkanie jak najszybciej?

– Oczywiście – odpowiedział doradca, którego głos nagle zabrzmiał życzliwiej. – Dziś o jedenastej. Czy ta godzina panu odpowiada, panie…?

– Macpherson – przedstawił się Arthur. – Tak, będę o jedenastej.

Arthur wyszedł z hotelu zaraz po dziesiątej trzydzieści i kierując się instrukcjami portiera, ruszył Princes Street. Przystawał od czasu do czasu przy oknach wystawowych, ponieważ nie chciał zbyt wcześnie przybyć na umówione spotkanie.

Do banku wszedł za pięć jedenasta. Recepcjonistka zaprowadziła go do gabinetu pana Buchana. Starszy doradca wstał za biurkiem i obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Z jaką sprawą pan przychodzi, panie Macpherson? – zapytał Buchan, gdy jego potencjalny klient usiadł.

– Za kilka miesięcy wracam do Szkocji – wyjaśnił Arthur. – Państwa bank polecił mi pierwszy zastępca dyrektora National Bank of Toronto.

– To jest nasz bank partnerski w Toronto – powiedział Buchan. Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej formularze.

Przez następne dwadzieścia minut Arthur udzielał odpowiedzi na pytania, które sam zazwyczaj zadawał. Wypełnił ostatnie pole i na linii przerywanej złożył podpis S. Macpherson. Buchan poprosił o dokument tożsamości, na przykład paszport.

– Bardzo mi przykro – powiedział Arthur. – Paszport zostawiłem w hotelu, ale mam przy sobie kartę kredytową.

Platynowa karta kredytowa okazała się wystarczającym dowodem tożsamości dla doradcy.

– Dziękuję – powiedział Buchan, oddając kartę. – Czy mogę zapytać, kiedy zamierza pan dokonać przeniesienia?

– Przypuszczam, że w ciągu najbliższych kilku tygodni – odparł Arthur. – Ale poproszę pana Dunbara, zastępcę dyrektora banku, który opiekował się moim kontem przez ostatnie dwadzieścia lat, żeby się z panem skontaktował w tej sprawie.

– Dziękuję – powiedział Buchan, zapisując nazwisko. – Wobec tego czekam na wiadomość od niego.

Arthur spacerem wrócił do hotelu bardzo zadowolony ze spotkania w banku. Uważał, że nie mogło pójść lepiej. Zabrał walizkę z pokoju i udał się do recepcji.

– Mam nadzieję, że przyjemnie spędził pan u nas czas, panie Macpherson – powiedziała recepcjonistka. – I że niebawem znów nas pan odwiedzi.

– Liczę, że tak będzie w niedalekiej przyszłości – powiedział Arthur. Rachunek uregulował gotówką, wyszedł z hotelu i poprosił portiera o wezwanie taksówki.

Wysiadł na stacji kolejowej, stanął w kolejce do kasy i kupił bilet pierwszej klasy do Ambrose i powrotny. Jechał sam w wygodnym przedziale, obserwował umykający krajobraz i coraz bardziej zagłębiał się w górzyste tereny Szkocji, mijając jeziora i sosnowe lasy. Arthur mógłby się zachwycać widokami, gdyby jego myśli nie zaprzątała najważniejsza część planu, którą miał przed sobą.

Do tej pory wszystko układało się pomyślnie, ale od dawna wiedział, że prawdziwą przeszkodą, którą będzie musiał pokonać, jest spotkanie

z panem i panią Laidlaw.

W Ambrose zajął miejsce na tylnym siedzeniu kolejnej taksówki i poprosił kierowcę, by zawiózł go do najlepszego hotelu w mieście. Ten zareagował na jego prośbę śmiechem.

– Jestem więcej niż pewien, że nigdy nie był pan w tych stronach. Ma pan do wyboru dwie możliwości: Bell Inn albo Bell Inn.

Arthur również się roześmiał.

– Czyli tę sprawę mamy załatwioną. Czy mogę jeszcze przy okazji zamówić u pana kurs na jutro, na dziesiątą rano?

– Oczywiście – ucieszył się kierowca. – Chce pan jechać tym samochodem czy limuzyną, którą też mam do dyspozycji?

– Wolę limuzyną – powiedział Arthur bez wahania. Zależało mu na tym, żeby państwo Laidlawowie od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia.

– Dokąd pojedziemy? – zainteresował się kierowca, gdy zatrzymali się przed Bell Inn.

– Do Ambrose Hall.

Kierowca odwrócił się i spojrzał na pasażera uważniej, ale nic nie powiedział.

Arthur wszedł do pubu, przy którego barze było również stanowisko recepcji. Zarezerwował pokój na jedną noc i powiedział właścicielowi, że jeszcze nie wie, jak długo zostanie, bez dodatkowego wyjaśnienia, że jeżeli w drzwiach wejściowych w Ambrose Hall stanie pan Macpherson, to on najbliższym samolotem wróci do Toronto.

W pokoju rozpakował się, wziął kąpiel i zmienił ubranie, zszedł z powrotem do baru. Nieliczni miejscowi goście pubu przyglądali mu się z dezaprobatą, uznając, że jest Anglikiem, ale gdy otworzył usta, uśmiech powrócił na ich twarze.

Zamówił zupę z porów i jajko po szkocku. Z radością stwierdził, że chociaż stali bywalcy w dalszym ciągu traktują go podejrzliwie, gospodarz najwyraźniej jest chętny do pogawędki, zwłaszcza że toczyła się przy szklaneczce whisky.

Godzinę później i zasadniczo po opróżnieniu butelki whisky Arthur wiedział już, że nikt w miasteczku nigdy nie spotkał pana Macphersona, chociaż gospodarz baru dodał, że sprzedawcy się na niego nie skarżą, ponieważ zawsze w terminie płaci rachunki i wspomaga kilka lokalnych organizacji charytatywnych, które Arthur potrafił wymienić. Zwrócił uwagę na słowa „płaci” i „wspomaga” wypowiedziane w czasie teraźniejszym, co

znaczyło, że właściciel baru z pewnością uważa pana Macphersona za osobę żyjącą.

– Przyjechał tu z Kanady za czasów mojego ojca – kontynuował barman. – Powiedział, że zarobił fortunę na kolei, ale kto wie, jaka jest prawda.

Arthur znał prawdę.

– Pewnie dokucza mu tam samotność, zwłaszcza zimą – zauważył Arthur, wciąż ciągnąc barmana za język.

– Lód na tych wzgórzach często utrzymuje się do marca – dodał barman. – Staruszkowi pomagają jednak państwo Laidlawowie. Ona jest doskonałą kucharką, ale on nie zalicza się do towarzyskich, szczególnie gdy zapuści się na tę posiadłość ktoś bez zaproszenia.

– Chyba złożę im wizytę – powiedział Arthur.

– Jeszcze odrobinę przed snem? – zaproponował właściciel, podnosząc nieotwartą butelkę whisky.

– Nie, już dziękuję – powiedział Arthur.

Gospodarz wyglądał na zawiedzionego, ale życzył gościowi dobrej nocy.

Arthur nie spał dobrze i to nie z powodu różnicy czasu między strefami. Po rozmowie z barmanem nabrał podejrzeń, że Macpherson jednak żyje, a w takim razie cała podróż okazałaby się tylko stratą czasu i pieniędzy. Co gorsza, jeśli Stratton się dowie, że…

* * *

Następnego dnia rano, gdy wstało słońce, Arthur zauważył, że wschodzi ono dość późno w tej części świata. Wykąpał się, ubrał i zszedł na śniadanie, które byłoby atrakcją w delikatesach w Nowym Jorku: owsianka z brązowym cukrem, solone wędzone śledzie, tosty, marmolada i parująca kawa. Potem wrócił do swojego pokoju i spakował małą walizkę, wciąż nie wiedząc, gdzie spędzi kolejną noc.

Zszedł do baru, wziął rachunek i oczom nie wierzył, gdy zobaczył, ile kolejek whisky wprawiło właściciela pubu w tak dobry humor. Nie był to jednak czas na ujawnienie karty kredytowej pana S. Macphersona. Arthur trzymał ją w portfelu i do tej pory posłużył się nią tylko w jednym celu – udowodnienia swojej tożsamości panu Buchanowi. Uregulował więc rachunek gotówką, czym wzbudził jeszcze większe zadowolenie gospodarza.

Wyszedł z hotelu kilka minut przed dziesiątą. Na zewnątrz czekał już na niego lśniący, czarny daimler.

– Dzień dobry – powiedział, sadowiąc się na wygodnej skórzanej kanapie z tyłu samochodu.

– Dzień dobry panu – przywitał go kierowca. – Mam nadzieję, że podoba się panu auto.

– Lepsze być nie mogło! – ucieszył się Arthur.

– Zazwyczaj wykorzystuję je na śluby i pogrzeby – wyjaśnił taksówkarz.

Arthur w dalszym ciągu nie był pewien, co go tego dnia spotka. Kierowca wyruszył w drogę do Ambrose Hall. Szybko stało się jasne, że nie był tam od dawna i że tak jak wszyscy w miasteczku nigdy nie widział pana Macphersona.

– Będą musieli wezwać Jocka, gdy starszy pan umrze – dodał żartobliwie taksówkarz.

Kolejny raz Arthur poczuł niepokój, że jego klient jednak żyje. Okazało się, że Ambrose Hall leży w odległości ponad dwudziestu kilometrów od miasta. Zjechali z głównej drogi, dalej przemieszczali się dróżkami, które zmieniły się w ścieżki, aż w końcu w oddali pojawiła się wieżyczka okazałego zamku na wzgórzu. Arthur miał przygotowane dwie przemowy: jedną do pana Macphersona, gdyby to on otworzył drzwi, drugą na wypadek, gdyby się spotkał z Laidlawami.

Samochód powoli wjechał na podjazd. Do drzwi wejściowych pozostało jeszcze niespełna sto metrów, gdy Arthur spostrzegł mężczyznę. Był słusznego wzrostu, potężnie zbudowany. Stał w kilcie w kratę ze strzelbą pod prawym ramieniem, gotową do strzału. Wyglądał tak, jakby z nadzieją czekał, że na jego drodze za moment znajdzie się dorosły jeleń.

– To jest Hamish Laidlaw – szepnął Jock. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to ja wolałbym zostać w samochodzie.

Arthur wysiadł. Usłyszał, jak drzwi samochodu zamykają się za jego plecami. Ruszył powoli w kierunku swojej ofiary.

– Czego chcesz? – burknął Laidlaw, a jego broń uniosła się o kilkanaście centymetrów.

– Przyjechałem zobaczyć się z panem Macphersonem – wyjaśnił Arthur, jak gdyby był oczekiwanym gościem.

– Pan Macpherson nie przyjmuje obcych, zwłaszcza nieumówionych – powiedział, a broń podniosła się jeszcze wyżej.

– Ze mną będzie się chciał spotkać – oznajmił Arthur. Wyjął portfel, wyciągnął z niego wizytówkę i podał ją olbrzymowi. Przypuszczał, że jest to jedna z tych rzadkich sytuacji, w których wytłoczony złotymi literami napis „Pierwszy zastępca dyrektora” pod nazwą „National Bank of Toronto” może przynieść pożądany efekt.

Laidlaw przyglądał się wizytówce, a Arthur w tym czasie obserwował, jak na jego twarzy maluje się przestrach, który wiele razy widywał u klientów nieposiadających wystarczającego zabezpieczenia a wnioskujących o kredyt w rachunku bieżącym. Układ sił się zmienił i Arthur to wiedział.

– Nie ma go tutaj w tej chwili – powiedział Laidlaw i opuścił strzelbę.

– Wiem, że go nie ma – zaryzykował Arthur. – Ale jeśli nie chcesz, żeby całe miasto się dowiedziało, dlaczego tu przyjechałem – dodał, spoglądając na Jocka – to proponuję, żebyśmy weszli do środka. – Po tych słowach ruszył wolno w kierunku drzwi.

Laidlaw dotarł tam w samą porę, by je otworzyć. Poprowadził intruza do salonu, gdzie wszystkie meble były zakryte zakurzonymi narzutami. Arthur chwycił za jedną z nich i ściągnął ją na podłogę. Usiadł na wygodnym skórzanym fotelu i spojrzał na Laidlawa.

– Przyprowadź panią Laidlaw – polecił stanowczo. – Muszę porozmawiać z tobą i z nią.

– Ona nie brała w tym udziału – rzucił Laidlaw, którego gniewny ton zmienił się w podszyty strachem.

„Nie brała udziału w czym?”, przemknęło przez myśl Arthurowi.

– Przyprowadź żonę – powtórzył. – I po drodze odłóż broń, Laidlaw, chyba że do innych występków chcesz dodać morderstwo.

Laidlaw zniknął, pozostawiając Arthura, który mógł nacieszyć oczy wiszącymi na każdej ścianie wspaniałymi obrazami Mackintosha, Farquharsona i Peploe’a. Kilka minut później Laidlaw pojawił się w towarzystwie kobiety w średnim wieku. Miała na sobie fartuch i szła za mężem ze spuszczoną głową. Dopiero gdy zatrzymała się o pół kroku za nim, Arthur zauważył, że cała się trzęsie.

– Doskonale wiem, co kombinujecie – powiedział Arthur, mając nadzieję, że mu uwierzą. – Jeśli wyznacie mi prawdę, i mam na myśli całą prawdę, jest szansa, że będę mógł was wyratować z opresji. W przeciwnym razie prosto stąd udam się na posterunek policji. Zacznę od pani, pani Laidlaw.

– Nie chcieliśmy tego zrobić – powiedziała. – Ale nie pozostawił nam wielkiego wyboru.

– Trzymaj język za zębami, kobieto! – burknął Laidlaw. – Ja będę mówił za nas oboje.

– Nic z tego – sprzeciwił się Arthur. Spojrzał na panią Laidlaw i postawił wszystko na jedną kartę, według swego przekonania atutową. – Najpierw chcę wiedzieć, kiedy zmarł pan Macpherson.

– Zaledwie kilka miesięcy temu – powiedziała pani Laidlaw. – Znalazłam go w łóżku, bladego jak ściana, więc pewnie umarł w nocy.

– Dlaczego w takim razie nie wezwaliście lekarza, policji czy choćby Jocka?

– Bo nie wiedzieliśmy, co począć – odparła. – Obawialiśmy się, że stracimy pracę i będziemy musieli opuścić to miejsce. Postanowiliśmy zaczekać i zobaczyć, co będzie, jeśli nic nie zrobimy. Czek co miesiąc przychodził z banku, to stwierdziliśmy, że nikt się niczego nie domyśli.

– Co się stało z jego ciałem?

– Pochowaliśmy pana Macphersona. Po drugiej stronie zagajnika – wtrącił się pan Laidlaw. – Nikt go tam nie znajdzie.

– Nie chcieliśmy zrobić żadnej krzywdy – powiedziała jego żona. – Służyliśmy u naszego pana ponad dwadzieścia lat i niewiele brakowało nam do emerytury.

„Znam to uczucie”, pomyślał Arthur, ale im nie przerywał.

– Niczego nie ukradliśmy – zapewniał Laidlaw.

– Ale podpisywałeś czeki w jego imieniu i przyjmowałeś comiesięczne wypłaty.

– Tylko tyle, ile trzeba na utrzymanie i konserwację domu. Żeby nie niszczał i nie popadł w ruinę.

– Mówiłam mężowi, że nie możemy zwiększać wydatków – dodała pani Laidlaw. – Staraliśmy się nie wzbudzać podejrzeń.

– I właśnie to was zdradziło – powiedział Arthur.

– Pójdziemy teraz do więzienia? – zapytała pani Laidlaw.

– Nie, jeżeli będziecie wykonywać moje polecenia bez żadnych odstępstw – powiedział Arthur, wstając. – Dobrze mnie zrozumieliście?

– Mnie jest wszystko jedno, mogę iść do więzienia – oświadczył Laidlaw – Ale nie Morag. Ona jest niewinna.

– Niestety oboje siedzicie w tym po uszy – stwierdził Arthur.

Pani Laidlaw znów zaczęła dygotać.

– Teraz chcę zobaczyć gabinet pana Macphersona.

Laidlawowie sprawiali wrażenie zaskoczonych tym żądaniem, ale niezwłocznie poprowadzili Arthura z salonu szerokimi schodami do dużego, wygodnego pokoju na pierwszym piętrze, w którym urządzono gabinet.

Arthur podszedł do biurka, zza którego rozciągał się widok na wzgórza w okolicy Arbroath. Zdziwił się, że na meblach nie ma śladu kurzu. Ten idealny porządek służył jedynie podtrzymaniu mitu, że pan tego domu wciąż żyje. Laidlawowie przystanęli w odległości kilku kroków od biurka, a nieproszony gość przy nim usiadł. Przelotny uśmiech rozjaśnił twarz Arthura, gdy zobaczył maszynę do pisania marki Remington Imperial, na której pan Macpherson przez lata napisał do niego wiele listów.

– Może miałby pan chęć na filiżankę herbaty? – zapytała pani Laidlaw, jakby zwracała się do gospodarza domu.

– Z przyjemnością się napiję, Morag – odpowiedział Arthur. – Poproszę z mlekiem i jedną kostką cukru.

Zniknęła, pozostawiając męża, który stał wyprężony niemal na baczność. Arthur otworzył górną szufladę biurka, w której znalazł stos wykorzystanych książeczek czekowych, z odcinkami kontrolnymi wypełnionymi dobrze mu znanym charakterem pisma pana Macphersona. Zamknął szufladę, sięgnął po kartkę z nagłówkiem Ambrose Hall i wkręcił ją do maszyny.

Napisał do siebie list, który zakończył formułką „Z poważaniem”. Wyciągnął go z maszyny, przeczytał i podał Laidlawowi.

– Przeczytaj uważnie i podpisz.

Laidlaw nie krył zaskoczenia na długo przed tym, zanim doczytał list do końca. Wziął jednak gęsie pióro ze stojaka, zanurzył je w kałamarzu i powoli złożył podpis „S. Macpherson”. Arthur był pod wrażeniem. Zastanawiał się, ile czasu zajęło Laidlawowi doprowadzenie fałszerstwa do perfekcji, ponieważ nigdy nie dopatrzył się żadnej różnicy względem oryginału. Sięgnął po kopertę z półki na listy, umieścił ją w maszynie i zaadresował:

Pan A. Dunbar
Pierwszy zastępca dyrektora
National Bank of Toronto

Włożył list do koperty i ją zakleił w chwili, gdy pani Laidlaw wróciła, niosąc tacę z herbatą i kruchymi ciasteczkami. Arthur wypił łyk. Była doskonała. Odstawił filiżankę na spodek i zabrał się do drugiego listu. Gotowy podsunął panu Laidlawowi do podpisu, ale tym razem nie pozwolił mu go przeczytać.

– Ten wyślij dzisiaj – poinstruował Arthur. – A ten za tydzień – dodał i przekazał obie koperty Laidlawowi. – Jeśli ten drugi list dotrze na moje biurko w ciągu czternastu dni, wrócę za kilka tygodni. Jeśli nie, następnym gościem będzie tu funkcjonariusz policji.

– Ale z czego będziemy żyli podczas pana nieobecności? – zapytał Laidlaw.

Arthur otworzył aktówkę i wyjął trzy książeczki czekowe.

– Używaj ich oszczędnie – przestrzegł – bo jeśli uznam, że przekroczyłeś limit, czek nie zostanie zrealizowany. Czy wyrażam się jasno?

Oboje zgodnie skinęli głowami.

– Musicie zamówić więcej papieru do pisania i kopert – kontynuował Arthur, otwierając szufladę. – I dokupić znaczków.

Arthur już miał zamknąć szufladę, kiedy zauważył schowane w głębi dokumenty. Wyciągnął dawny paszport pana Macphersona, jego akt urodzenia i testament. Czuł, jak serce dudni mu w piersiach. Te trzy znaleziska dostarczyły mu wielu informacji, które mogły okazać się przydatne w przyszłości. Wreszcie dowiedział się, co się kryje za literą S. Z paszportu wynikało, że pan Macpherson był o szesnaście lat starszy od Arthura, ale ponieważ zdjęcie było zniszczone i niewyraźne, doszedł do wniosku, że z tą przeszkodą łatwo sobie poradzi. Tak czy inaczej będzie musiał wystąpić o nowy paszport jeszcze przed powrotem do Toronto. Schował go wraz z aktem urodzenia i testamentem do aktówki i ją zamknął. Wstał i skierował się w stronę drzwi, a Laidlawowie posłusznie podążyli za nim.

– Pani Laidlaw, proszę pozdejmować te wszystkie zakurzone narzuty i przywrócić dom do stanu, w jakim był za czasów pana Macphersona. Nie zwiększajcie żadnych wydatków, przesyłajcie mi wszystkie rachunki, które będę dokładnie sprawdzał – dodał, gdy schodzili po schodach.

– Do pana powrotu, panie Dunbar, wszystko będzie tak, jak pan sobie życzy – obiecała.

– Tak jak życzyłby sobie pan Macpherson – poprawił ją Arthur.

– Panie Macpherson – powiedziała – przygotuję główną sypialnię, żeby było tak jak dawniej.

– Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia, sir? – zapytał Laidlaw, gdy Arthur był już na dole.

– Pamiętaj, żeby wysłać te dwa listy i dalej postępować tak, jakby pan Macpherson żył, bo tak jest – powiedział Arthur, a Laidlaw otworzył drzwi wejściowe.

Jock, który zobaczył, że wychodzą z domu i Hamish Laidlaw przyciska do siebie kapelusz, a nie strzelbę, wyskoczył z samochodu, obiegł go dookoła i otworzył swemu pasażerowi tylne drzwi.

– Dokąd jedziemy, proszę pana? – zapytał Jock.

– Na stację – powiedział Arthur. Wyjrzał przez okno i pomachał żegnającym go Laidlawom, jakby już był gospodarzem w Ambrose Hall.

* * *

Podczas lotu powrotnego na Heathrow Arthur przeanalizował linijka po linijce rozporządzenie ostatniej woli i testament pana Macphersona. Hojnie potraktował państwa Laidlawów i oprócz nich żadnej innej osoby z imienia i nazwiska nie wskazał. Znaczna część jego majątku miała przypaść w udziale kilku lokalnym instytucjom, organizacjom charytatywnym, a dwie największe kwoty przeznaczył szkockiemu funduszowi na rzecz wdów i sierot oraz fundacji resocjalizacji młodocianych przestępców. Arthur się zastanawiał, czy sposób rozporządzenia majątkiem wyjaśnia, dlaczego młody Szkot wyruszył w podróż morską do Kanady i zakończył swoje dni jako samotnik w położonej na uboczu części swojej ojczyzny.

Wiedział, że paszport i akt urodzenia mogą okazać się użyteczne, gdyby miał podążać tropem oszustwa, ale już postanowił, że po jego własnej śmierci wykonawcy testamentu pana Macphersona znajdą te dokumenty w tym samym miejscu, gdzie spadkodawca je zostawił.

Na lotnisku Heathrow Arthur wsiadł do pociągu do Paddington, a potem pojechał taksówką do Petty France. Spędził tam sporo czasu na wypełnianiu formularza, który wprawdzie był długi, ale nie sprawił mu kłopotu, ponieważ akurat na tym dobrze się znał.

Dokładnie sprawdził dane w każdym polu, stanął w powoli przesuwającym się ogonku, aż wreszcie doczekał się swojej kolejności i przy kontuarze podał dokumenty młodej urzędniczce siedzącej po drugiej

stronie. Przeczytała uważnie wniosek i poprosiła o stary paszport pana Macphersona, który Arthur natychmiast jej podał. Wprowadził w nim tylko niewielkie zmiany: w miejscu roku 1950 teraz był 1966, a oryginalne zdjęcie zastąpił własnym. Kobieta była wyraźnie zaskoczona bezbłędnie wypełnionym formularzem wniosku, zdumiona, że nie musi prosić o dodatkowe informacje. Uśmiechnęła się do Arthura i przystawiła pieczęć „Zatwierdzony".

– Po odbiór paszportu może się pan zgłosić jutro po południu, panie Macpherson – powiedziała. – Będzie gotowy.

Arthur zastanawiał się, czy domagać się przyspieszenia sprawy, ponieważ ma zarezerwowany wieczorny lot do Toronto, ale zrezygnował i tylko podziękował. Nie chciał być zapamiętany.

Zameldował się w pobliskim hotelu, gdzie zobaczył plakat reklamujący koncert w Sali Festiwalowej. Mieli wystąpić Filharmonicy Berlińscy pod dyrekcją Simona Rattle'a z *Piątą symfonią* Schuberta.

Przemknęło mu przez myśl, że wyjazd należy uznać za wyjątkowo udany.

3

Arthur podniósł słuchawkę telefonu stojącego na jego biurku i nacisnął klawisz, by się połączyć z sekretariatem dyrektora.

– Dzień dobry, Barbaro, tu Arthur Dunbar.

– Witaj po powrocie, Arthurze. Przyjemnie spędziłeś czas w Vancouver?

– Nie mogło być lepiej. Nawet się zastanawiam nad przeniesieniem się tam na emeryturze.

– Będzie nam ciebie brakowało – powiedziała Barbara. – Nie mam pojęcia, jak tu sobie bez ciebie poradzimy.

– Jestem przekonany, że bez żadnego kłopotu – zapewnił Arthur. – Kiedy się spodziewasz powrotu pana Strattona?

– Poleciał z żoną do Miami w piątek. Nie będzie go w pracy przez trzy tygodnie, czyli doskonały czas na skok na bank.

– I wspólną ucieczkę – zażartował Arthur. – Torontyjscy Bonnie i Clyde w akcji! Ale do rzeczy. Ponieważ jestem zastępcą dyrektora, chciałbym, żebyś mnie informowała, gdyby wydarzyło się coś ważnego, dobrze?

– Oczywiście – odpowiedziała Barbara. – Ale wiesz doskonale, że niewiele się u nas dzieje w sierpniu. Klienci w tym czasie na ogół są na

wakacjach. W każdym razie dam ci znać, gdyby się coś działo.

* * *

Arthur sprawdzał pocztę każdego ranka, ale dopiero szóstego dnia pierwszy z dwóch listów znalazł się na jego biurku. Siódmego dnia nie próżnował. Teraz był pewien, że Laidlawowie trzymają się umowy. Podniósł słuchawkę i nacisnął inny klawisz.

– Dział stałych zleceń – usłyszał głos, który rozpoznał.

– Steve, tu Arthur Dunbar. Właśnie dostałem list od pana Macphersona, który złożył zlecenie podwyższenia miesięcznego wynagrodzenia panu i pani Laidlaw.

– Chciałbym, żeby i mnie ktoś dał podwyżkę – mruknął Steve.

– Prześlę ci kopię listu do akt – powiedział Arthur, ignorując komentarz. – Dopilnuj, żeby sprawa była załatwiona do wrześniowej wypłaty.

– Oczywiście, panie Dunbar.

Drugi list szedł nieco dłużej. Arthur zastanawiał się nawet, czy Laidlawowie nie zmienili zdania. Dopiero w poniedziałek rano listonosz przyniósł kopertę ze stemplem pocztowym z Ambrose. Arthurowi pozostało zaledwie pięć dni roboczych na realizację następnego etapu planu. Ale jak prawdziwy skaut, był dobrze przygotowany.

Spojrzał na zegarek. Buchan będzie w pracy jeszcze przez co najmniej kilka godzin. Przed rozmową z Edynburgiem Arthur musiał jednak zadzwonić do kogoś na miejscu, w swoim banku. Podniósł słuchawkę, nacisnął kolejny klawisz. Czekał na połączenie z kierownikiem działu obsługi rachunków klientów.

– Widziałeś już kopię listu Macphersona, Reg? Wysłałem ci ją dziś rano.

– Tak, widziałem – odparł Caldercroft. – Bardzo mi przykro, Arthurze. Po tylu latach pracy spotkał cię spory zawód.

– Takie rzeczy się zdarzają – skomentował Arthur.

– Ale smutno, że akurat wtedy, kiedy odchodzisz. Może spróbuj jeszcze porozmawiać z panem Macphersonem, a nuż uda ci się go przekonać do zmiany decyzji.

– Nie ma to wielkiego sensu – odparł Arthur. – Przez ostatnie dwadzieścia lat ani razu nie zmienił swojej decyzji, więc dlaczego miałby teraz postąpić inaczej?

– Pewnie masz rację – powiedział Caldercroft. – Ale czy nie powinniśmy zaczekać do powrotu Strattona? Zobaczyć, jak on będzie chciał rozegrać tę sprawę?

– Niestety nowe prawo bankowe nie pozwala nam na taki luksus. Jeśli klient złoży dyspozycję przeniesienia konta, musimy ją zrealizować w ciągu czternastu dni, a jak widzisz, na liście jest stempel z jedenastego.

– W takim razie może zadzwonić do pana Strattona do Miami i poinformować go o tej sytuacji?

– Zadzwoń do niego, jeśli chcesz, Reg…

– Nie, nie – odparł Caldercroft. – Podczas nieobecności dyrektora ty odpowiadasz za wszystkie sprawy, więc słucham, co mam robić dalej?

– Skompletuj wszystkie obligacje pana Macphersona, akcje i wszelkie inne instrumenty finansowe, a następnie przekaż je panu Buchanowi z Royal Bank of Scotland w Edynburgu, który, jak się zdaje, jest doradcą odpowiedzialnym za przejęcie konta pod opiekę. Zaraz zadzwonię do Buchana i dowiem się, kiedy jego zdaniem będzie najdogodniejszy termin dokonania transferu. Będę cię informował – powiedział Arthur i odłożył słuchawkę.

Wziął głęboki oddech i jeszcze raz sprawdził swój plan, zanim ponownie podniósł słuchawkę i poprosił operatora centrali o połączenie z Edynburgiem. Czekał, aż zostanie zrealizowane.

– Dzień dobry, panie Buchan. Nazywam się Arthur Dunbar. Jestem pierwszym zastępcą dyrektora w National Bank of Toronto.

– Dzień dobry, panie Dunbar. Spodziewałem się telefonu od pana. Kilka tygodni temu był u mnie pan Macpherson i uprzedził, że się pan ze mną skontaktuje.

– Tak się umówiliśmy – odparł Arthur. – Choć jest nam przykro, że tracimy naszego niezwykle cennego klienta w osobie pana Macphersona. Pozostaje się tylko cieszyć, że przenosi się do naszego partnerskiego banku w Edynburgu. W związku z tym – kontynuował Arthur, starając się utrzymać pompatyczny styl rozmowy – wydałem już dyspozycje. Wszystkie niezbędne dokumenty zostaną do pana wysłane pocztą kurierską. Przypuszczam, że to nastąpi do końca tego tygodnia.

– Dziękuję – powiedział Buchan. – A kiedy byłby dla pana najdogodniejszy termin transferu bieżącego rachunku pana Macphersona?

– Może w czwartek rano, jeśli ten dzień panu odpowiada. Mniej więcej o tej porze.

– W porządku. Dopilnuję, żeby wszystko było przygotowane na przyjęcie środków w czwartek po południu. Czy może mi pan podać w przybliżeniu, jaka to będzie kwota?

– Trudno mi dokładnie określić wysokość przekazu – powiedział Arthur – ponieważ do czwartku rano nie będę znał kursu dolara do funta szterlinga. Ale z pewnością ponad cztery miliony funtów.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Arthurowi nawet przemknęło przez myśl, że połączenie zostało przerwane

– Halo?! Czy jest tam pan nadal, panie Buchan?

– Tak, jestem, panie Dunbar – odezwał się Buchan, który zdołał ochłonąć. – Wobec tego w czwartek czekam na wiadomość od pana.

* * *

Stratton wrócił z urlopu w następny poniedziałek. Ledwie przyszedł do pracy, wezwał do siebie swego pierwszego zastępcę.

– Dlaczego nawet nie spróbowałeś się ze mną skontaktować w Miami? – takimi słowami przywitał Arthura, gdy ten wszedł do jego gabinetu.

– Tutaj jest wszystko napisane – odparł Arthur, kładąc na biurku list napisany przez siebie na maszynie. – Dyspozycje pana Macphersona nie budzą najmniejszych wątpliwości, a ponieważ nie mam innego sposobu skontaktowania się z nim niż za pośrednictwem poczty, to niewiele mogłem zrobić.

– Mogłeś wstrzymać sprawę, nawet polecieć do Szkocji i spróbować go nakłonić do zmiany decyzji. Wyjazd w tym celu bym zaakceptował.

– Byłby bezcelowy – oświadczył Arthur. – Nasz klient już był w Royal Bank of Scotland w Edynburgu i zobowiązał pana Buchana do dokonania transferu jak najszybciej.

– Który jak widzę zrobiłeś w ubiegły czwartek.

– Tak. Udało się nam przeprowadzić operację w terminie określonym w nowym rozporządzeniu rządowym.

Stratton zacisnął usta.

– Przypuszczam jednak, że będzie mi pan wdzięczny za ten drobny manewr – kontynuował Arthur, dobrze się bawiąc. – Otóż ostatecznie bank torontyjski zastosował korzystny kurs wymiany dolarów na funty szterlingi i zarobiliśmy mniej więcej siedemdziesiąt trzy tysiące sto czterdzieści jeden dolarów.

– Przynajmniej niewielka rekompensata – powiedział zmartwiony Stratton.

– Miło to słyszeć, Geraldzie.

* * *

Ostatni miesiąc przed odejściem na emeryturę Arthur spędził na sprawdzaniu, czy wszystko jest we wzorowym porządku, takim jakiego oczekiwałaby jego matka, więc zanim Reg Caldercroft przeniósł się do jego pokoju i przejął obowiązki pierwszego zastępcy dyrektora, Arthurowi pozostało już tylko jedno zadanie: przygotować mowę na uroczystość pożegnalną.

– Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć – zaczął pan Stratton – że jest niewiele osób, które bardziej sumiennie wykonywały obowiązki w naszym banku, a już na pewno nie tak długo jak Arthur Dunbar. Czyli dwadzieścia dziewięć lat.

– Dwadzieścia dziewięć lat i siedem miesięcy – skorygował go Arthur z naciskiem, a kilku długoletnich pracowników z trudem powstrzymało się od śmiechu.

– Wszystkim nam będzie ciebie brakowało, Arthurze. – Nieszczery uśmiech powrócił na twarz dyrektora. – Życzymy ci długiej i szczęśliwej emerytury w Vancouver wśród najbliższych.

Głośne „Tak jest! Brawo!” rozległo się po tym stwierdzeniu.

– A ja w imieniu banku – kontynuował Stratton – mam przyjemność wręczyć ci ten zegarek marki Rolex Oyster i żywię nadzieję, że ilekroć na niego spojrzysz, przypomną ci się czasy w National Bank of Toronto. Wznieśmy toast za naszego pierwszego zastępcę, Arthura Dunbara.

– Zdrowie Arthura! – odezwało się ponad sto głosów, podniosły się kieliszki i rozległy okrzyki gości: „Mowa, mowa!”. Zaległa cisza, gdy Arthur wystąpił do przodu i zajął miejsce Strattona.

– Pozwólcie, że zacznę od podziękowań – powiedział Arthur. – Organizatorom tego wspaniałego spotkania, zwłaszcza Barbarze, i wam wszystkim za ten piękny upominek. A ciebie, Geraldzie – zwrócił się do dyrektora – muszę zapewnić, że trudno mi będzie zapomnieć, od kogo dostałem ten zegarek, ponieważ będzie mi o tym przypominał napis wygrawerowany na kopercie: „Dla Arthura, od współpracowników z NBT”. – Goście się śmiali i klaskali w dłonie, gdy Arthur zakładał zegarek. – Jeśli

ktokolwiek z was będzie chciał zasmakować wolności w Vancouver, to niech bierze przykład ze mnie. – Nie dodał, że jeśli ktoś to zrobi, tam go nie znajdzie.

Arthur poruszony ciepłym aplauzem dołączył do gości.

– Będziemy za tobą tęsknić – powiedziała Barbara.

Arthur uśmiechnął się do niej, największego klejnotu w banku.

– A ja będę tęsknił za tobą – wyznał.

4

Arthur wyszedł z banku o szóstej w dniu, w którym rozpoczynał się kolejny kwartał. Pojechał autobusem do swego małego mieszkania i zanim ostatni raz w Toronto położył się spać, spakował wszystkie rzeczy.

Następnego ranka oddał klucze do mieszkania portierowi, wezwał taksówkę i wyruszył na lotnisko. Po drodze zrobił tylko jeden przystanek przy siedzibie Czerwonego Krzyża, gdzie wdzięcznemu wolontariuszowi podarował cztery pełne walizki, w których zmieściło się całe jego dotychczasowe życie.

Odprawił się na terminalu krajowym i w południe odleciał samolotem do Vancouver. Po przybyciu na zachodnie wybrzeże zdjął z karuzeli bagażowej jedyną walizkę, która mu pozostała, i pojechał autobusem wahadłowym do terminalu międzynarodowego. Czekał w kolejce do kasy, kupił bilet w klasie biznesowej na południowy lot do Londynu. Wydał na niego ostatnie dolary kanadyjskie. Wszedł na pokład samolotu tak wyczerpany, że spał przez prawie całą podróż.

Na lotnisku Heathrow przeszedł przez odprawę celną, ponownie przejechał do terminalu piątego i również za gotówkę kupił bilet do Edynburga. Sprawdził tablicę odlotów i chociaż miał jeszcze godzinę, powoli podszedł do bramki numer czterdzieści trzy. Po drodze wchodził do każdej toalety, zamykał się w kabinie, wyrywał jedną kartkę z kanadyjskiego paszportu i podartą na drobne kawałki spuszczał w muszli klozetowej.

Zanim dotarł do stanowiska odprawy, z jego paszportu została tylko okładka. Pan Dunbar wrzucił ją na samo dno pojemnika na śmieci przed McDonaldem.

„Wszyscy pasażerowie są…”

Pan Macpherson wszedł na pokład samolotu.

Po przybyciu do Edynburga pojechał taksówką do hotelu Caledonian i tam się zameldował.

– Miło nam znowu pana gościć – przywitał go recepcjonista. Sprawdził kartę kredytową Arthura z rezerwacją. – Pańskie dane zostały uaktualnione i tym razem korzysta pan z usług o wyższym standardzie, panie Macpherson – dodał i wręczył mu klucz do pokoju.

– Dziękuję – powiedział Arthur, którego boy hotelowy zaprowadził do małego apartamentu na szóstym piętrze, gdzie czekała na niego butelka szampana w wiaderku z lodem i odręcznie wypisany bilecik powitalny od kierownika hotelu. Arthur dał chłopakowi bardzo przyzwoity napiwek.

Rozpakował się i zadzwonił do pana Buchana, z którym umówił się na spotkanie późnym popołudniem. Po lekkim lunchu w niewielkiej restauracji Arthur udał się na spacer po Princes Street i stanął u wejścia do banku kilka minut przed umówioną godziną.

– Zapraszam, panie Macpherson – powiedział Buchan i wybiegł zza biurka, gdy zobaczył Arthura w drzwiach swego gabinetu. – Bardzo się cieszę, że pana widzę.

– Ja również – odwzajemnił się Arthur, gdy obaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

– Napije się pan herbaty, a może woli pan kawę? – zaproponował Buchan, gdy jego klient usiadł.

– Nie, dziękuję. Chciałem tylko sprawdzić, czy mój bank w Toronto dokonał transferu i czy nie było problemów.

– Na tyle, na ile mi wiadomo, operacja przebiegła bez najmniejszych zakłóceń – powiedział Buchan. – Wszystko poszło doskonale, dzięki panu Dunbarowi, a ja niezmiernie się cieszę, że będę pana reprezentować w przyszłości. Czy mogę jeszcze teraz, na bieżąco, w czymś panu pomóc, panie Macpherson?

– Tak. Chciałbym otrzymać nową kartę kredytową i kilka książeczek czekowych.

– W takim razie pozwolę sobie zaproponować naszą złotą kartę klubową – powiedział Buchan. – Z dziennym limitem kredytowym w wysokości tysiąca funtów, bez weryfikacji bezpieczeństwa. Zamówienie na nowe książeczki czekowe już złożyłem. Powinny być u nas w najbliższy poniedziałek. Czy mam je przesłać do Ambrose Hall?

– Nie będzie to konieczne – powiedział Arthur. – Zamierzam spędzić kilka dni w Edynburgu przed powrotem do Ambrose, więc wstąpię do pana

w poniedziałek i sam je odbiorę.

– Wobec tego będę trzymał rękę na pulsie i dopilnuję, żeby do tego czasu były gotowe.

– Co będzie z moją starą kartą z National Bank of Toronto? – zapytał Arthur.

– Anulujemy ją w poniedziałek przy odbiorze nowej. Czy dysponuje pan wystarczającą kwotą pieniędzy na weekend?

– Więcej niż wystarczającą – odparł Arthur.

* * *

Arthur wyszedł z banku i ruszył Princes Street w przeciwną stronę. Nie wspomniał Buchanowi, że zanim pojedzie do Ambrose, zamierza zrobić zakupy, a nawet wybrać się na koncert albo recital. W drodze powrotnej do hotelu odwiedził cztery sklepy i kupił na wyprzedaży trzy garnitury, sześć jedwabnych koszul, dwie pary butów firmy Church’s i płaszcz. W ciągu trzech godzin zrobił więcej zakupów niż do tej pory przez trzy lata. Idąc dalej Princes Street, zatrzymał się przed wystawą galerii sztuki Munro, żeby popatrzeć na obraz Peploe’a przedstawiający paterę z owocami, który bardzo mu się podobał. Ale przecież miał już tuzin dzieł tego malarza. Ostatecznie uznał, że wchodzenie do galerii, w której pan Macpherson kiedyś kupił tak wiele obrazów, nie byłoby rozsądne, więc poszedł dalej w stronę hotelu.

Wziął chłodny prysznic, przebrał się i zszedł do restauracji hotelowej, gdzie z przyjemnością zjadł stek z aberdeen angus z wszystkimi dodatkami i wypił butelkę czerwonego wina, o którym czytał w jednym z kolorowych dodatków do codziennej gazety.

Podpisał rachunek – niewiele brakowało, a zapomniałby, jak się teraz nazywa – i był gotowy na spokojny sen. W drodze do windy, mijając bar Scotta, spojrzał za siebie i zobaczył jej postać w lustrze. Siedziała na stołku w głębi przy kieliszku szampana. Arthur dalej podążał w stronę wind, ale kiedy jedna z nich się otworzyła, zawahał się, po czym zawrócił i ruszył wolnym krokiem z powrotem do baru. Czy rzeczywiście była aż tak atrakcyjna? Mógł się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Prawdopodobnie już ktoś się do niej przyłączył.

Po drugim spojrzeniu był jeszcze bardziej zauroczony. Zapewne miała około czterdziestki, a elegancka, zielona sukienka, która kończyła się tuż

nad jej kolanami, była dla Arthura wystarczającym dowodem, że ta pani nie powinna być sama. Podszedł do baru i usiadł na stołku dwa miejsca od niej. Zamówił drinka, ale nie miał odwagi nawet spojrzeć w jej kierunku, a z całą pewnością nie przyszedłby mu do głowy pomysł nawiązania rozmowy z nieznajomą.

– Przyjechał pan na konferencję? – zapytała.

Arthur odwrócił się i wpatrywał w jej zielone oczy.

– Jaką konferencję? – wymamrotał dopiero po pewnym czasie.

– Doroczną konferencję dla centrów ogrodniczych.

– Nie – odparł Arthur. – Jestem na wakacjach. A pani przyjechała na konferencję?

– Tak, prowadzę małe centrum ogrodnicze w Durham. A pan może przypadkiem zajmuje się ogrodnictwem?

Arthur pomyślał o swoim mieszkaniu w Toronto, gdzie miał skrzynkę z kwiatami w oknie, i o posiadłości Ambrose Hall, której powierzchnia z pewnością wynosiła nie mniej niż czterysta hektarów.

– Nie – wydusił z siebie. – Zawsze mieszkałem w mieście – dodał, gdy ona pociągnęła ostatni łyk szampana. – Czy mogę zamówić pani jeszcze jeden kieliszek?

– Dziękuję – powiedziała i pozwoliła barmanowi go napełnić. – Mam na imię Marianne.

– A ja Sandy – przedstawił się.

– Czym się zajmujesz, Sandy?

– Poruszam się w świecie papierów wartościowych – odpowiedział, wcielając się w rolę Macphersona. – A ty, mówiąc „prowadzę”, chciałaś powiedzieć, że jesteś szefową?

– Chciałabym – odparła.

Po trzech lampkach szampana Marianne wyjawiła, że jest rozwiedziona, że jej mąż uciekł z kobietą o połowę młodszą od siebie, że nie ma dzieci i że wybierała się wieczorem na koncert muzyki Schuberta w Usher Hall, ale okazało się, że wszystkie bilety zostały sprzedane. Po kolejnym kieliszku dowiedział się, że ona nie uważa Brahmsa za kompozytora tej samej klasy co Beethoven. Już się zastanawiał, jak daleko jest z Edynburga do Durham.

– Masz chęć na jeszcze jeden kieliszek? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Powinnam już iść do łóżka, jeśli mam jutro rano poprowadzić sesję inauguracyjną.

– Zapraszam cię w takim razie do mojego apartamentu. Mam tam butelkę szampana, ale nikogo, z kim mógłbym się nim podzielić. – Arthur nie wierzył własnym uszom, gdy usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa, i był niemal pewien, że ona wstanie i odejdzie w milczeniu, a kto wie, może nawet wymierzy mu policzek. Już miał ją przeprosić, kiedy Marianne powiedziała:

– Ciekawa propozycja. – Zsunęła się ze stołka i wzięła go za rękę.

– Na którym piętrze mieszkasz, Sandy?

Dawniej Arthur mógł tylko pomarzyć o takiej nocy lub przeczytać w powieściach Harolda Robbinsa. Kochali się już dwa razy, a po trzecim powiedziała:

– Powinnam iść do swego pokoju, Sandy, jeśli mam nie zasypiać podczas przemówienia przewodniczącego.

– Kiedy kończy się konferencja? – zapytał Arthur, który siedział i patrzył, jak ona się ubiera.

– Zwykle około czwartej.

– W takim razie postaram się zdobyć dla nas bilety na koncert Schuberta, a potem moglibyśmy razem zjeść kolację.

– Doskonały pomysł – ucieszyła się Marianne. – Spotkajmy się w recepcji o siódmej, dobrze? – zachichotała. – Dziś wieczorem – dodała. Pochyliła się i go pocałowała.

– Do zobaczenia – powiedział Arthur i zanim zamknęły się za nią drzwi, zapadł w głęboki sen.

* * *

Rankiem Arthur się obudził i nie potrafił przestać myśleć o Marianne. Postanowił kupić jej prezent i wręczyć podczas kolacji. Ale najpierw musi zdobyć dwa bilety, koniecznie na najlepsze miejsca, na koncert, który oczywiście też został wyprzedany, a następnie zapytać recepcjonistę o najlepszą restaurację w Edynburgu.

Długo stał pod prysznicem. W pewnej chwili zorientował się, że nuci arię ze *Snu nocy letniej* Mendelssohna. Wciąż nucił, wkładając nową koszulę i nowy garnitur. Zaczął też się zastanawiać nad odpowiednim prezentem dla Marianne. Nie może być przesadnie wyszukany, ale nie powinien pozostawiać żadnych wątpliwości, że miniona noc miała dla niego o wiele większe znaczenie niż jednorazowy wyskok.

Podszedł do nocnego stolika po portfel i zegarek, ale ani jednego, ani drugiego na nim nie znalazł. Otworzył szufladę i zobaczył w niej Pismo Święte ze Stowarzyszenia Gedeonitów. Przeszukał szafkę po drugiej stronie łóżka, a potem łazienkę. Na koniec sprawdził kieszenie w nowym garniturze, który leżał na podłodze. Przez jakiś czas siedział na skraju łóżka, broniąc się przed przyjęciem prawdy do wiadomości. Nie potrafił się pogodzić z myślą, że taka nieziemska istota może być pospolitą złodziejką.

Niechętnie podniósł telefon przy łóżku i wybrał prywatny numer Buchana w Royal Bank of Scotland. Czekał oszołomiony, aż po drugiej stronie linii usłyszał głos, który od razu rozpoznał.

– Przepraszam, że pana niepokoję – tłumaczył się Arthur – ale zgubiłem kartę kredytową.

– Nie ma problemu – powiedział Buchan. – Takie rzeczy często się zdarzają. Natychmiast zablokuję tę kartę, a nowa będzie gotowa do odbioru w poniedziałek rano. Jeśli na ten czas potrzebuje pan gotówki, proszę przyjść do mnie i załatwimy tę sprawę.

– Nie, dziękuję, do poniedziałku wystarczy mi pieniędzy – odparł Arthur, który nie chciał się przyznać, że również one zostały skradzione.

Zszedł na śniadanie i wcale nie był zaskoczony odkryciem, że nie odbywa się żadna konferencja dla centrów ogrodniczych i że nikt nie telefonował do Marianne zameldowanej w tym hotelu. Po śniadaniu wybrał się na spacer. Po drodze zatrzymywał się przed wystawami i na jednej z nich nawet dostrzegł idealny prezent dla Marianne. Nie poczuł się ani trochę lepiej. Wracając do hotelu, mijał Usher Hall. Przed budynkiem sali koncertowej stała już kolejka melomanów, którzy poprzednio odeszli z kwitkiem. Przynajmniej w tej sprawie nie kłamała.

Weekend upłynął Arthurowi na długich spacerach po mieście z bogatą historią, żywieniu się w hotelowej restauracji i na oglądaniu w pokoju filmów klasy B, które już znał. Przechodząc obok baru Scotta, dostrzegł atrakcyjną, młodą blondynkę siedzącą samotnie, ale nawet nie zwolnił kroku.

W poniedziałek miał już dość hotelowego menu i filmów tygodnia. Pragnął wrócić do Ambrose Hall, gdzie czekało go nowe życie. Tyle że ku

swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że wciąż nie potrafi zapomnieć Marianne.

5

W poniedziałek rano podczas pakowania walizki Arthur doszedł do wniosku, że najlepsza noc, jaka przydarzyła mu się w życiu, była warta straty kilkuset funtów i zegarka, na którym w ogóle mu nie zależało.

Spojrzał na zegarek, ale nie miał go na ręku. Wtedy uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni. Po spotkaniu z Buchanem pojedzie pierwszym pociągiem do Ambrose i postara się zapomnieć o całym incydencie, ale wiedział, że mu się nie uda. Wyszedł z hotelu na spotkanie z panem Buchanem i poczuł się trochę lepiej. W banku sekretarka doradcy czekała już na niego w holu. Uświadomił sobie, że w taki sposób wita się tu najważniejszych klientów.

– Mam nadzieję, że spędził pan przyjemnie weekend, panie Macpherson – zagadnęła, gdy prowadziła Arthura do gabinetu Buchana.

– Tak, dziękuję – odparł uprzejmie.

Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, pozwalając mu wejść do środka.

Arthur zamarł, gdy zobaczył Strattona siedzącego po prawej stronie Buchana, a po lewej wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę, którego nie rozpoznał.

– Siadaj, Dunbar – odezwał się Stratton, gdy drzwi się zamknęły.

Arthur posłusznie wykonał polecenie szefa, jakby znalazł się z powrotem w Toronto, ale nie odezwał się ani słowem.

– Nietrudno mi było ustalić, co szykowałeś przez ostatni rok – oznajmił Stratton. – A co ważniejsze, zdążyliśmy cię rozpracować, zanim wyrządziłeś prawdziwe szkody. Jest tu z nami starszy inspektor, pan Mullins, z miejskiej policji w Edynburgu, za co mu dziękuję – dodał, ujawniając, kim jest trzecia osoba w gabinecie.

Arthur w dalszym ciągu milczał, chociaż miał ochotę zapytać policjanta, jak długa kara pozbawienia wolności mu grozi. Ostatecznie poprzestał na pytaniu: „W jaki sposób się dowiedzieliście?”.

– Pomógł zegarek – odpowiedział rzeczowo inspektor Mullins. – „Dla Arthura, od współpracowników z NBT”. Gdy tylko rozszyfrowaliśmy skrót NBT, cała reszta poszła łatwo. W dodatku ta kobieta opisała pana jako sympatycznego dżentelmena z akcentem środkowoatlantyckim, a potem

wystarczył jeden telefon do banku i pan Stratton powiedział nam nawet, że to on wręczył panu rolexa oystera.

– A Marianne, jak ją złapaliście?

– Kupowała bilet na pociąg do Durham i próbowała zapłacić kartą kredytową, ale na szczęście pan Buchan wcześniej ją zablokował.

– O ile mi wiadomo – wtrącił się Stratton – z pieniędzy pana Macphersona wydałeś tylko dwa tysiące siedemset osiemdziesiąt dwa dolary. Do tej kwoty trzeba doliczyć siedemdziesiąt trzy tysiące sto czterdzieści jeden dolarów, które nasz bank będzie musiał zwrócić na prywatne konto pana Macphersona z tytułu przewalutowania po niekorzystnym kursie.

– I jeszcze czterdzieści dziewięć tysięcy sto dwadzieścia cztery funty – dodał Buchan – którymi będę musiał obciążyć National Bank of Toronto za przewalutowanie czterech milionów funtów z powrotem na dolary.

– Pan Buchan przekazał mi już wszystkie świadectwa udziałowe, obligacje i inne instrumenty finansowe, które dziś zabiorę ze sobą do Toronto, a po moim powrocie pełna kwota zostanie zwrócona na konto pana Macphersona i spłacona w całości. Przy odrobinie szczęścia nigdy się nie dowie, co się stało. Jednakże – ciągnął Stratton – kosztowałeś National Bank of Toronto sto dwadzieścia trzy tysiące czterysta sześćdziesiąt osiem dolarów, że nie wspomnę o nieodwracalnych szkodach wizerunkowych, które mogłeś wyrządzić bankowi, gdyby ta historia wydostała się na zewnątrz. Ale dzięki współpracy policji w Edynburgu, której będziemy dozgonnie wdzięczni za wszystko – kontynuował Stratton, kiwając głową w kierunku inspektora – jeśli zgodzisz się pokryć wszelkie koszty, nie zostanie przeciwko tobie wniesione oskarżenie.

– A jeśli nie? – zapytał Arthur.

– Jako osoba na odpowiedzialnym stanowisku w banku – powiedział starszy inspektor Mullins – otrzymałby pan wyrok pozbawienia wolności od sześciu do ośmiu lat, który odbywałby pan w szkockim więzieniu. Raczej bym panu to odradzał. – Przerwał. – Zwłaszcza że jest wybór – dodał po chwili.

Pan Stratton wstał, podszedł do Arthura i podał mu czek wystawiony na bank na 123 468 dolarów. Wystarczyło go tylko podpisać.

– Ale w ten sposób zostanę prawie bez grosza.

– Trzeba było o tym pomyśleć na samym początku – powiedział Stratton, podając mu długopis.

Arthur niechętnie podpisał czek, ale zrobił to, bo perspektywę, którą tak taktownie przedstawił Mullins, uznał za niezbyt atrakcyjną.

Stratton wziął czek i schował go do portfela.

– My również nie wniesiemy oskarżenia – zwrócił się do inspektora.

Mullins wyglądał na rozczarowanego.

Typowy Stratton, pomyślał Arthur. Zadbać o własny tyłek, a resztę niech diabli wezmą. Zastanawiał się nawet, czy zarząd kiedykolwiek zostanie poinformowany o tym, co naprawdę się stało. Ale Stratton jeszcze nie skończył. Sięgnął po torbę i wysypał z niej na stół przed Arthurem stertę kanadyjskich dolarów.

– Twoje konto zostało zamknięte – oznajmił. – A bank w przyszłości nie chce mieć z tobą do czynienia.

Arthur powoli zbierał starannie owinięte w celofan pakiety, wiedząc, że zapłacił nawet za lot powrotny Strattona do Toronto pierwszą klasą. Wrzucił pieniądze do reklamówki.

– A co z moim zegarkiem, inspektorze? – zapytał, odwracając się twarzą do Mullinsa.

– Pani Dawson staje przed sądem pokoju jutro o godzinie dziesiątej rano, więc może go pan tam odebrać w dowolnym czasie, ale dopiero po ogłoszeniu wyroku. – Po raz pierwszy uśmiechnął się do Arthura. – Przypuszczam, że nie byłby pan skłonny stawić się tam w charakterze świadka? – zapytał, unosząc brew.

Arthur też się uśmiechnął.

– Słusznie, panie starszy inspektorze. Nie zrobiłbym tego, nawet gdyby pan postawił taki warunek.

Mullins zmarszczył czoło, gdy Arthur wstał i w milczeniu wyszedł z gabinetu Buchana; bez uśmiechów, bez uścisków dłoni. Oczywiście nikt nie odprowadził go do drzwi wejściowych. Oszołomiony opuścił bank i wolnym krokiem skierował się do hotelu. Nie wiedział, co ma robić dalej.

Przeszedł Princes Street niespełna sto metrów, gdy zauważył wykonany eleganckimi, czarnymi literami napis na oknie: Henderson & Henderson, Kancelaria Adwokacka.

6

Kobieta na ławie oskarżonych wyglądała na zmęczoną i bezbronną.

Urzędnik sądowy wstał i odczytał zarzuty.

– Marianne Dawson, staje pani przed sądem pod trzema zarzutami. Po pierwsze: ukradła pani kartę kredytową panu Macphersonowi i próbowała jej użyć w celu zakupu biletu kolejowego do Durham. Jaka jest pani odpowiedź na ten zarzucany jej czyn? Jest pani winna czy niewinna?

– Winna – powiedziała oskarżona prawie szeptem.

– Drugi zarzut – kontynuował urzędnik – dotyczy kradzieży około dwustu funtów wspomnianemu panu Macphersonowi. Jest pani winna czy niewinna?

– Winna – powtórzyła.

– Trzeci zarzut: ukradła pani zegarek marki Rolex Oyster temu samemu dżentelmenowi. Jest pani winna czy niewinna?

Marianne podniosła wzrok i spojrzała na sędziego

– Winna – powiedziała cicho.

Przewodniczący sądu pokoju rozejrzał się po sali sądowej.

– Czy pozwaną ktoś reprezentuje?

Wysoki, wyróżniający się wyglądem mężczyzna, ubrany w garnitur w prążki, białą koszulę i czarny krawat, wstał z ławki.

– Ja mam zaszczyt reprezentować panią Dawson.

Sędzia pokoju był zaskoczony, że jeden z czołowych adwokatów w Edynburgu występuje przed nim w tak błahej sprawie.

– Panie Henderson, ponieważ pańska klientka przyznała się do popełnienia zarzucanych jej czynów, uznaję, że przedstawi pan sądowi argumenty uzasadniające złagodzenie wyroku.

– Owszem, wysoki sądzie – powiedział adwokat, wygładzając klapy marynarki. – Pozwolę sobie zacząć od zwrócenia uwagi sądu, że panią Dawson spotkały ostatnio przykre doświadczenia związane z wyjątkowo dramatycznym rozwodem, i mimo rozpadu rodziny i przyznanego jej świadczenia alimentacyjnego, jej mąż nie podjął żadnej próby wypełnienia ciążącego na nim zobowiązania. Nie zareagował nawet na nakaz sądowy, który otrzymał. Do niedawna – kontynuował pan Henderson – pani Dawson zajmowała wysokie stanowisko kierownicze w Durham Garden Center, ale ta firma została przejęta przez przedsiębiorstwo ogrodnicze Scotsdales, a obecną tu obwinioną zwolniono z pracy. Jestem przekonany, że sąd weźmie również pod uwagę, że jest to pierwsze przewinienie mojej klientki, poza wykroczeniem drogowym polegającym na zaparkowaniu samochodu w miejscu niedozwolonym, za które została ukarana mandatem mniej więcej cztery lata temu. Ponadto pani Dawson nie tylko okazuje

głęboką skruchę, ale też zobowiązała się zwrócić panu Macphersonowi wszystkie jego pieniądze, gdy tylko znajdzie pracę. Na koniec pragnę podkreślić, że do dziś pani Dawson cieszyła się nieposzlakowaną reputacją uczciwego obywatela. Mam nadzieję, że sąd weźmie te okoliczności pod uwagę przed wydaniem wyroku.

– Dziękuję panu, mecenasie Henderson – powiedział sędzia. – Proszę o czas na konsultację z moimi kolegami.

Henderson ukłonił się, a przewodniczący i dwaj pozostali sędziowie naradzali się między sobą. Gdy podjęli decyzję, przewodniczący zwrócił się do oskarżonej.

– Pani Dawson – zaczął – mimo uzasadnionego wniosku pana mecenasa o złagodzenie kary sąd uznał, że osoba o pani pozycji powinna doskonale zdawać sobie sprawę, że dopuszczając się takich czynów, łamie prawo.

Marianne spuściła głowę.

– Nie pozostawia nam ono wyboru – kontynuował przewodniczący. – A zatem decyzją sądu skazuję panią na sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Jeśli jednak zostanie pani postawiona przed sądem ponownie, nie zawaham się wydać wyroku skazującego. Obecnie zasądzam karę grzywny w wysokości dwustu funtów. – Po tych słowach zwrócił się do mecenasa Hendersona: – Czy pozwana jest w stanie zapłacić tę sumę?

Pan Henderson odwrócił się i spojrzał w głąb sali sądowej, gdzie siedział jego klient. Arthur skinął głową.

7

Arthur sięgnął po kartkę z nadrukiem ze stojaka na biurku i wkręcił ją do maszyny do pisania.

Szanowny Panie Stratton,

dziękuję za ostatni list i trzy nowe książeczki czekowe, które dostarczono mi dziś rano.

Na wstępie pozwolę sobie na Pana ręce przesłać gorące podziękowania dla pana Arthura Dunbara za wiele lat oddanej pracy i prowadzenie moich spraw. Uprzejmie proszę o przekazanie

mu w moim imieniu najlepszych życzeń długiej i szczęśliwej emerytury.

Sprawdziłem stan moich rachunków. Wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Piszę jednak do Pana, ponieważ zbliża się koniec kwartału i chciałbym przekazać instrukcje dotyczące przyszłych inwestycji, które obecnie rozważam.

Pragnę również poinformować Pana, że niedawno się ożeniłem, więc w niektórych moich transakcjach może się pojawić nowy podpis. Moja żona i ja zamierzamy czasami wyjeżdżać za granicę, by odwiedzić sławne sale koncertowe i opery w Europie. Podczas naszej nieobecności pan i pani Laidlaw będą nadal sprawować opiekę nad Ambrose Hall, więc może się Pan spodziewać zwykłych rachunków za wydatki na gospodarstwo domowe, oprócz ich miesięcznych wynagrodzeń.

Chciałbym również dodać…

Rozległo się pukanie do drzwi i Arthur przestał pisać.

– Proszę.

Do gabinetu zajrzała Morag.

– Co państwo chcieliby zjeść na lunch? – zapytała. – Zostało jeszcze trochę zapiekanki z dziczyzną, która tak państwu smakuje.

– Doskonale – powiedział Arthur. – Ale proszę nie za dużo. Pani Macpherson już mi robiła wymówki, że przybiera na wadze.

– Pani Macpherson poprosiła mnie, żebym panu przypomniała o jakimś koncercie w Edynburgu, na który dziś wieczorem się państwo wybierają.

– To nie jest jakiś koncert, Morag, tylko *Trzecia symfonia* Beethovena w Usher Hall.

– Czy będzie pan miał jeszcze jakieś życzenia, sir?

– Tak, za chwilę skończę pisać list do pana Strattona, więc bądź uprzejma poprosić Hamisha, żeby do mnie podszedł. Chciałbym, żeby pojechał do miasteczka na pocztę i go wysłał.

– Oczywiście, proszę pana.

Arthur wrócił do listu.

Chciałbym również dodać, że byłem bardzo zadowolony, gdy się dowiedziałem, że to właśnie Pan osobiście będzie sprawował pieczę nad moim kontem w przyszłości. Daje mi to pewność, że moje sprawy będą w bezpiecznych rękach.

Z poważaniem

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Laidlaw.
– Wzywał mnie pan, sir?
– Tak, Hamish. Poproszę cię o podpis.

GRA WARTA PRZEGRANEJ [1]

Pan Gruber oddał chłopcom wypracowania, po czym wrócił do swojego biurka znajdującego się na wprost szkolnych ławek.

– Naprawdę się postaraliście – pochwalił ich młody nauczyciel. – Oprócz Jacksona, który najwyraźniej nie jest przekonany, że Goethe zasługuje na jego uwagę. A ponieważ są to zajęcia, w których uczestniczycie dobrowolnie, to muszę cię zapytać, Jackson, po co w ogóle się na nie zapisałeś.

– To był pomysł mojego ojca – wyznał Jackson. – Uważa, że nadejdzie czas, kiedy warto będzie trochę znać niemiecki.

– Co miał na myśli, mówiąc „trochę”? – dociekał nauczyciel.

Przyjaciel Jacksona, Brooke, który siedział z nim w ławce, stłumionym głosem, choć wciąż na tyle głośno, że wszyscy w klasie usłyszeli, zapytał:

– Dlaczego nie powiesz mu prawdy, Oliver?

– Prawdy? – powtórzył Gruber.

– Mój ojciec jest prawie pewien, proszę pana, że wkrótce będziemy w stanie wojny z Niemcami.

– A dlaczego tak uważa, jeśli mogę zapytać? Przecież w Europie jeszcze nigdy przez tak długi czas nie panował pokój.

– Wiem, proszę pana, ale tata pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mówi, że kajzer jest wojownikiem i przy pierwszej sprzyjającej okazji zaatakuje Belgię.

– Ale biorąc pod uwagę zobowiązania traktatowe – powiedział Gruber, który spacerował między ławkami – trzeba pamiętać, że w konflikt zostałyby również wciągnięte Wielka Brytania i Francja. – Nauczyciel zatrzymał się na chwilę. – Tak więc prawdziwy powód, dla którego chcesz się uczyć niemieckiego – podjął, próbując dotrzeć do sedna – jest taki, że będziesz mógł zamienić kilka zdań z cesarzem, gdy będzie przejazdem w Whitehall.

– Nie. Nie wydaje mi się, żeby tata właśnie to miał na myśli, sir. Sądzę, że chodziło mu o to, że gdy już wyślemy cesarza do diabła, to ja – jeżeli będę trochę znał niemiecki – mógłbym zostać gubernatorem regionalnym.

W klasie rozległy się gromki śmiech i oklaski.

– Musimy mieć nadzieję, Jackson, przez wzgląd na twoich rodaków i na mnie, że do tego jest bardzo daleka droga.

– Gdyby kajzer Wiluś rozpętał wojnę, sir – powiedział Brooke poważnym głosem – to musiałby pan wrócić do swojego kraju?

– Modlę się, żeby tak się nigdy nie stało, Brooke – odparł Gruber. – Traktuję Anglię jako swoją drugą ojczyznę. Obecnie w Europie panuje pokój, musimy zatem mieć nadzieję, że ojciec Jacksona się myli. Niczego nikt by nie zyskał na tak bezsensownym akcie szaleństwa, oprócz cofnięcia świata o sto lat. Bądźmy wdzięczni, że król Jerzy V i cesarz Wilhelm są kuzynami.

– Nigdy się specjalnie nie przejmowałem moim kuzynem – powiedział Jackson.

* * *

– Słyszałeś ostatnie wiadomości? – zapytał Brooke, kiedy kilka tygodni później wraz z Jacksonem szli do refektarza.

– Jakie wiadomości? – zainteresował się Jackson.

– Pan Gruber najdalej za dwa tygodnie wraca do Niemiec.

– Dlaczego? – dociekał Jackson.

– Dyrektor chyba uznał, że tak będzie rozsądnie w obecnych okolicznościach.

– Przykro mi to słyszeć – zmartwił się Jackson.

Obaj usiedli na drewnianej ławie i czekali na lunch.

– Myślałem, że nie byłeś zadowolony z przymusowej nauki niemieckiego – powiedział Brooke, próbując nadziać na widelec rozmiękłą marchewkę.

– W dalszym ciągu nie jestem. Ale to nie znaczy, że nie lubię pana Grubera. Właściwie zawsze mnie zaskakiwał, że jest takim porządnym i przyzwoitym facetem. Wcale nie takim, przeciwko któremu chciałoby się walczyć.

– Być może za kilka miesięcy będziemy z nim w stanie wojny – powiedział Brooke. – Ale jeśli ty ciągle myślisz o karierze w wojsku, to możesz się nawet znaleźć w pierwszych szeregach armii.

– Nie przypuszczam, żeby tobie udało się uniknąć tego przywileju, Rupert – powiedział Oliver, obficie polewając swoje danie sosem – tylko

dlatego, że wybierasz się do Cambridge, żeby się poświęcić pisaniu wierszy.

– Ojej! Coś mi się przypomniało – powiedział Brooke. – Moja mama zastanawiała się, czy chciałbyś pojechać z nami latem na kilka tygodni do Grantchester. Mogę ci obiecać, że odwiedzą nas tam dość interesujące dziewczyny.

– Doskonały pomysł, stary. Przyjmijmy, że kajzer Wiluś nie przygotował dla nas innych planów.

* * *

Tamtego lata Oliver Jackson spędził kilka beztroskich tygodni w towarzystwie swego przyjaciela, Ruperta Brooke'a, zanim się rozstali i każdy poszedł własną drogą. Brooke wyjechał do King's College studiować filologię klasyczną, a Jackson zgłosił się do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, otrzymał jeden szyling żołdu należnego żołnierzowi i następne dwa lata spędził na przygotowywaniu się do służby w stopniu oficera brytyjskiej armii.

* * *

W październiku 1913 roku podporucznik Jackson z Pułku Fizylierów Lancashire zgłosił się do swego oddziału w Chester, gdzie szybko się zorientował, że rozmowy o wojnie z Niemcami nie toczą się jedynie w obrębie brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale że temat jest teraz na ustach wszystkich. Nikt jednak nie wiedział, co się przyczyni do uruchomienia zapalnika.

Kiedy bliski przyjaciel i sojusznik cesarza Wilhelma, arcyksiążę Franciszek Ferdynand z Austrii, został zamordowany w Sarajewie, cesarz niemiecki znalazł wreszcie pretekst, którego potrzebował, by zaatakować Belgię i tym samym otworzyć sobie szanse na rozszerzenie swojego imperium.

Podczas pobytu w Chester Oliverowi wydarzyła się tylko jedna dobra rzecz, a mianowicie zakochał się w pannie Rosemary Carter, córce jednego ze znajomych ojca z ministerstwa. W oczach obu ojców małżeństwo było niczym więcej jak *entente cordiale*, podczas gdy obie matki szybko zdały

sobie sprawę, że ten szczególny traktat nigdy nie wymagał aprobaty Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Jedną z wielu rzeczy, które zrobił kajzer Wiluś, żeby zirytować Olivera, było wypowiedzenie wojny, gdy on i Rosemary jeszcze przebywali w podróży poślubnej. Porucznik Jackson otrzymał telegram, dostarczony mu do hotelu w Deauville, z nakazem natychmiastowego stawienia się w macierzystym pułku.

* * *

Kilka tygodni później żołnierze z Pułku Fizylierów Lancashire byli jednymi z pierwszych, którzy zostali wysłani do Francji, gdzie Oliver niedługo po przybyciu zorientował się, że istnieją o wiele gorsze warunki życia i bardziej obrzydliwe żarcie, niż był zmuszony znosić w Rugby.

Siedział w okopach, gdzie szczury miał za swoich nieodłącznych towarzyszy, pod poduszką osiem centymetrów błotnistej wody i powoli nauczył się spać wśród odgłosu wystrzałów.

„Do świąt Bożego Narodzenia to wszystko się skończy”, przekazywano optymistyczne przewidywania z ust do ust wzdłuż linii frontu.

– Ale o których świętach Bożego Narodzenia jest mowa? – zapytał kierowca autobusu z Romford, gdy nabierał widelcem z menażki konserwowaną wołowinę z fasolą w sosie pomidorowym i czekał, aż kubek napełni się deszczówką.

W rzeczywistości jedynym bożonarodzeniowym podarunkiem młodego podoficera brytyjskiej armii była trzecia gwiazdka na naramienniku obok dwóch pozostałych. Otrzymał ją wkrótce po tym, jak zastąpił oficera, który nie doczekał 1915 roku.

Kapitan Jackson do zimy 1916 trzykrotnie znalazł się w skrajnym niebezpieczeństwie i nie trzeba mu było przypominać, że średni czas przeżycia żołnierza na linii frontu wynosi dziewiętnaście dni. On był trzeci rok na wojnie. Ale przynajmniej pozwalali mu jechać do domu na trzytygodniowy odpoczynek, który starzy żołnierze nazywali „odroczeniem egzekucji”.

Jackson powrócił do Marny po cudownie beztroskim urlopie, który spędzili z Rosemary w ich wiejskim domu w Crathorne. Był wdzięczny losowi, gdy usłyszał, że nawet jego ojciec zaczyna wierzyć w zbliżający się

koniec wojny. Oliver prosił Boga, żeby przypuszczenia ojca okazały się prawdziwe.

Po powrocie na front Jackson natychmiast zgłosił się do swojego dowódcy.

– Spodziewamy się, że za kilka dni przeprowadzimy kolejny atak na Jerry’ego – poinformował go pułkownik Harding. – Dopilnuj, żeby twoi ludzie byli przygotowani.

„Przygotowani na co?”, zastanawiał się Oliver. Na niemal pewną śmierć. Nie natychmiastową jak na szubienicy, ale poprzedzoną długotrwałym, beznadziejnym konaniem. Nie podzielił się jednak z nikim swoimi myślami.

Oliver znów znalazł się w okopach. Tam starał się jak najprędzej poznać młodych i niedoświadczonych rekrutów, którzy dopiero przybyli na linię frontu i jeszcze nie słyszeli strzału oddanego w gniewie. Nie mógł traktować ich jak żołnierzy, tylko bystrych chłopców, którzy zareagowali na obwieszczenie z wizerunkiem wąsatego dziadka wskazującego na nich palcem i wzywającego do obrony ojczyzny znajdującej się w potrzebie.

– W krytycznej sytuacji musicie pamiętać tylko o jednym – instruował ich Oliver. – Jeśli nie zabijecie wroga, jak amen w pacierzu on zabije was. Pomyślcie o walce jak o meczu na boisku piłkarskim ze skrajnie zaciętym rywalem. Musicie trafić w siatkę przy każdym strzale na bramkę.

– Ale po czyjej stronie jest sędzia? – rozległ się przestraszony głos.

Oliver nie odpowiedział. Przestał wierzyć, że Bóg jest sędzią sprawiedliwym i że wobec tego z pewnością zwyciężą.

* * *

Pułkownik dołączył do nich tuż przed starciem. Gwizdkiem dał sygnał do rozpoczęcia meczu. Kapitan Jackson był pierwszy na czele swojej drużyny, a ona podążała za nim. Naprzód, naprzód, naprzód, dopingował, gdy jego podkomendni padali obok na polu walki jak prawdziwi żołnierze, a ci, którym dopisało szczęście, umierali szybko. Pędził dalej i zaczynał się zastanawiać, czy został sam, i wtedy nieoczekiwanie zobaczył postać wśród dymu. Z przeciwka ktoś biegł w jego stronę. Tak jak Oliver miał nastawiony bagnet, przygotowany do zadania śmierci. Oliver doskonale wiedział, że ze starcia obaj nie wyjdą cało, a najprawdopodobniej żaden z nich nie przeżyje. Trzymał karabin nieruchomo, jak średniowieczny

rycerz kopię, zdecydowany pokonać swego przeciwnika. Był gotów wbić bagnet tym razem nie w worek z końskiego włosia jak podczas szkolenia, ale w zesztywniałe ze strachu ciało ludzkiej istoty nie mniej niż on przerażonej.

„Uderzaj dopiero wtedy, gdy zobaczysz białka oczu przeciwnika”, pouczał go sierżant prowadzący musztrę w Sandhurst. „Nie możesz sobie pozwolić na atak ani ułamek sekundy za wcześnie, ani za późno”. Kolejna często powtarzana zasada. Oliver zobaczył białka oczu przeciwnika, ale nie potrafił się zdobyć na zadanie ciosu. Opuścił karabin, spodziewając się niechybnej śmierci, ale ku swemu zaskoczeniu spostrzegł, że Niemiec zrobił to samo. Obaj zatrzymali się pośrodku ziemi niczyjej.

Przez jakiś czas patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Pierwszy wybuchnął śmiechem Oliver, choćby po to, żeby rozładować wewnętrzne napięcie.

– Co tu robisz, Jackson?

– O to samo mogę zapytać pana.

– Wykonuję czyjeś rozkazy – powiedział Gruber.

– Ja też.

– Ale ty jesteś zawodowym żołnierzem.

– Śmierć w takich sprawach równo traktuje wszystkich – powiedział Oliver. – Często wspominam pana trafną opinię o wojnie, sir. Wystarczy rozejrzeć się po polu bitwy, żeby zadać sobie pytanie, ile talentów zostało zmarnowanych.

– Po obu stronach – dodał Gruber. – Nie odczuwam żadnej satysfakcji, że jej słuszność została udowodniona.

– I co teraz zrobimy, sir? Nie możemy tu stać i filozofować w oczekiwaniu na ogłoszenie zakończenia wojny.

– Skutek byłby taki sam, gdyby każdy z nas powrócił skruszony na swoją stronę. Prawdopodobnie zostalibyśmy aresztowani, postawieni przed sądem wojennym i rozstrzelani o świcie.

– W takim razie jeden z nas musi wziąć drugiego do niewoli – powiedział Jackson. – I powrócić na swoją stronę w chwale.

– Niezły pomysł. Ale jak zdecydujemy, któremu z nas ma przypaść w udziale jaki los? – zastanawiał się Gruber.

– Rzucimy monetą?

– Typowo brytyjskie rozwiązanie – stwierdził Gruber. – Szkoda tylko, że całej wojny nie można było rozstrzygnąć w ten sposób – dodał nauczyciel

i wyjął z kieszeni złotą markę niemiecką. – Ty wybierasz, Jackson. Ostatecznie reprezentujesz drużynę gości.

Oliver patrzył, jak moneta wzlatuje wysoko w powietrze i krzyknął „reszka” tylko dlatego, że nie mógł znieść myśli o wizerunku cesarza, który z triumfem spoglądałby na niego z awersu monety.

Gruber jęknął, gdy schylił się po monetę i zobaczył reszkę. Oliver zdjął krawat, związał jeńcowi ręce w nadgarstkach za jego plecami, a potem zaczął powoli prowadzić swego dawnego nauczyciela z powrotem w kierunku własnej linii frontu.

– Co się stało z Brookiem? – zapytał Gruber, gdy brnęli po błocie między ciałami poległych żołnierzy.

– Kiedy ostatnio do mnie pisał, służył w oddziale Królewskiej Marynarki Wojennej.

– Czytałem jego wiersz o Grantchester. Próbowałem go nawet przetłumaczyć.

– *Stara plebania* – podał tytuł Jackson.

– Tak. Ciekawe, że napisał go podczas pobytu w Berlinie. Taki talent rzadko się spotyka. Miejmy nadzieję, że przeżyje tę straszliwą wojnę – powiedział Gruber, gdy słońce chowało się za horyzont.

– Ma pan żonę? – zapytał Oliver.

– Tak. Renate. Mamy syna i dwie córki. A ty się ożeniłeś?

– Z Rosemary. Na krótko przed wybuchem wojny.

– Co za los, chłopcze! – powiedział Gruber, a potem niespodzianie dodał: – Pewnie zdziwiłbyś się, gdybym chciał cię poprosić na ojca chrzestnego mojego najmłodszego dziecka, Hansa? Ale widzisz zdecydowałem się zwrócić do ciebie z taką prośbą, bo uważam za więcej niż swój obowiązek zadbać po wojnie, by to szaleństwo nigdy więcej się nie powtórzyło.

– Jestem tego samego zdania, Ernst, i będę zaszczycony. A kto wie, może z czasem…

– Jest jedna rzecz, Oliver, o której warto wspomnieć. Dla naszego wspólnego dobra – zasugerował Gruber, gdy zobaczyli granicę brytyjskiego frontu. – Przekazując mnie swoim, postaraj się, żeby się nie zorientowali, że łączy nas wieloletnia znajomość.

– Słuszna uwaga, Ernst – przyznał Oliver i złapał go za łokieć.

Niedługo potem usłyszeli głos: „Kto idzie?”.

– Kapitan Jackson z Fizylierów Lancashire, z niemieckim jeńcem.

– Podejdź bliżej i się pokaż.

Oliver popchnął dawnego nauczyciela do przodu.

– Ożeż ty w mordę, niezłe przedstawienie! – mruknął sierżant stojący na warcie. – Może go pan tu zostawić, sir. A ty ruszaj dalej przeklęty Szkopie.

– Sierżancie! Przypominam, jeniec jest oficerem – ostro upomniał go Oliver.

* * *

Wojna skończyła się przed świętami Bożego Narodzenia w 1918 roku. Kapitan Ernst Gruber spędził dwa lata w obozie jenieckim w Anglesey. Poranki mijały mu na nauczaniu współtowarzyszy niewoli miejscowego języka, ponieważ nadszedł czas, kiedy przydałoby się trochę znać angielski, przekonywał ich, przytaczając strawestowane słowa Jacksona.

Oliver wysłał Gruberowi dzieła zebrane Ruperta Brooke’a, które nauczyciel tłumaczył wieczorami w oczekiwaniu na koniec wojny.

Ernsta Grubera odesłano do Frankfurtu w listopadzie 1919 roku. Wkrótce napisał do Olivera list z pytaniem, czy w dalszym ciągu jest gotów zostać ojcem chrzestnym Hansa. Dopiero po kilku tygodniach otrzymał odpowiedź od Rosemary, żony Olivera, i od niej dowiedział się, że jej mąż zginął na froncie zachodnim na parę dni przed podpisaniem rozejmu. Oni również mieli syna, Arthura Olivera. Napisała, że podczas ostatniego urlopu jej mąż powiedział, że ma nadzieję, że Ernst zgodzi się być chrzestnym Arthura.

Z pomocą ojca Olivera pan Gruber otrzymał pozwolenie na przyjazd do Anglii, by wypełnić swoją rolę podczas ceremonii chrztu. Stojąc przy chrzcielnicy w otoczeniu członków rodziny Olivera, nie mógł przestać się zastanawiać, jak potoczyłyby się losy, gdyby to jemu przypadła w udziale wygrana.

Epilog

19 września 1943

Porucznik Hans Otto Gruber został ranny podczas służby na froncie zachodnim wskutek wybuchu miny przeciwpiechotnej. Zmarł trzy dni później.

6 czerwca 1944
Kapitan Arthur Oliver Jackson, odznaczony Krzyżem Zasługi, zginął, dowodząc swoim plutonem podczas operacji wojskowej na plażach Normandii.

15 listopada 1944
Profesor Ernst Helmut Gruber został stracony przed plutonem egzekucyjnym w Berlinie za udział w nieudanym zamachu na życie Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu.

Niech spoczywają w pokoju.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]

KTO ZABIŁ BURMISTRZA? [1]

Cortoglia jest zachwycająco malowniczym miasteczkiem położonym w samym sercu Kampanii, na szczycie wzgórza, w odległości mniej więcej sześćdziesięciu kilometrów na północ od Neapolu. Rozciąga się z niej imponujący widok na Monte Taburno na wschodzie i na Wezuwiusz na południu. Poświęcono jej nawet miejsce w przewodniku turystycznym *Fodor's Italy*, gdzie zyskała opinię „nieba na ziemi".

Miasteczko ma tysiąc czterystu sześćdziesięciu trzech mieszkańców i ich liczba w zasadzie przez ostatnie sto lat się nie zmieniła. Wpływy do miejskiego budżetu pochodzą z trzech głównych źródeł: produkcji wina, oliwy z oliwek i uprawy trufli. Białe wino cortogliańskie, aromatyczne i o wyrazistym, kwaskowatym smaku, jest jednym z najbardziej poszukiwanych na świecie, a ponieważ produkuje się je w ograniczonej ilości, to zazwyczaj sprzedaje się na pniu na długo przed rozlaniem do butelek. Z kolei lokalnie wytwarzana oliwa z oliwek, której próżno szukać na półkach w tamtejszym supermarkecie, w całości trafia do licznych restauracji wyróżnionych gwiazdkami Michelina, ponieważ szefowie kuchni ani myślą sięgać po inne gatunki.

Dodatkowym i wyjątkowym produktem ziemi, pozwalającym mieszkańcom Cortoglii cieszyć się wyższym standardem życia, którego zazdroszczą im sąsiedzi, są trufle. Restauratorzy przybywają do miasteczka ze wszystkich zakątków świata po trufle z Cortoglii, które serwują wyłącznie najbardziej wymagającym klientom.

To prawda, że niektórzy z tutejszych wyjechali z Cortoglii w poszukiwaniu szczęścia gdzie indziej, ale rozsądniejsi z nich dość szybko powracają. Średnia długość życia w średniowiecznym miasteczku położonym na wzgórzu wynosi osiemdziesiąt sześć lat dla mężczyzn i dziewięćdziesiąt jeden dla kobiet, czyli osiem lat powyżej średniej krajowej.

Na środku głównego placu stoi pomnik Garibaldiego, obecnie lepiej znanego z herbatników niż bitew. W mieście funkcjonuje zaledwie sześć sklepów i jedna restauracja, a rada miejska podjęła decyzję, że nie będzie wydawać pozwoleń na kolejne, ponieważ obawia się napływu turystów. Do Cortoglii nie dojeżdża żaden pociąg, a autobus kursuje raz w tygodniu dla

tych głupców, którzy chcą się dostać do Neapolu. Kilku mieszkańców ma samochody, ale niewielu z nich korzysta.

Miasteczkiem zarządza Consiglio Comunale, składająca się z sześciu jego obywateli w podeszłym wieku. Najmłodszy członek rady, którego korzenie sięgają do trzeciego pokolenia wstecz, przez nikogo nie jest uważany za rdzennego mieszkańca. Burmistrz Salvatore Farinelli, jego syn Lorenzo Farinelli, przewodniczący (z urzędu), Mario Pellegrino, właściciel przetwórni oliwek, Paolo Carrafini, właściciel winnicy, i Pietro De Rosa, znawca trufli, wchodzą w skład rady automatycznie, a na jedno miejsce jej członka wyłania się co pięć lat w wyborach. Ponieważ przez ostatnie piętnaście lat nikt nie wyrażał sprzeciwu wobec rzeźnika Umberta Cattaneo, w Cortoglii prawie zapomniano, jak się je przeprowadza.

Polizia Locale to jeden funkcjonariusz, Luca Gentile mianowany w Neapolu, który starał się nikomu nie zakłócać spokoju bez potrzeby. Ta historia dotyczy jednego zdarzenia, w przypadku którego okazało się to konieczne.

* * *

Nikt w miasteczku właściwie nie wiedział, skąd pochodził Dino Lombardi, ale jedno jest pewne, że z dnia na dzień pojawił się w nim jak czarna chmura i wyraźnie bardziej interesowało go burzenie spokoju niż harmonijne współżycie. Lombardi miał około metra dziewięćdziesięciu trzech wzrostu, atletyczną budowę boksera wagi ciężkiej, któremu nawet przez myśl nie przeszło, że jego walki mogłyby trwać dłużej niż kilka rund.

Rządy terroru rozpoczął od słabszych mieszkańców miasta, sklepikarzy, miejscowych handlarzy i właściciela restauracji, których przekonał, że potrzebują ochrony, nawet jeśli trudno im było sobie wyobrazić przed kim, ponieważ nikt z żyjących obywateli nie przypominał sobie, żeby w Cortoglii ktoś dopuścił się przestępstwa. Nawet Niemcy nie zadali sobie trudu, by dostać się na tamtejsze wzgórze.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że posterunkowy Gentile miał za kilka miesięcy przejść na emeryturę, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, a rada nie zatroszczyła się o jego następcę. Kolejny problem powstał, gdy burmistrz, Salvatore Farinelli, zmarł w wieku stu dwóch lat i zaistniała konieczność przeprowadzenia wyborów na członka rady na jego miejsce.

Powszechnie uważano, że zastąpi go syn Lorenzo, Mario Pellegrino zostałby wówczas przewodniczącym rady, każdego z pozostałych członków przeniesiono by o szczebel wyżej, a jeden wakat zapełniłby Gian Lucio Altana, lokalny restaurator. Tak było do dnia, w którym Lombardi zjawił się w ratuszu i zgłosił swoją kandydaturę na burmistrza. Oczywiście nikt nie wątpił, że Lorenzo Farinelli zwycięży przytłaczającą liczbą głosów, więc wszyscy byli nie lada zaskoczeni, gdy pracownik urzędu miasta, o kulach i z lewą nogą w gipsie, ogłosił ze schodów Palazzo dei Municipio, że Lombardi uzyskał pięćset jedenaście głosów, a Farinelli czterysta osiemdziesiąt sześć. Zebrani przed ratuszem gromadnie westchnęli z niedowierzaniem, między innymi dlatego, że żaden z mieszkańców nie znał nikogo, kto głosowałby na Lombardiego.

Lombardi natychmiast przejął ratusz, zajął rezydencję burmistrza i odwołał radę. Pełnił swoją funkcję przez zaledwie kilka dni, gdy obywatele zostali poinformowani, że nałoży na wszystkie trzy główne przedsiębiorstwa w mieście podatek od sprzedaży, którym później zostali również objęci sklepikarze i właściciel restauracji. I jakby tego było mało, zaczął domagać się haraczu od kupujących i od sprzedawców.

W ciągu roku niebo na ziemi zamieniło się w piekło na ziemi z burmistrzem zadowolonym, że przypadła mu w udziale rola Belzebuba. Szczerze mówiąc, nie ma się co dziwić, że nikt nie był zaskoczony, gdy Lombardi został zamordowany.

Posterunkowy Gentile powiedział przewodniczącemu rady, że morderstwo wykracza poza jego kompetencje, a wobec tego będzie musiał poinformować o nim władze w Neapolu. W swoim raporcie napisał, że w tej sprawie jest tysiąc czterystu sześćdziesięciu dwóch podejrzanych i że on absolutnie nie ma pojęcia, kto popełnił zbrodnię.

Zwierzchnicy z Neapolu, miasta, w którym niejedno wiedzą na temat morderstw, wysłali do Cortoglii jednego ze swoich najzdolniejszych detektywów. Miał przeprowadzić śledztwo, aresztować winnych i sprowadzić ich do miasta, gdzie zostaną osądzeni.

Do prowadzenia tej sprawy przydzielono Antonia Rossettiego, który w młodym wieku, trzydziestu dwóch lat, awansował na komisarza. Wprawdzie ten przydział uważał za niedogodność – która spowoduje, że znajdzie się poza pierwszym szeregiem – ale na pewno nie długotrwałą. Znał przestępczą przeszłość Lombardiego: wymuszenia, przekupstwo i korupcja. To tylko niektóre z jego czynów karalnych, miał więc nadzieję,

że mieszkańcy Cortoglii znajdą się wśród licznego grona tych, którzy nie będą go opłakiwać. Zapewnił szefa policji, że szybko upora się ze sprawą i wróci do Neapolu, by zająć się prawdziwymi przestępcami.

Zniknięcie Luki Gentilego jeszcze przed przybyciem komisarza Rossettiego do Cortoglii nie pomogło w prowadzeniu sprawy. Niektórzy sugerowali, że Gentile załamał się pod ciężarem całej sprawy, jako że ostatnio morderstwo w mieście zdarzyło się w 1846 roku, kiedy tutejszym posterunkowym był jego praprapradziadek. Ale dokąd się udał Gentile i dlaczego? Jako jedna z zaledwie kilku osób wiedział przecież, w jaki sposób burmistrz został zamordowany.

Rossetti był zbulwersowany, gdy się dowiedział, że ciało Lombardiego skremowano w ciągu kilku godzin po jego zgonie, a prochy rozsypano po drugiej stronie góry Taburno. Jakże głęboką nienawiścią pałali do tego człowieka mieszkańcy miasteczka.

– Pamiętaj, nikt oprócz ciebie, Gentilego i koronera nie wie, jak popełniono morderstwo – powiedział szef, przekazując wyniki sekcji zwłok swemu podwładnemu.

– Jeszcze morderca – przypomniał mu Rossetti.

* * *

Nieco później tego ranka komisarz Antonio Rossetti przyjechał do Cortoglii. Na miejscu dowiedział się, że zdaniem członków rady do czasu zatrzymania mordercy detektyw powinien zamieszkać w domu burmistrza.

– Zależy nam na zamknięciu sprawy – uzasadnił przewodniczący. – I chcemy, by młody człowiek jak najszybciej wrócił do Neapolu i zostawił nas w spokoju.

Antonio urządził sobie biuro na posterunku policji, na który składały się jeden niewielki pokój, pusta cela i toaleta. Wyjął z torby odpowiednie teczki z aktami i umieścił je na biurku. Spojrzał na dużą, pustą tablicę na ścianie i na środku przypiął fotografię Lombardiego.

Potem postanowił wyjść z biura i pospacerować po mieście, w nadziei, że ktoś będzie chciał do niego podejść i przekazać mu jakieś informacje. Chociaż szedł powoli i uśmiechał się do ludzi, oni – gdy go zauważyli – przechodzili na drugą stronę ulicy, jakby był dotknięty zakaźną chorobą. Najwyraźniej nie uznawali go za dobrego samarytanina.

Po bezowocnym poranku Antonio wrócił do biura i sporządził listę osób, którym śmierć Lombardiego przyniosłaby najwięcej korzyści. Niechętnie doszedł do wniosku, że będzie musiał zacząć od członków Consiglio Comunale. W notatniku napisał: Wino, Oliwa z oliwek i Trufle, wyjął zdjęcia pięciu radnych z akt sprawy i przypiął je wokół fotografii Lombardiego. Postanowił zacząć od Trufli. Zadzwonił do biura signora De Rosy i umówił się z nim na popołudniowe spotkanie w jego sklepie.

* * *

– Może kieliszek wina, panie komisarzu? – zaproponował De Rosa, jeszcze zanim policjant usiadł. – Cortoglia White jest ulubionym winem koneserów, a rocznik 1947 uznają za wyśmienity.

– Nie, dziękuję. Nie piję na służbie.

– Bardzo słusznie – powiedział De Rosa. – Ale pozwoli pan, że ja się poczęstuję, ponieważ może to być moja ostatnia lampka wina na dłuższy czas. – Rossetti wyglądał na zaskoczonego tym stwierdzeniem, ale nie skomentował. De Rosa pociągnął łyk trunku. – A zatem, w czym mogę panu pomóc?

Policjant otworzył notatnik i spojrzał na przygotowane pytania.

– Ponieważ pana rodzina mieszka w Cortoglii od ponad dwustu lat…

– Od ponad trzystu lat – poprawił go znawca trufli z uśmiechem.

– Liczyłem na pana pomoc w wyjaśnieniu morderstwa Dina Lombardiego – kontynuował Antonio.

De Rosa opróżnił kieliszek jednym haustem.

– Z całą pewnością mogę pomóc. Nie musi pan dalej szukać, panie komisarzu, bo to ja zabiłem Lombardiego.

Antonio był zaskoczony, ale niezwykle zadowolony, że już pierwszego dnia usłyszał takie oświadczenie. Od razu pomyślał o powrocie do Neapolu w chwale i doprowadzaniu za kratki groźnych przestępców.

– Jest pan gotów udać się ze mną na posterunek i złożyć zeznanie w tej sprawie na piśmie, signor De Rosa?

De Rosa skinął głową.

– W każdej dogodnej dla pana chwili.

– Signor De Rosa, zdaje pan sobie sprawę, że jeśli przyzna się do morderstwa, nie będę miał wyboru. Będę zmuszony pana aresztować

i zawieźć do Neapolu, gdzie stanie pan przed sądem. Być może spędzi pan resztę życia w więzieniu w Poggioreale.

– O niczym innym nie myślałem od dnia, w którym zamordowałem tego drania. Ale nie mogę narzekać, miałem dobre życie.

– Dlaczego zabił pan Lombardiego? – zapytał Antonio, który uważał, że każde przestępstwo ma jakiś motyw.

De Rosa ponownie nalał sobie wina.

– Dino Lombardi był złym i bezwzględnym człowiekiem, panie komisarzu, który żerował na każdym, kto znalazł się na jego drodze. – Przerwał i pociągnął łyk wina. – Zatruł ludziom życie, które stało się nie do zniesienia. Również moje.

– Co pan rozumie przez zło i bezwzględność, signor?

– Zastraszył sprzedawców i lokalnych kupców. Ugiął się przed nim nawet Gian Lucio, właściciel tutejszej restauracji.

Antonio sporządzał notatki.

– Jak do tego doprowadził?

– Żądał pieniędzy w zamian za ochronę, chociaż nie wyjaśnił, przed kim miałby nas chronić, tym bardziej że nikt nie pamięta żadnego poważnego przestępstwa w Cortoglii. Potem, kiedy został burmistrzem – rzecz sama w sobie niepojęta – wprowadził podatek od sprzedaży wszystkich naszych towarów. Gdyby mu pozwolono dłużej trwać na tym stanowisku, każdego z nas pozbawiłby pracy. W zeszłym roku moja niewielka firma po raz pierwszy od trzystu lat poniosła stratę. Więc postanowiłem uwolnić siebie i innych mieszkańców naszego miasteczka od tego potwora. – Odstawił kieliszek i się uśmiechnął. – Słyszałem, że rada zamierza ufundować mi pomnik na rynku.

– Mam do pana jeszcze jedno pytanie – powiedział detektyw, podnosząc wzrok znad notatnika. – W jaki sposób zabił pan Lombardiego?

– Ugodziłem go nożem do zbierania trufli – odparł De Rosa bez wahania. – Wtedy wydawał mi się najbardziej odpowiednim narzędziem.

– Ile razy pchnął go pan tym nożem?

– Sześć, może siedem – powiedział. Sięgnął po nóż, który leżał na biurku, i zademonstrował policjantowi, jak ugodził złoczyńcę.

Antonio przestał pisać i zamknął notatnik.

– Jestem przekonany, że pan wie, signor De Rosa, że marnowanie czasu funkcjonariusza policji jest poważnym wykroczeniem.

– Oczywiście, że tak, panie komisarzu – powiedział De Rosa. – Ale teraz przyznałem się do winy, więc może mnie pan aresztować, zawieźć do Neapolu i wtrącić do więzienia.

– Z chęcią bym tak zrobił, signor – powiedział Antonio – gdyby Lombardi zginął od noża.

Znawca trufli wzruszył ramionami.

– A skąd pan wie, jak zginął, skoro został skremowany?

– Ponieważ przeczytałem raport z autopsji – odpowiedział Antonio. – Dokładnie znam sposób dokonania morderstwa. Nie wiem tylko, kto jest sprawcą, ale z całą pewnością nie pan.

– Czy to naprawdę ma znaczenie? – obruszył się De Rosa. – Proszę po prostu powiedzieć, jak Lombardi został zamordowany, a ja przyznam się do popełnienia zbrodni.

Antonio pierwszy raz spotkał kogoś, kto przyznał się do przestępstwa, którego nie popełnił.

– Pożegnam się z panem, signor, zanim wpakuje się pan w jeszcze większe kłopoty.

Znawca trufli robił wrażenie zawiedzionego.

Antonio schował notatnik, wstał, wyszedł ze sklepu De Rosy i w milczeniu wrócił na plac.

Starał się nie śmiać, kiedy mijał zagrodę pełną najbardziej zadowolonych świń, jakie do tej pory widział; można by sądzić, że wiedzą, że nigdy nie trafią do rzeźni. W drodze powrotnej na posterunek zauważył aptekę po drugiej stronie placu i przypomniał sobie, że powinien kupić mydło i pastę do zębów. Otworzył drzwi. Rozległ się dźwięk niewielkiego dzwonka. Wszedł do środka. Kilka minut czekał przy kontuarze, zanim z głębi apteki wyłoniła się młoda kobieta.

– Dzień dobry, signor Rossetti. Czym mogę służyć?

Bezwzględni przestępcy z zaułków Neapolu nie byli w stanie odebrać mowy Antoniowi Rossettiemu, ale aptekarce z Cortoglii udało się to zrobić jednym zdaniem. Czekała cierpliwie na odpowiedź klienta.

– Jest mi potrzebne mydło – wydobył w końcu z siebie.

– Znajdzie je pan na trzeciej półce za swoimi plecami, komisarzu. Jest w czym wybierać.

– Czy rzeczywiście od razu poznać, że jestem policjantem? – zapytał Antonio.

– Jeśli ktoś jest jedyną osobą w mieście, której nikt nie zna, to znaczy, że wszyscy wiedzą, kim ten ktoś jest – wyjaśniła.

Antonio wybrał kostkę mydła, ale zrezygnował z pasty do zębów, ponieważ chciał mieć powód, by jak najszybciej wrócić do apteki. Położył mydło na kontuarze i starał się unikać wzroku młodej kobiety.

– Czy coś jeszcze, signor?

– Nie, dziękuję, to wszystko. – Antonio wziął mydło i skierował się do drzwi.

– Zastanawiał się pan, czy zapłacić za zakupy, czy policjanci w Neapolu nie zajmują się tak prozaicznymi sprawami? – zapytała, tłumiąc uśmiech.

– Bardzo przepraszam – zreflektował się Antonio i szybko położył banknot na kontuarze.

– Zapraszam ponownie, jeśli w czymś jeszcze mogłabym panu pomóc – powiedziała, podając mu resztę i torebkę.

– Jest tylko jedna rzecz. Czy przypadkiem pani wie, kto zabił burmistrza?

– Myślałam, że signor De Rosa. Podobno się przyznał do zabójstwa Lombardiego. Sądziłam, że już go pan aresztował i zamknął.

Antonio zmarszczył czoło i wyszedł z apteki bez słowa. Wrócił na posterunek, usiadł przy biurku i zaczął pisać raport o nieudanym spotkaniu z panem De Rosą, ale trudno było mu się skoncentrować. Gdy skończył, podszedł do tablicy ze zdjęciami i na czarno przekreślił na krzyż fotografię De Rosy.

Postanowił odwiedzić Maria Pellegrina, właściciela sklepu z oliwą z oliwek, ale na to spotkanie pójść bez uprzedzenia.

* * *

Następnego ranka Rossetti wyszedł z posterunku zaraz po śniadaniu i wyruszył do sklepu z oliwą z oliwek, znajdującego się na placu, zadowolony, że po drodze będzie musiał przejść obok apteki. Zwolnił, gdy zbliżał się do niej, a mijając ją, spojrzał w okno. Farmaceutka stała przy drzwiach i przekręcała tabliczkę z napisem „Zamknięte” na drugą stronę, gdzie widniał napis „Otwarte”. Uniosła głowę i zerknęła na niego. Wymienili spojrzenia, po czym przyspieszył kroku.

Antonio przybył do sklepu z oliwą i zastał właściciela czekającego przy drzwiach.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedział Pellegrino. – Przyszedł pan po butelkę najlepszej oliwy z oliwek na świecie czy może to policyjny nalot?

– Przepraszam, że nie zadzwoniłem i nie umówiłem się na spotkanie, signor Pellegrino, ale … – tłumaczył się Antonio, podążając za nim w głąb sklepu.

– Miał pan nadzieję, że mnie zaskoczy – zauważył Pellegrino. – Ale muszę panu powiedzieć, komisarzu, że pańska wizyta nie jest dla mnie niespodzianką.

– Spodziewał się mnie pan? – spytał Antonio. Przystanął przy kontuarze, wyjął notatnik i długopis.

– Owszem. Wszyscy tu wiedzą, że przysłano pana z Neapolu do zbadania okoliczności śmierci Lombardiego. Przypuszczałem, że znajdę się wśród osób, które w pierwszym rzędzie będzie pan chciał przesłuchać.

– Skąd się wzięło przekonanie, signor, że akurat do pana się zwrócę?

– Nie jest żadną tajemnicą, że nienawidziłem tego człowieka. Więc jeśli miał mnie pan zamiar aresztować, ostatnią rzeczą, którą by pan zrobił, byłoby powiadomienie mnie telefonicznie o tej wizycie. Zapowiadając ją, dałby mi pan wystarczająco dużo czasu na ucieczkę.

Antonio odłożył długopis.

– Z jakiego powodu miałby pan uciekać, signor Pellegrino?

– Ponieważ wszyscy wiedzą, że zabiłem Lombardiego, i uświadomiłem sobie, że inteligentnemu, młodemu detektywowi znalezienie mordercy nie zajmie dużo czasu.

– Tylko dlaczego miałby pan chcieć zabić burmistrza? – dociekał Antonio.

– Rujnował moją firmę wyłudzaniem haraczu za ochronę i nakładaniem dodatkowych podatków. A gdy to mu przestało wystarczać, żądał pieniędzy od moich klientów. Niektórzy z tego powodu przestali przyjeżdżać do Cortoglii, ponieważ obawiali się, że mogą jako następni paść jego ofiarą. Jeszcze rok, a nie miałbym niczego, co mógłbym zostawić dzieciom. Dziękuję losowi, że mój syn Roberto jest gotów przejąć firmę, gdy ja trafię do więzienia. – Pellegrino wstał i wyciągnął ręce nad kontuarem, jakby spodziewał się, że policjant zakuje go w kajdanki.

– Zanim pana aresztuję, signor Pellegrino – powiedział policjant – chcę wiedzieć, jak pozbawił pan burmistrza życia.

Pellegrino ani chwili się nie wahał

– Udusiłem tego przeklętego łotra – powiedział.

– Jakim sposobem?

Tym razem mężczyzna wydawał się zmieszany.

– Czy to ma znaczenie?

– Nie, w zasadzie nie ma… – odpowiedział Antonio.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy. – Pellegrino ponownie wyciągnął ręce nad kontuarem.

– Jest tylko jeden drobny problem – kontynuował Antonio. – Lombardi nie został uduszony ani przez pana, ani przez nikogo innego.

– Ale skoro został skremowany, to skąd ma pan tę pewność?

– Ponieważ, w przeciwieństwie do pana, przeanalizowałem raport policyjny. Mogę pana zapewnić, signor Pellegrino, że Lombardi nie w taki sposób stracił życie.

– Jaka szkoda. Ale ja z wielką chęcią udusiłbym tego człowieka. Czy w takim razie nie może mnie pan po prostu oskarżyć o usiłowanie zabójstwa? Rozwiązałoby to wszystkie nasze problemy.

– Z wyjątkiem jednego. Mianowicie, że sprawca w dalszym ciągu będzie na wolności – zauważył Antonio. – Gdyby więc pan uprzejmie poinformował przyjaciół, że zamierzam złapać i umieścić za kratami prawdziwego mordercę, byłbym bardzo wdzięczny – dodał i energicznie zamknął notatnik.

Antonio odwrócił się w stronę wyjścia i wtedy zauważył fotografię na ścianie za ladą. Pellegrino się uśmiechnął.

– Ze ślubu mojej córki – oznajmił z dumą. – Wyszła za mąż za syna mojego drogiego przyjaciela, signora De Rosy. Nie można mieszać oleju z wodą, panie komisarzu, ale z pewnością doskonale pasują do siebie oliwa z oliwek i trufle. – Roześmiał się z własnego żartu, który zdaniem Antonia wielokrotnie do tej pory powtórzył.

– A kim jest pierwsza druhna? – zapytał Antonio, wskazując na kobietę, która stała za panną młodą.

– To Francesca Farinelli, córka burmistrza. Lorenzo i ja ustaliliśmy, że wyjdzie za mojego drugiego syna, Bruna, ale tak się nie stało.

– Dlaczego nie? – zapytał Antonio. – Czyżby oliwy z oliwek było za mało?

– Było więcej niż trzeba. Ale współczesne włoskie kobiety mają własne zdanie. Za to winę ponosi jej ojciec. Nie powinien był pozwolić jej iść na studia. To wbrew naturze.

Antonio roześmiałby się, ale podejrzewał, że starszy pan naprawdę tak uważa.

– Zastanawiam się, czy mógłbym pana prosić o drobną przysługę – powiedział Pellegrino, podnosząc dużą butelkę oliwy z oliwek.

– Jeśli tylko będę mógł, signor, z przyjemnością spełnię pana prośbę.

– Otóż zastanawiam się, czy mógłby mi pan powiedzieć, jak zamordowano burmistrza.

Policjant zignorował prezent i pośpiesznie wyszedł ze sklepu.

* * *

Rossetti wracał na posterunek, by tam napisać kolejny raport z nieudanej wizyty, ale zawahał się, kiedy dotarł do apteki. Wszedł do środka i zastał Francescę za kontuarem, zajętą rozmową z klientką.

– To powinno złagodzić ból, signora, ale proszę pamiętać, że można wziąć tylko jedną tabletkę dziennie przed snem. Gdyby się nie poprawiło, proszę przyjść ponownie – instruowała. Francesca odwróciła się do Rossettiego. – Czy teraz ja jestem kolejną kandydatką do aresztowania, komisarzu?

– Nie, przychodzę w znacznie prostszej sprawie. Skończyła mi się pasta do zębów.

– Wie pan, mamy klientów, którzy kupują mydło, pastę do zębów i żyletki podczas jednej wizyty w aptece. Czy wobec tego nie jest to z pana strony tylko subtelna taktyka policyjna, by zmęczyć podejrzanego i w ten sposób skłonić do przyznania się do winy?

Antonio się roześmiał.

– Ale jeżeli – kontynuowała – zamierza mnie pan po prostu zaprosić na drinka dziś wieczorem, po pracy, mogłabym zwyczajnie powiedzieć, że się zgadzam.

– Czy to było aż tak oczywiste? – zapytał Antonio.

– Wobec tego spotkajmy się u Lucia koło szóstej.

– Będę czekał z niecierpliwością – powiedział Antonio, odwracając się do wyjścia.

– Proszę nie zapomnieć o paście do zębów, komisarzu.

* * *

Przed drzwiami posterunku policji czekał na Antonia wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w długim, białym kitlu i fartuchu w niebiesko-białe pasy.

– Dzień dobry, panie inspektorze. Nazywam się Umberto Cattaneo.

– Komisarzu, signor Cattaneo – poprawił go Antonio.

– Jestem pewien, komisarzu, że awans będzie miał pan na wyciągnięcie ręki, gdy usłyszy, co mam do powiedzenia.

– Proszę mi tylko nie mówić, że to pan zamordował burmistrza!

– Oczywiście, że nie – odparł rzeźnik i dodał ciszej: – Ale mogę powiedzieć, kto to zrobił.

„Nareszcie informator”, pomyślał Antonio. Otworzył drzwi i poprowadził Cattanea do swojego niewielkiego biura.

– Zanim wyjawię mordercę – kontynuował Cattaneo, siadając – muszę mieć pewność, że nikt się nie dowie, że to ja go wskazałem.

– Ma pan na to moje słowo – zapewnił go Antonio i otworzył notatnik. – Przyjmujemy, że nie będzie pan wezwany na świadka, kiedy sprawa trafi do sądu.

– Nie będzie pan potrzebował świadka – oświadczył Cattaneo – ponieważ mogę wskazać miejsce, w którym schowano pistolet.

Antonio gwałtownie zamknął notatnik i głęboko westchnął.

– Przecież jeszcze nie powiedziałem, kto jest mordercą – obruszył się Cattaneo.

– Nie musi się pan trudzić, signor Cattaneo, ponieważ Lombardi nie został zastrzelony.

– Ale Gian Lucio powiedział mi, że go zastrzelił. Pokazał nawet broń – upierał się Cattaneo.

– Zanim zamknę was obu na kilka dni, jeśli nie z innego powodu, to przynajmniej po to, żebyście przestali marnotrawić mój czas, muszę wiedzieć, czemu tak bardzo chce pan doprowadzić do aresztowania swego przyjaciela za zbrodnię, której, zapewniam pana, Altana nie popełnił?

– Gian Lucio Altana jest moim najstarszym i najdroższym przyjacielem – powiedział rzeźnik.

– Dlaczego więc oskarża go pan o morderstwo?

– Ponieważ przegrałem rzut – oznajmił Cattaneo.

– Przegrał pan rzut?

– Tak. Ustaliliśmy, że ten z nas, który wygra, zgłosi się i przyzna do zamordowania burmistrza.

– Dlaczego więc on się nie zgłosił? – zapytał Antonio, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Signor De Rosa nam to odradził. Powiedział, że już zbyt wielu się przyznało do winy, i stwierdził, że Gian Lucio miałby większe szanse na aresztowanie, gdyby uznał mnie pan za informatora.

– Nie jestem zainteresowany, signor Cattaneo – powiedział Antonio. – Gdyby pan wygrał rzut, to ośmielę się zapytać: jakim narzędziem posłużyłby się pan do popełnienia zbrodni na burmistrzu?

– Ja też bym go zastrzelił, ale niestety dysponujemy tylko jednym pistoletem, więc musiałem go zakopać w ogrodzie Gian Lucia, gdzie w dalszym ciągu się znajduje.

– Ach tak. Załóżmy, że rozumiem jego motyw, ale czy może mi pan zdradzić, dlaczego Gian Lucio tak bardzo chce być oskarżony o morderstwo, którego nie popełnił?

– Wytłumaczenie jest proste, komisarzu. Lombardi jadał w restauracji Gian Lucia trzy razy dziennie i ani razu nie uregulował rachunku.

– Nie jest to wystarczający powód, by kogoś mordować.

– Owszem, jest, gdy traci się stałych klientów, ponieważ żaden z nich nie chce jeść w tej samej restauracji, w której żywi się burmistrz.

– Wciąż nie znajduję wyjaśnienia, dlaczego pan chciał go pozbawić życia.

– Gian Lucio jest moim najlepszym klientem, a nie mógł już sobie pozwolić na najlepsze gatunki mięsa w moim sklepie. Nie trzeba by długo czekać i obaj musielibyśmy zamknąć firmy. A tak przy okazji, panie komisarzu, czy może Lombardi został porażony prądem?

– Proszę stąd wyjść, signor Cattaneo, zanim sam siebie aresztuję za morderstwo.

„Nie był to całkowicie zmarnowany poranek”, pomyślał Antonio, ponieważ teraz wiedział na pewno, że tylko on, komisarz Gentile i morderca wiedzą, jak zginął Lombardi. Ale gdzie się podział Gentile?

* * *

Antonio przybył do Lucia kilka minut przed szóstą. Z niecierpliwością czekał na spotkanie z Francescą. Usiadł przy stoliku na zewnątrz i na krześle obok położył bukiet lilii. Uśmiechał się do siebie, gdy zjawił się Gian Lucio.

– Mogę poczęstować pana kieliszkiem czegoś mocniejszego, komisarzu?

– Nie, dziękuję. Zaczekam na swego gościa. A przy okazji… – zaczął Antonio, gdy restaurator się odwrócił, by odejść. – Pana znajomy, signor Cattaneo, nie został dziś rano zatrzymany za popełnienie morderstwa.

– Wiem, ale ostatecznie to ja wygrałem rzut – westchnął Gian Lucio.

– Założę się, że obaj wiecie, kto zabił Lombardiego.

– Może jednak podać panu kieliszek wina na czas oczekiwania, komisarzu? – Gian Lucio szybko zmienił temat. – Francesca lubi cortoglię white.

– W takim razie poproszę o dwie lampki.

Gian Lucio oddalił się szybkim krokiem.

Antonio obserwował aptekę znajdującą się po drugiej stronie placu, aż zauważył, że Francesca zamyka drzwi wejściowe. Przyglądał się, jak przechodzi przez plac, i natychmiast uświadomił sobie, że po raz pierwszy zobaczył ją bez długiego, białego fartucha. Była ubrana w czerwoną, jedwabną bluzkę, czarną spódnicę i buty na wysokim obcasie, których z całą pewnością nie kupiła w Cortoglii. Starał się tylko dyskretnie na nią zerkać. Co jeszcze było w niej innego? Oczywiście miała rozpuszczone włosy. Nie sądził, że mogłaby wyglądać jeszcze piękniej.

– Skoro jest pan doświadczonym detektywem – powiedziała Francesca, kiedy usiadła obok niego – to się pan dowie, że mam na imię Francesca, ale ja mam wątpliwości, czy pan to Antonio czy Toni.

– Moja mama nazywa mnie Antoniem, ale przyjaciele mówią do mnie Toni.

– Pana rodzina pochodzi z Neapolu?

– Tak – potwierdził Antonio. – Oboje rodzice są nauczycielami. Ojciec pełni funkcję dyrektora szkoły Michelangelo Illioneo, w której moja matka uczy historii, ale nikt nie ma wątpliwości, kto zarządza tym miejscem.

Francesca się roześmiała.

– Ma pan rodzeństwo?

– Jednego brata, Dariusa. Jest adwokatem. Ja łapię przestępców, a on wkłada długą, czarną togę i ich broni. W ten sposób wszystko pozostaje w rodzinie.

Francesca znów się roześmiała.

– Zawsze chciałeś być policjantem? – zapytała, gdy Gian Lucio podał im wino.

– Od szóstego roku życia, gdy ktoś ukradł mi słodycze. Ale trzeba uczciwie powiedzieć, że jeśli wychowujesz się w Neapolu, musisz dość szybko się zdecydować, po której stronie prawa będziesz się znajdował. A ty zawsze chciałaś zostać farmaceutką?

– Najpierw pracowałam w sklepie. Zaczęłam w wieku dwunastu lat – powiedziała, patrząc na plac. – Z wyjątkiem czterech lat spędzonych na uniwersytecie w Mediolanie, gdzie studiowałam chemię, zawsze tu byłam. Apteka to mój drugi dom. Gdy jej właściciel przeszedł na emeryturę, ja ją przejęłam.

– Co na to twój ojciec?

– Był wtedy zbyt zajęty walką, prawdziwą walką, o reelekcję w wyborach na burmistrza, żeby się zajmować moimi sprawami.

– Które, tak przynajmniej wszyscy przypuszczali, miał wygrać.

– I to zdecydowaną większością głosów. Tymczasem ku ogromnemu zaskoczeniu wszystkich pracownik urzędu ogłosił wygraną Lombardiego.

– Nie spotkałem nikogo, kto głosował na Lombardiego – powiedział Antonio.

– W tych wyborach nie miało znaczenia, kto i jak głosował, Toni, ale kto liczył głosy.

– Twój ojciec został burmistrzem wkrótce po zabójstwie Lombardiego.

– Nikt przeciwko niemu nie wystąpił po raz drugi, więc mam nadzieję, że weźmiesz udział w jego zaprzysiężeniu w sobotę.

– Takiej uroczystości nie opuszczę – powiedział Antonio, unosząc kieliszek. – Chyba że wcześniej aresztuję mordercę Lombardiego.

– Ile osób dziś przyznało się do zamordowania burmistrza?

– Dwie. Pellegrino i właściciel kwiaciarni, signor Burgoni.

– Jak to się stało, że potrącił Lombardiego? – zapytała Francesca.

– Twierdził, że najechał na niego swoim ferrari, a potem przewrócił go na plecy i sprawdził, czy na pewno nie żyje. Stało się to tutaj, na rynku.

– Brzmi całkiem przekonująco. Dlaczego go nie aresztowałeś?

– Ponieważ nie ma nawet fiata, a cóż dopiero mówić o ferrari. Na dodatek nie ma prawa jazdy – wyjaśnił Antonio i wręczył lilie Francesce. – Czyli pan Burgoni będzie mógł dalej sprzedawać swoje kwiaty.

Francesca się roześmiała. W tej samej chwili pojawił się Gian Lucio i zaproponował im kolejną lampkę wina.

– Nie, nie, Gian Lucio – odmówiła Francesca. – Muszę wrócić do domu. Mam mnóstwo pracy przed sobotą.

– W ten dzień twój ojciec oficjalnie obejmie stanowisko burmistrza Cortoglii. Ale mam nadzieję, że z wami spotkam się wcześniej – powiedział Gian Lucio i lekko się skłonił.

– Jeśli dostanę drugą szansę – powiedział Antonio, gdy Francesca wstała i ruszyła przez plac w stronę apteki. Wyjaśniła, że mieszka nad nią.

– A ty gdzie mieszkasz? – zapytała.

– Na czas pobytu tutaj ulokowali mnie w dawnym domu Lombardiego. Dotychczas nie miałem okazji mieszkać w takim luksusie i staram się do niego nie przyzwyczajać, ponieważ niedługo będę musiał wrócić do mojego niewielkiego mieszkania w Neapolu.

– Nie, jeśli nie złapiesz mordercy – przekomarzała się z nim dziewczyna.

– Niezły pomysł, ale mój szef zaczyna się niecierpliwić. Wyraźnie powiedział, że oczekuje mnie przy biurku w ciągu dwóch tygodni, z mordercą albo bez niego.

Dotarli do drzwi Franceski. Wyjęła klucz, ale zanim zdążyła włożyć go do zamka, Antonio pochylił się i ją pocałował.

– Nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania, Toni.

Antonio wyglądał na zdziwionego, ale Francesca dodała:

– Mam przeczucie, że wkrótce będziesz potrzebował następnej kostki mydła. A tak przy okazji, Toni, niektórzy z naszych klientów kupują je w pudełkach po trzy, a nawet po sześć sztuk.

Francesca otworzyła drzwi i zniknęła w środku. Antonio przeszedł na drugą stronę placu i zauważył, że kilku mieszkańców miasteczka się do niego uśmiecha.

* * *

Następny dzień źle się zaczął dla Antonia. Analizował tablicę z fotografiami, z których kilka było przekreślonych na krzyż. Z zadumy wyrwał go Riccardo Forte, miejscowy listonosz, który wkroczył na posterunek i jeszcze przed przekazaniem porannej poczty oznajmił:

– Nie mogę dłużej wytrzymać, komisarzu. Postanowiłem się zgłosić i przyznać do winny. To ja zamordowałem burmistrza.

– Właśnie parzyłem kawę, Riccardo. Może też ma pan ochotę?

– Nie przedtem, zanim mnie pan aresztuje i przetrzepie mi skórę.

– To może poczekać. Najpierw zadam panu kilka pytań.

– Oczywiście.

– Pije pan czarną czy ze śmietanką?

– Czarną i bez cukru.

Toni nalał kawy do filiżanki i podał ją listonoszowi.

– Jak zabiłeś burmistrza, Riccardo? – zapytał, tym razem nie tracąc czasu na wstępne rozpoznanie.

– Utopiłem go – powiedział listonosz.

– W morzu? – podsunął Antonio, unosząc brwi.

– Nie, w jego własnej wannie. Działałem z zaskoczenia.

– Rzeczywiście musiało to być działanie z zaskoczenia – zauważył Antonio, otwierając notatnik. – Ale zanim wniosę oskarżenie, Riccardo, mam jeszcze jedno, może dwa pytania.

– Przyznam się do wszystkiego – oświadczył listonosz.

– Jestem pewien, że tak będzie, ale powiedz mi po pierwsze, ile masz lat.

– Sześćdziesiąt trzy.

– Ile masz wzrostu?

– Metr sześćdziesiąt dwa.

– A ile ważysz?

– Około siedemdziesięciu sześciu kilogramów.

– I chcesz, żebym uwierzył, że pokonałeś mężczyznę, który miał prawie dwa metry wzrostu i ważył około stu kilogramów. Człowieka, który – jak sugerował jeden czy drugi – nigdy się nie kąpał. Powiedz mi, Riccardo: czy Lombardi w tym czasie spał?

– Nie – zaprzeczył listonosz. – Ale był pijany.

– Ach tak, to by wyjaśniało sytuację – powiedział Antonio. – Chociaż, szczerze mówiąc, gdyby stracił przytomność, zanim próbowałeś go utopić, to mielibyście równe szanse. – Listonosz zrobił minę urażonego. – Tak czy inaczej jest coś, co przeoczyłeś.

– Co takiego?

– Lombardi nie mógł być utopiony w wannie, ponieważ w jego domu jest tylko prysznic.

– A w morzu? – mimochodem zapytał listonosz.

– Również nie ma takiej możliwości. Nie tylko dlatego, że jedenastu młodszych mężczyzn przyznało się do utopienia go w morzu. – Antonio zamknął notes. – Ale twoje starania zasługują na uznanie, Riccardo. Przejdźmy jednak do ważniejszej sprawy. Czy jest dziś dla mnie jakaś korespondencja?

– Tak, są trzy listy – powiedział listonosz i położył na stole trzy otwarte koperty. – Jeden od pana matki, która chce wiedzieć, czy wróci pan w niedzielę na lunch. Drugi od szefa policji w Neapolu, który pyta, dlaczego jeszcze nikogo pan nie aresztował, i trzeci od pańskiego brata.

– A on czego chce? – zainteresował się Antonio, pomijając milczeniem kwestię bezprawnego manipulowania listonosza przy prywatnych listach.

– Czy mógłby pan go powiadomić, gdy pan kogoś aresztuje, i polecić go jako adwokata, jeśli ten ktoś będzie miał pieniądze.

– Czy w tym mieście są jakieś tajemnice?

– Tylko jedna – powiedział listonosz.

* * *

Kolacja z Francescą w restauracji u Lucia odbywała się na oczach wszystkich niczym egzekucja publiczna. Gdyby Antonio choć pomyślał o trzymaniu jej za rękę, to wiadomość o tym znalazłaby się na pierwszej stronie „Cortoglia Gazzetta”.

– Nigdy się nie nudzisz w miasteczku? – zapytał Francescę, gdy kelner sprzątnął ze stołu talerze.

– Nigdy. Mogę tu korzystać ze wszystkich dobrodziejstw obu światów – odpowiedziała. – Czytać te same książki, które ty czytasz, oglądać te same programy telewizyjne, jeść to samo, a nawet delektować się tym samym winem, ale za połowę ceny. A jeśli mam ochotę wybrać się do opery, do galerii sztuki albo kupić nowe ubranie, zawsze mogę pojechać na dzień do Neapolu i wrócić do Cortoglii przed zachodem słońca. Być może nie zauważyłeś, Toni, malowniczych wzgórz ani nie poczułeś zapachu świeżego powietrza i życzliwości uśmiechniętych ludzi, którzy mijają cię na ulicy. Tu każdy zna twoje imię.

– A gdzie ruch i ożywienie, rozmaitość codziennego życia?

– Tłok i zgiełk, zanieczyszczenia, bazgroły na murach, nie wspomnę już o zachowaniu tych neapolitańczyków, którzy uważają, że miejsce kobiety jest w kuchni albo w sypialni, i niekoniecznie ciągle tej samej kobiety.

Antonio pochylił się nad stołem i ujął jej dłoń.

– Czyli nie zdołam cię nakłonić, żebyś pojechała ze mną do Neapolu?

– Na jeden dzień, owszem – odparła Francesca. – Ale potem, po zmroku, chciałabym, żebyśmy wrócili do Cortoglii.

– W takim razie będziesz musiała mordować więcej miejscowych.

– Absolutnie nie. Jeden wystarczy na następne sto lat. A przy okazji… Kto jako ostatni próbował cię przekonać, że pozbył się Lombardiego?

– Paolo Carrafini.

– Którego wino nam obojgu smakuje – powiedziała Francesca, unosząc kieliszek.

– I tak pozostanie – powiedział Antonio. – Ponieważ argumenty signora Carrafiniego, którymi starał się mnie przekonać, że zamordował burmistrza, okazały się jak dotąd najmniej wiarygodne.

– Co było złego w wersji, według której Lombardi wpadł do piwnicy przez drzwi-pułapkę i skręcił sobie kark?

– Nic złego w samym pomyśle – powiedział Antonio. – Szkoda tylko, że Carrafini musiał podnieść drzwi-pułapkę, zanim przepchnął przez nie Lombardiego. Powinnaś uprzedzić kolejnych potencjalnych morderców, że muszą być przygotowani na wszelki wypadek, gdyby coś nie poszło po ich myśli, nawet jeśli są niewinni.

– Więc kto jest następny na twojej liście?

– Nadszedł niestety czas na twojego ojca, a on jest ostatnią osobą, którą bym chciał aresztować. Chociaż ma motyw, z powodu którego jest oczywistym kandydatem.

– Jaki?

– Wiadomo, że Lombardi jemu odebrał fotel burmistrza, a zaledwie kilka dni po morderstwie twój ojciec wrócił do ratusza.

– Wraz z przyjaciółmi – przypomniała mu Francesca.

– Którzy, teraz już wiemy, są niewinni, dlatego bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak twój ojciec zabił Lombardiego.

Francesca pochyliła się nad stołem i dotknęła jego policzka.

– Nie martw się, mój ojciec nie przyzna się do morderstwa.

– Tym bardziej prawdopodobna jest jego wina.

– Tyle że on ma żelazne alibi. Był wtedy we Florencji na konferencji władz samorządowych.

– Wobec tego mi ulżyło, jeżeli oczywiście są świadkowie.

– Ponad stu.

– O wiele więcej niż trzeba. Ale jeśli to nie twój ojciec uśmiercił Lombardiego, zaczyna mi brakować podejrzanych. Chociaż wciąż pozostaje tajemniczo zaginiony policjant, ponieważ Luki Gentilego nikt w Cortoglii nie widział od dnia, w którym zamordowano Lombardiego. Jego nieobecność sama w sobie jest podejrzana.

– Luca nie jest zdolny do popełnienia takiej zbrodni – powiedziała Francesca. – Podejrzewam jednak, że wie, kto to zrobił, i dlatego nie wrócił do Cortoglii i nie podejmie swoich dawnych obowiązków do czasu, aż ty bezpiecznie wyjedziesz do Neapolu.

– W takim razie mam jeszcze kilka dni na zaskoczenie was wszystkich.

– Przypuszczam, że dojdziesz do wniosku, że są co najmniej trzej potencjalni mordercy, którzy koniecznie chcą być uznani za winnych.

– Z pewnością zabrakło im już pomysłów, nie sądzisz?

– Myślę, że jutrzejszy ci się spodoba. Jest o wiele lepszy od drzwi-pułapek, noży do zbierania trufli i broni palnej.

– Powiedz im, proszę, żeby jutro nie zawracali mi głowy – powiedział Antonio. – Robię sobie dzień wolny, bo chcę uczestniczyć w uroczystości zaprzysiężenia twojego ojca na burmistrza. – I dodał: – Dlaczego nie dostaję rachunku?

– Nie będziesz dostawał rachunków, Toni, do końca swego pobytu u nas – wyjaśniła Francesca. – Gian Lucio wszystkim opowiada, że chociaż przyznał się do zastrzelenia Lombardiego, nawet pokazał ci broń, której w tym celu użył, ty w dalszym ciągu nie chcesz go aresztować.

– Bo nie jest winny – zaprotestował zirytowany Antonio. – I gdybyśmy dziś wieczorem nie jedli tutaj kolacji, zamknąłbym go za posiadanie broni palnej.

– Ale pistolet nawet nie należy do niego.

– Jednak to on wygrał rzut.

– Wygrał rzut?

– W końcu znalazło się coś, o czym nie wiesz – powiedział Antonio, wstając, by udać się do wyjścia. Wziął Francescę za rękę i spacerem przeszli przez plac do jej domu.

Otworzyła drzwi i tym razem Antonio wszedł za nią do środka.

* * *

Komendant policji w Neapolu zadzwonił do Antonia kilka dni później i zapytał o postępy w śledztwie.

– Nie mogę udawać, że są, szefie – przyznał Antonio. – Do tej pory – powiedział, otwierając grubą teczkę – do zamordowania burmistrza przyznały się czterdzieści cztery osoby i jestem niemal pewien, że żadna

z nich nie jest winna popełnienia przestępstwa. A co gorsza, przypuszczam, że wszyscy tu wiedzą, kto zabił Lombardiego.

– W końcu ktoś pęknie – stwierdził szef. – Zawsze tak jest.

– To nie Neapol, szefie – Antonio usłyszał własny głos.

– Czyli kto się przyznał jako ostatni?

– Nie jeden, a jedenastu. Piłkarze z tutejszej drużyny twierdzą, że zepchnęli Lombardiego z urwiska i utonął w morzu.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że tak nie było?

– Przesłuchałem całą jedenastkę. Najbliższe wybrzeże znajduje się w odległości ponad sześćdziesięciu kilometrów stąd, a oni nawet nie potrafili się zgodzić, z którego klifu go zepchnęli, gdzie wyciągnęli go z wody ani jak dostarczyli go z powrotem do Cortoglii i położyli na łóżku. Nie jestem przekonany, że grupa osób mogła wspólnie zamordować Lombardiego.

– Skąd taki wniosek?

– Oni nie wygrali ani jednego meczu w ciągu ostatnich piętnastu lat, a trzeba pamiętać, że sprawa z Lombardim rozgrywała się na wyjeździe. Szczerze mówiąc, uważam za bardziej prawdopodobne, że Lombardi zepchnąłby do morza wszystkich jedenastu, zanim oni położyliby mu ręce na ramieniu.

– Tym bardziej twój powrót jest uzasadniony – powiedział szef. – W Cortoglii nikt nie będzie tęsknił za Lombardim. Właśnie dostałem poufny raport od Guardia di Finanza z informacją, że nawet mafia go wykluczyła ze swoich szeregów. Uznali, że jest zbyt agresywny. Jeśli do końca przyszłego tygodnia nie znajdziesz sprawcy morderstwa, to chcę cię widzieć z powrotem tutaj, w Neapolu, gdzie prawdziwi przestępcy wciąż krążą po ulicach.

Antonio nie miał szansy odpowiedzieć.

* * *

Wszyscy wzięli dzień wolny, również Antonio, by uczcić początek kadencji nowego burmistrza. Lorenzo Farinelli został wybrany bez sprzeciwu, co nie było dla nikogo zaskoczeniem, a rada pozostała w tym samym, sześcioosobowym składzie. Tańce i uczta na głównym placu miasteczka trwały do wczesnych godzin rannych, prawie pod oknem sypialni Antonia, ale to nie tylko dlatego nie mógł zasnąć.

Nazajutrz zadzwonił do matki, żeby jej powiedzieć o kobiecie, którą poznał, i o tym, że zamierza ją poślubić. Zapewnił ją, że będzie oczarowana Francescą i to nie tylko z powodu jej urody.

– Koniecznie muszę ją poznać – powiedziała matka. – Przyjedź z nią w weekend do Neapolu.

– A może ty i papa przyjechalibyście do Cortoglii?

* * *

W ciągu następnych kilku dni liczba obywateli, którzy przyznali się do zamordowania Lombardiego, wzrosła z czterdziestu czterech do pięćdziesięciu jeden. Gdy szef ponownie zadzwonił z Neapolu i polecił zakończyć sprawę, Antonio musiał przyznać, że mieszkańcy miasteczka go pokonali i że być może nadszedł czas powrotu do prawdziwego świata.

Rzeczywiście Antonio tak by zrobił, gdyby nowy burmistrz nie zadzwonił i nie poprosił go o spotkanie w prywatnej sprawie.

Idąc przez plac do ratusza, młody detektyw przypuszczał, że liczba potencjalnych morderców wzrośnie z pięćdziesięciu jeden do pięćdziesięciu dwóch, ponieważ Farinelli był jedyną osobą w radzie, która jeszcze nie przyznała się do zamordowania Lombardiego. Co więcej, Antonio niedawno się dowiedział, że burmistrz wcale nie był na konferencji we Florencji w dniu zabójstwa. Wiedział natomiast, kto tam był.

* * *

– Kto popiera ten pomysł? – zapytał burmistrz, rozglądając się po sali obrad, w której zebrali się jego koledzy z Consiglio Comunale w dawnym składzie.

Pozostali członkowie rady – Pellegrino, De Rosa, Carrafini, Cattaneo i Altana – podnieśli ręce.

– Czy zgadzamy się również co do kwoty pieniędzy, którą powinniśmy mu zaoferować?

Pięć rąk ponownie znalazło się w górze, bez najmniejszego sprzeciwu.

– Sądzisz, że tyle wystarczy? – zapytał Pellegrino, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Przypuszczam, że zaraz się dowiemy – powiedział burmistrz, gdy Antonio wszedł do sali, zaskoczony obecnością wszystkich radnych.

Farinelli wskazał mu puste miejsce na drugim końcu stołu.

Antonio nalał sobie wody do szklanki i usiadł. Wtedy burmistrz zabrał głos.

– Przed chwilą zakończyło się pierwsze posiedzenie nowej rady i zastanawialiśmy się, czy przedstawi nam pan aktualne informacje na temat postępów dochodzenia.

– Wprawdzie nie mam dostatecznego dowodu, panie burmistrzu, ale jestem prawie pewien, że wiem, kto zabił Lombardiego. – Zawiesił wzrok na osobie siedzącej na przeciwległym końcu stołu. – Mimo moich podejrzeń szef polecił mi zamknąć sprawę i wrócić do Neapolu.

Antonio nie mógł nie zauważyć westchnienia ulgi wszystkich siedzących przy stole.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że pański szef podjął słuszną decyzję – powiedział burmistrz. – Przyznaję jednak… – przerwał, ponieważ Antonio nie spuszczał z niego wzroku – że nie w związku z tą sprawą chcieliśmy się z panem spotkać. Zapewne panu wiadomo, że komisarz Luca Gentile niedawno skontaktował się z nami i poinformował nas, że nie wróci do Cortoglii z powodów osobistych, a rada jednogłośnie opowiedziała się za zaproponowaniem panu stanowiska szefa tutejszej policji.

– Ale w Cortoglii jest tylko jeden policjant!

– Owszem – przyznał De Rosa. – Ale wspólnie doszliśmy do wniosku, że przy tak dużej liczbie morderców na wolności powinien pan mieć zastępcę.

– Tylko że na posterunku jest za ciasno nawet dla jednego funkcjonariusza. Jest tam ledwie jedno biurko i nawet nie ma zamka w drzwiach celi.

– To prawda, ale dotychczas niczego więcej nie potrzebowaliśmy – powiedział Pellegrino. – Jednakże rada wyraziła zgodę na budowę nowego posterunku na miarę pańskiego statusu.

– Ale…

– Będziemy też zadowoleni, jeśli zgodzi się pan na pozostanie w obecnym mieszkaniu – wtrącił Cattaneo.

– Niewiarygodna hojność, jednak wciąż wydaje mi się…

– Otrzymałby pan takie samo wynagrodzenie jak szef policji w Neapolu – dodał Farinelli, mając nadzieję na zakończenie negocjacji.

– To już jest więcej niż hojność … – zaczął Antonio.

– Powiedzmy, że… – kontynuował burmistrz – zaznaczam, że tej kwestii nie poddaliśmy pod głosowanie, jest coś, na czym nam wszystkim bardzo zależy. Gdyby się pan zdecydował poślubić miejscową dziewczynę…

* * *

Wielu gości, wśród nich również rodzice i brat Antonia, przybyło z Neapolu rankiem w dniu ślubu Antonia Rossettiego i Franceski Farinelli. Antonio zapewnił burmistrza, że wszyscy następnego dnia wyjadą z miasteczka.

Cała Cortoglia była świadkiem ślubowania dozgonnej miłości, które złożyła para narzeczonych. Przybyli też miejscowi, którzy nie zostali zaproszeni. W czasie uroczystości weselnych il signor i la signora Rossetti wyruszyli w podróż do Wenecji, a opuszczając miasteczko, Antonio był przekonany, że bal wciąż będzie trwał, gdy wrócą do domu za dwa tygodnie.

Nowożeńcy spędzili podróż poślubną w Wenecji, jedząc za dużo spaghetti alle vongole i pijąc za dużo wina, jednocześnie wciąż znajdując sposób na zapobieganie nadmiernemu przybraniu na wadze.

Ostatniej nocy Antonio siedział na łóżku i przyglądał się żonie, która się rozbierała. Kiedy wsunęła się pod kołdrę i położyła obok niego, wziął ją w ramiona.

– To były najwspanialsze dwa tygodnie, kochanie – powiedziała Francesca. – Pozostanie nam mnóstwo wspomnień, którymi będziemy się mogli podzielić po powrocie do domu.

– Na przykład opowiedzieć o tym, jak z trudem weszłaś na wieżę na placu Świętego Marka i na szczycie udawałaś, że nie masz zadyszki.

– To nic w porównaniu z twoimi godnymi pożałowania próbami manewrowania gondolą pod Mostem Westchnień, mimo że gondolier wyraźnie powiedział, że jest to najszerszy odcinek kanału.

– O tym nie mów nikomu!

– Mam zdjęcia – drażniła się Francesca.

– Ale muszę przyznać, że najwspanialszy był dzisiejszy wieczór przy świecach w barze Harry’ego z widokiem na Rialto.

– Niezapomniany – westchnęła Francesca i pocałowała męża. – Ale gdyby Gian Lucio otworzył restaurację w Wenecji, mieliby w nim poważnego konkurenta.

– Gdybyś kiedyś przyjechała do Neapolu, zaprowadziłbym cię do jednej, a nawet dwóch restauracji, w których również by ci się spodobało.

– Może któregoś dnia wybiorę się tam na lunch. Szczerze mówiąc, już bardzo chcę wracać do Cortoglii.

– Ja też – przyznał Toni. – Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że na rynku w dalszym ciągu wszyscy świętują.

– Miejmy tylko nadzieję, że nikt nie zamordował mi ojca.

– I to nie tylko dlatego, że do tej pory nie rozwiązałem zagadki, kto zabił poprzedniego burmistrza. A jeśli już o tym mowa… Jesteś chyba jedyną z niewielu osób, które nie przyznały się do zamordowania Lombardiego.

– Miałam zamiar to zrobić, kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do apteki. Ale wydawało się, że byłeś bardziej pochłonięty próbami zwrócenia mojej uwagi na siebie.

Toni się roześmiał.

– W takim razie pozostało mi zapytać, kochanie, jak zabiłaś Lombardiego.

– Po obiedzie dolałam mu do kawy łyżeczkę cyjanku, chwilę przedtem, zanim poszedł spać. Miał powolną i bolesną śmierć, ale na inną nie zasłużył.

Antonio zerwał się i wyprostowany jak struna spojrzał na żonę.

– Nie muszę ci chyba przypominać, kochanie… – dodała Francesca – że we Włoszech mąż nie może zeznawać przeciwko własnej żonie.

1. Na podstawie rzeczywistych wydarzeń [wróć]

MORDERSTWO DOSKONAŁE

Niespodziewane zwroty zdarzeń są nie najlepiej widziane w powieści, choć w życiu występują nagminnie.

Skończyłem korektę *Dzieła przypadku* i odesłałem ją wydawcy, a wtedy okazało się, że jeszcze w tym roku „Reader's Digest" wznowi konkurs na opowiadanie złożone ze stu słów.

Redaktor naczelny miesięcznika zaproponował, żebym ponownie podjął wyzwanie i w ciągu dwudziestu czterech godzin napisał tekst o takiej objętości.

Efekt? *Morderstwo doskonałe*. Mam nadzieję, że ta opowiastka, która ostatnio wyszła spod mego pióra, spotka się z uznaniem czytelników. A jeśli jest wśród nich ktoś, kto wciąż pisze do szuflady, może wreszcie się ujawni i też postanowi spróbować swoich sił.

Powyższy tekst również składa się ze stu słów.

* * *

Albert uważnie obserwował więźnia, który wstał ze swego miejsca w ławie oskarżonych. Dobrze wiedział, że ten człowiek nie popełnił zbrodni.

Albert zadał śmiertelny cios chwilę po tym, jak Yvonne przyznała, że spotyka się z innym mężczyzną. Wymknął się z mieszkania, poszedł do budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy. Tam zaczekał, aż pojawi się jego rywal, i gdy go zobaczył, wybrał numer alarmowy.

Po dwudziestu minutach dwaj policjanci wyprowadzili niewinnego człowieka z jej mieszkania, wsadzili go do radiowozu i na sygnale szybko odjechali.

– Czy sędziowie uznali oskarżonego za winnego morderstwa czy za niewinnego?

Przewodniczący ławy przysięgłych wstał.
– Jest winny – powiedział Albert.

Słowo wstępne do *I tak wygrasz*

Drodzy Czytelnicy,
po sporym wyzwaniu, jakim było siedem tomów sagi „Kroniki Cliftonów”, stworzenie tego zbioru opowiadań okazało się przyjemnym doświadczeniem.

W tamtym czasie nie spodziewałem się, że przyjdzie mi do głowy pomysł napisania powieści stanowiącej równie trudne wyzwanie jak wszystkie moje dotychczasowe, a zarazem niezwykle ekscytującej.

Ci z Was, którzy przeczytali ostatni tom „Kronik”, zatytułowany *To był człowiek!*, z pewnością nie będą nią zaskoczeni, ponieważ Harry Clifton w ostatniej części przedstawił w zarysie fabułę, wokół której krążyły moje myśli.

Postanowiłem pójść o krok dalej niż Harry i na kolejnych stronach niniejszego zbioru zaprezentować Wam trzy początkowe rozdziały książki I tak wygrasz, która ukaże się w listopadzie 2018 r. [1]

Mam nadzieję, że przypadnie Wam ona do gustu.

Jeffrey Archer
marzec 2018

1. Od wydawcy polskiego: zamieszczony tu tekst jest pierwszą wersją początku powieści, która zarówno w Anglii, jak w Polsce rzeczywiście ukazała się w listopadzie 2018. [wróć]

I TAK WYGRASZ
(fragment powieści)

1

ALEKSANDR

Leningrad, 1968

– Co zamierzasz robić po skończeniu szkoły? – zapytał Aleksandr.

– Dostać się do KGB. Mam nadzieję, że mi się uda – odpowiedział Władimir. – Tylko że nie będą mnie nawet brać pod uwagę, jeśli nie pójdę na studia. A ty jakie masz plany?

– Chcę zostać pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem Rosji – oznajmił Aleksandr i się roześmiał.

– Jeśli do tego dojdzie – powiedział Władimir poważnie – będziesz mógł mnie powołać na szefa KGB.

– Nie uznaję nepotyzmu – odparł Aleksandr, kiedy przechodzili przez szkolne boisko, z którego wyszli na ulicę.

– Nepotyzm? – zainteresował się Władimir, gdy skierowali się w stronę domu.

– To słowo pochodzi od włoskiego *nipote*. Nepotyzm, czyli praktyka znana od siedemnastego wieku. Była stosowana przez ówczesnych papieży. Chodziło o faworyzowanie bliskich krewnych i przyjaciół przy przydzielaniu godności.

– Co w tym złego? – zdziwił się Władimir. – Po prostu zamiast papieży będzie KGB.

– Idziesz w sobotę na mecz? – zapytał Aleksandr, by zmienić temat.

– Nie. Skoro Leningrad dotarł do półfinału, to nie ma szans, żeby ktoś taki jak ja zdobył bilet. Ty pewnie dostaniesz z automatu, bo twemu ojcu jako kierownikowi magazynów portowych z pewnością przydzielą ze dwie wejściówki na trybuny na miejsca zarezerwowane dla członków partii.

– Raczej nic z tego nie będzie, bo w dalszym ciągu nie chce do niej wstąpić – powiedział Aleksandr. – Niedawno zagadnąłem go o bilety, ale nie miał wielkich nadziei. Teraz liczę tylko na wujka Niko.

Szli dalej, a Aleksandr uświadomił sobie, że obaj unikają tematu, który nie schodził im z myśli.

– Jak sądzisz, kiedy się dowiemy?

– Nie mam pojęcia – odparł Aleksandr. – Podejrzewam, że nauczyciele mają radochę z naszej udręki. Dobrze wiedzą, że to już ostatnie chwile ich władzy nad nami.

– Ty nie musisz się niczym martwić – powiedział Władimir. – W twoim przypadku to tylko kwestia, czy dostaniesz stypendium Lenina i pójdziesz do moskiewskiego Instytutu Języków Obcych, czy zaproponują ci miejsce na uniwersytecie na wydziale matematycznym. Ja nie mam pewności, że w ogóle dostanę się na jakąś uczelnię. A jeśli nie, to szanse na wstąpienie do KGB diabli wzięli. – Westchnął. – Prawdopodobnie stanie na tym, że do końca życia będę pracował w porcie pod nadzorem twego ojca.

Aleksandr się nie odezwał. Obaj weszli do bloku i ruszyli po zniszczonych, kamiennych schodach do swoich mieszkań.

– Wolałbym mieszkać na pierwszym piętrze niż na czternastym.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że tylko członkowie partii mieszkają na pierwszych trzech piętrach. Ale jestem pewien, że jak już będziesz w KGB, to się sprowadzisz na niższy poziom.

– Do jutra! – powiedział Władimir, puszczając mimo uszu uwagę przyjaciela. Poszedł dalej, bo miał do pokonania jeszcze sześć kondygnacji.

Aleksandr otworzył drzwi do maleńkiego mieszkania na ósmym piętrze, które zajmował z rodzicami. Przypomniał sobie artykuł, który ostatnio czytał w jakiejś gazecie o tym, że Ameryka jest do tego stopnia opanowana przez przestępców, że wszyscy tam mają co najmniej dwa zamki w drzwiach wejściowych. Pomyślał, że prawdopodobnie w Związku Radzieckim nie ma potrzeby zakładać aż tylu, bo ludziom nie ma co ukraść.

Poszedł prosto do pokoju. Wiedział, że matka wróci dopiero po skończeniu zmiany w porcie. Wyjął z teczki kilka kartek w linie, ołówek i mocno sfatygowaną książkę. Wszystkie rzeczy położył na stoliku w kącie pokoju. Otworzył *Wojnę i pokój* Tołstoja na sto siedemdziesiątej dziewiątej stronie i zabrał się do tłumaczenia jej fragmentu na angielski, który jakiś czas temu zaczął: *When the Rostov family sat down for supper that night, Nikolai appeared distracted, and not just because…*

Dwukrotnie sprawdził każdą linijkę, czy nie ma błędów w pisowni, i zastanawiał się nad użyciem lepiej pasującego angielskiego słowa. Wtem usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi. Poczuł burczenie w brzuchu. Był ciekaw, czy jego matce udało się przemycić jakieś smakołyki z kantyny oficerskiej, gdzie pracowała jako kucharka. Zamknął książkę i poszedł do niej do kuchni.

Jelena przywitała go ciepłym uśmiechem. Usiadł na drewnianej ławce przy stole.

– Masz dziś coś pysznego, mamo? – zapytał z nadzieją Aleksandr.

Znów się uśmiechnęła i zaczęła opróżniać kieszenie. Wyjęła duży ziemniak, dwa pasternaki, pół bochenka czerstwego chleba i dzisiejszą specjalną zdobycz: połówkę kiełbasy, która po obiedzie prawdopodobnie została na talerzu oficera. Prawdziwa uczta, pomyślał Aleksandr, w porównaniu z tym, co dziś na kolację będzie jadł jego przyjaciel Władimir. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma gorzej.

– Jakieś wieści? – zapytała Jelena, która wzięła się do obierania ziemniaka.

– Codziennie wieczorem zadajesz mi to samo pytanie, mamo, a ja ci powtarzam, że nie spodziewam się wiadomości wcześniej niż za miesiąc.

– Tak tylko pytam, bo twój ojciec byłby bardzo dumny, gdybyś zdobył stypendium Lenina. – Odłożyła ziemniak i odsunęła na bok obierki. Nic nie mogło się zmarnować. – Gdyby nie wojna, twój ojciec poszedłby na studia.

Aleksandr wiedział o tym aż nazbyt dobrze, ale zawsze był bardzo zadowolony, gdy mu przypominano, że tata służył na froncie wschodnim jako młody kapral podczas oblężenia Leningradu. Chociaż nieustający szturm oddziałów niemieckiego korpusu pancernego trwał na jego odcinku przez dziewięćdziesiąt trzy dni, to nie opuszczał stanowiska i zrobił to dopiero wtedy, gdy udało się odeprzeć Niemców.

– Za swoją postawę został odznaczony medalem „Za obronę Leningradu”– dodał Aleksandr jak na zawołanie.

Matka opowiadała mu tę historię pewnie setki razy i Aleksandr zawsze słuchał jej z zainteresowaniem, ale ojciec nigdy nie poruszał tego tematu. Teraz, po prawie dwudziestu pięciu latach od tamtych wydarzeń, po powrocie do pracy w porcie, awansował na głównego kierownika i przełożonego trzech tysięcy robotników. Mimo że nie należał do partii, w KGB uznano, że jest odpowiednią osobą na to stanowisko.

Otworzyły się drzwi wejściowe i z trzaskiem zamknęły. Był to sygnał, że ojciec wrócił do domu. Aleksandr uśmiechnął się, gdy zobaczył go w kuchni. Konstantin Karpienko, wysoki i postawny, był przystojnym mężczyzną, który wciąż wzbudzał zainteresowanie młodych kobiet. Nierzadko odwracały się za nim, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć. W jego ogorzałej twarzy najbardziej rzucały się w oczy krzaczaste wąsy, które Aleksandr głaskał w dzieciństwie, ale od kilku lat już się na to nie odważył. Konstantin usiadł ciężko na ławie naprzeciwko syna.

– Kolacja będzie gotowa za pół godziny – powiedziała Jelena, krojąc w kostkę kartofel.

– Musimy mówić tylko po angielsku, kiedy jesteśmy sami – oznajmił Konstantin.

– Dlaczego? – zapytała Jelena w ojczystym języku. – Dotychczas nie spotkałam żadnego Anglika i nie przypuszczam, żeby miało mi się to kiedyś przydarzyć.

– Bo jeśli Aleksandr dostanie stypendium, to zanim wyjedzie do Moskwy, powinien biegle się posługiwać językiem naszych wrogów.

– Ależ tato, przecież Brytyjczycy i Amerykanie walczyli podczas wojny po tej samej stronie co my!

– Owszem, po tej samej – przyznał ojciec – ale tylko dlatego, że uważali nas za mniejsze zło.

Aleksandr zastanawiał się nad słowami ojca, który wstał z ławy.

– Zagramy partyjkę przed kolacją? – zapytał Konstantin. Aleksandr kiwnął głową. Była to jego ulubiona część dnia. – Rozstaw szachy, a ja w tym czasie umyję ręce.

Konstantin wyszedł z kuchni.

– Może dla odmiany pozwól mu wygrać – szepnęła Jelena.

– Ani myślę – powiedział Aleksandr. – Zresztą od razu by się zorientował, że się nie przykładam, i złoiłby mi skórę. – Otworzył szufladę w kuchennym stole. Wyjął z niej starą szachownicę i pudełko z zestawem bierek. Jednej figury brakowało, więc co wieczór gońca zastępowała im plastikowa solniczka.

Zanim ojciec wrócił, Aleksandr przesunął pionek sprzed króla o dwa pola do przodu. Konstantin zareagował natychmiast, wyprowadzając naprzód pionek sprzed królowej o jedno pole.

– Jak poszło na meczu? – zapytał.

– Wygraliśmy trzy zero – pochwalił się Aleksandr i wykonał ruch skoczkiem.

– Nie przepuściłeś ani jednej bramki, dobra robota! – ucieszył się Konstantin. – Ale najważniejsze, żebyś zdobył to stypendium. Rozumiem, że jeszcze nie masz żadnych wiadomości?

– Nie – odparł Aleksandr i wykonał następny ruch. Dopiero po kilku minutach jego ojciec odpowiedział swoim. – Tato, mogę o coś zapytać? Udało ci się zdobyć bilet na sobotni mecz?

– Nie – odpowiedział ojciec, nie odrywając oczu od szachownicy. – Trudniej o nie niż o dziewicę na Prospekcie Newskim.

– Konstantin! – oburzyła się Jelena. – Jak robotnik portowy możesz się zachowywać w pracy, ale nie w domu.

Konstantin uśmiechnął się do syna.

– Ale wujkowi Niko obiecano dwie wejściówki na trybuny, a ja nie jestem zainteresowany, więc…

Aleksandr podskoczył wysoko, a jego ojciec w tym samym czasie wykonał następny ruch, zadowolony, że udało mu się rozproszyć uwagę syna.

– Mógłbyś mieć tyle biletów, ile zapragniesz – zauważyła Jelena – gdybyś tylko zgodził się wstąpić do partii.

– Doskonale wiesz, że nie mam zamiaru. Coś za coś, powiedzenie, którego sama mnie nauczyłaś – odparł Konstantin, patrząc na siedzącego naprzeciw syna. – Nie zapominaj, że ci ludzie zawsze będą oczekiwać czegoś w zamian, a ja nie sprzedam przyjaciół za kilka biletów na mecz piłkarski.

– Pierwszy raz od lat przeszliśmy do półfinału w pucharach – zauważył Aleksandr.

– I ja prawdopodobnie kolejnego razu nie doczekam. Ale znacznie dłużej potrwa nakłanianie mnie do wstąpienia do partii.

– Władimir już jest pionierem i zapisał się do Komsomołu – powiedział Aleksandr po swoim kolejnym ruchu.

– Nic dziwnego – odparł Konstantin. – W przeciwnym razie nie mógłby nawet marzyć o KGB, które jest naturalnym siedliskiem dla takiego gatunku żyjącego w mętnej wodzie.

Aleksandr znów się zdekoncentrował.

– Dlaczego zawsze tak źle się o nim wyrażasz, tato?

– Ponieważ jest nędznym, przebiegłym skurczybykiem jak jego ojciec. Nigdy nie zdradzaj mu żadnej tajemnicy, bo zanim dotrzesz do domu, będzie ją znało całe KGB.

– On nie jest aż taki bystry – powiedział Aleksandr. – Szczerze mówiąc, byłby bardzo zadowolony, gdyby zaproponowano mu miejsce na uniwersytecie.

– Może i nie jest bystry, ale sprytny i bezwzględny, a to niebezpieczna kombinacja. Zapewniam cię, że sprzedałby matkę za bilet na finałowy mecz w pucharach, prawdopodobnie nawet na półfinałowy.

– Kolacja gotowa – powiedziała Jelena.

– Uznajemy, że jest remis? – zapytał Konstantin.

– O nie, tato! Mam sześć ruchów do mata, dobrze wiesz.

– Przestańcie się sprzeczać – skarciła ich Jelena. – Nakryjcie do stołu.

– Kiedy ostatnio udało mi się z tobą wygrać? – zapytał Konstantin i położył swego króla na szachownicy.

– Dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku – oznajmił Aleksandr, gdy wstali i uścisnęli sobie dłonie.

Aleksandr odstawił solniczkę na stół i schował szachy do pudełka. Ojciec wyjął trzy talerze z półki nad zlewem. Aleksandr otworzył szufladę i wyjął z niej trzy różne noże i trzy widelce. Przypomniał sobie fragment z *Wojny i pokoju*, który niedawno przetłumaczył. Rostowowie zwykle spożywali pięciodaniowy obiad (*dinner* będzie lepszym słowem od *supper* – zmieni je, gdy wróci do swego pokoju), a do każdego dania używali innego zestawu srebrnych sztućców. Rodzina miała dwunastu służących w liberiach, którzy stali za każdym krzesłem i serwowali do stołu posiłki przygotowywane przez trzy kucharki, które jak się zdaje, nigdy nie opuszczały kuchni. Ale Aleksandr był przekonany, że kucharki Rostowów nie dorównywały jego matce, bo gdyby tak dobrze nie gotowała, to nie pracowałaby w kantynie oficerskiej.

Pewnego dnia… pomyślał sobie, gdy skończył nakrywać i zajął miejsce na ławie naprzeciwko ojca. Jelena podeszła do stołu z wieczornym posiłkiem, który podzieliła na trzy nierówne porcje: kawałek kiełbasy był rozkrojony na dwie części, ziemniak pokrojony w kostkę, a obierki usmażone tak, że wyglądały na wyjątkowy przysmak. Obaj jej mężczyźni dostali też po pasternaku i po grubej kromce ciemnego chleba ze smalcem.

– Wieczorem mam spotkanie w cerkwi – powiedział Konstantin, podnosząc widelec. – Ale nie powinienem wrócić zbyt późno.

Aleksandr podzielił kiełbasę na cztery mniejsze kawałki. Każdy gryzł powoli na przemian z kęsami chleba. Drobnymi łykami popijał wodą. Pasternak zachował na koniec. Jego mdły smak dość długo pozostał mu w ustach. Nie potrafił się zdecydować, czy mu to odpowiada. W *Wojnie i pokoju* pasternak dostawała tylko służba. Mimo że nie spieszyli się przy posiłku i przez cały czas rozmawiali, skończył się on po kilku minutach.

Konstantin wypił wodę, wytarł usta rękawem marynarki, wstał i bez słowa wyszedł z kuchni.

– Możesz wrócić do książek, Aleksandr. Sprzątanie nie zajmie mi dużo czasu – powiedziała matka i odprawiła go skinieniem dłoni.

Aleksandr na szczęście był posłusznym synem. Wrócił do swego pokoju, zmienił słowo *supper* na *dinner*, przewrócił kartkę i kontynuował tłumaczenie dzieła Tołstoja. *French were advancing on Moscow…*

Konstantin, który wyszedł z budynku na ulicę, nie wiedział, że ktoś go obserwuje.

Władimir nie mógł się skupić nad pracą domową i bezmyślnie wpatrywał się w okno, gdy nagle zobaczył towarzysza Karpienkę wychodzącego na ulicę. Trzeci raz w tym tygodniu. Dokąd on idzie o tej porze? Może trzeba się dowiedzieć? Nie zwlekając, wybiegł z pokoju i na palcach ruszył korytarzem. Po drodze usłyszał głośne chrapanie dobiegające z drugiego pokoju. Zajrzał do środka. Zobaczył ojca drzemiącego w fotelu z końskiego włosia i pustą butelkę po wódce leżącą na podłodze obok niego. Cicho otworzył i zamknął drzwi wejściowe, zbiegł po kamiennych schodach i wyszedł na ulicę. Spojrzał w lewo i zauważył pana Karpienkę, który skręcił za róg, więc pobiegł za nim. Przy końcu ulicy zwolnił.

Wyjrzał zza węgła i zobaczył, że towarzysz Karpienko udaje się do cerkwi pod wezwaniem Świętego Andrzeja Apostoła. Co za kompletna strata czasu, pomyślał Władimir. Przynależność do Kościoła prawosławnego może być źle widziana przez KGB, ale nie jest zakazana. Już miał wracać do domu, gdy z mroku wyłonił się drugi mężczyzna, którego ani razu nie widział w cerkwi w niedzielę.

Władimir starał się trzymać poza zasięgiem wzroku i powoli zbliżał się do cerkwi. Obserwował kolejnych dwóch mężczyzn, którzy nadchodzili z przeciwnej strony i szybko weszli do środka. Wtedy zamarł ze strachu, bo usłyszał za sobą kroki. Przylgnął do muru i padł na ziemię. Poczekał, aż nieznajomy go minie, a potem między nagrobkami przemknął na tyły

cerkwi do wejścia dla chórzystów. Przekręcił gałkę drzwi i zaklął, bo nie ustąpiła.

Rozejrzał się i dostrzegł na wpół otwarte okno. Nie mógł do niego dosięgnąć, więc podłożył pod nogi szorstką, kamienną płytę, która posłużyła mu za schodek, podskoczył i oderwał się od ziemi, ale dopiero za trzecim razem udało mu się złapać za podokienny gzyms. Z ogromnym wysiłkiem podciągnął się wyżej. Ponieważ był szczupły, zdołał się przecisnąć przez niedomknięte okno i zeskoczył na podłogę po drugiej stronie. Po cichu przemykał przez cerkiew, aż dotarł do prezbiterium i ukrył się za stołem ofiarnym. Gdy mocno przyspieszone tętno powróciło mu do normalnego, wychylił się zza stołu i zobaczył dwunastu mężczyzn siedzących na podium dla chóru przed ikonostasem i zajętych rozmową.

– Kiedy powiesz o swoim pomyśle robotnikom? – zapytał jeden z nich.

– W przyszłą sobotę, Stiepanie – odpowiedział Konstantin. – Gdy wszyscy nasi towarzysze przyjdą na comiesięczne zebranie. Wtedy będzie najlepsza okazja, by ich przekonać, żeby się do nas przyłączyli.

– Nawet starszym nic nie powiesz o swoich planach? – zapytał inny.

– Nie. Naszą jedyną szansą na powodzenie jest działanie z zaskoczenia. Lepiej nie wzbudzać zainteresowania KGB naszym planem.

– Z całą pewnością znajdą się wśród nas ich tajniacy i usłyszą każde twoje słowo.

– Wiem o tym, Michaile. Ale wtedy będą mogli przekazać swoim mocodawcom informacje o skali poparcia dla naszego planu utworzenia niezależnego związku zawodowego.

– Nie wątpię, że zdobędziesz poparcie ogółu – powiedział czwarty uczestnik spotkania. – Ale entuzjastyczne owacje nie powstrzymają kul.

Kilku mężczyzn skinieniem głowy przyznało mu rację.

– Po moim sobotnim wystąpieniu – powiedział Konstantin – w KGB nie odważą się zrobić czegoś tak głupiego, ponieważ gdyby się do tego posunęli, ludzie stanęliby w szeregu jak jeden mąż, a dżinna nie uda się im z powrotem zapędzić do butelki. Ale Jurij słusznie mówi – kontynuował. – Wszyscy poważnie ryzykujecie dla sprawy, w którą od dawna wierzę, więc jeśli ktoś chce zrezygnować i odejść z grupy, to teraz jest na to odpowiednia pora.

– Wśród nas nie ma Judasza – powiedział inny mężczyzna.

Władimir z trudem powstrzymał kaszel. Zebrani wstali na znak, że uznają Karpienkę za swego przywódcę.

– W takim razie spotykamy się w sobotę rano. Do tego czasu ani słowa na ten temat. Nasze zamiary musimy trzymać w tajemnicy.

Serce dudniło Władimirowi w piersiach, gdy mężczyźni wymieniali uściski dłoni na pożegnanie i jeden po drugim wychodzili z cerkwi. Poruszył się dopiero wtedy, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi od zachodniej strony i zgrzyt klucza w zamku. Szybko się wycofał do zakrystii, podstawił sobie taboret i przecisnął się przez okno. Oparł się o mur i zeskoczył na ziemię z przewrotem na plecy jak zaprawiony zapaśnik. W tej dyscyplinie, zresztą jedynej, Aleksandr mu nie dorównywał.

Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Pobiegł w przeciwnym kierunku, niż zmierzał pan Karpienko. Wkrótce znalazł się przy ulicy, na której nie trzeba było ustawiać znaku z napisem „Wstęp wzbroniony”, ponieważ tylko urzędnicy partyjni zapuszczali się bez obaw na Prospekt Stalina. Z łatwością trafi do domu, w którym mieszka major Poliakow. Ale czy ośmieli się zapukać do jego drzwi o tak późnej porze? W takich sprawach o każdej porze dnia i nocy.

Kiedy dotarł do ulicy obsadzonej liściastymi drzewami i wyłożonej kostką brukową, zatrzymał się i przyglądał domowi. Z każdą sekundą był coraz bardziej zdenerwowany. W końcu zebrał się na odwagę i podszedł do frontowych drzwi. Już miał zapukać, gdy otworzył je mężczyzna, który nie lubił być zaskakiwany.

– Czego chcesz, chłopcze? – zapytał i chwycił nieproszonego gościa za ucho.

– Mam informację – wydusił z siebie Władimir. – Powiedział pan nam w szkole na spotkaniu w zeszłym roku, gdy szukał pan ochotników do służby, że informacja jest złotem.

– Lepiej, żeby nim była – mruknął Poliakow. Wciąż trzymając Władimira za ucho, wciągnął go do środka i zatrzasnął drzwi. – Mów, co wiesz!

Władimir dokładnie przekazał mu, co usłyszał w cerkwi. Zanim doszedł do końca relacji, chwyt na jego uchu zelżał. Poczuł natomiast przyjazny uścisk wokół ramienia.

– Rozpoznałeś kogoś innego oprócz Karpienki? – dociekał Poliakow.

– Nie, proszę pana, ale on wypowiedział imiona Jurij, Michaił i Stiepan.

Poliakow zapisał je i zapytał:

– Wybierasz się na mecz w sobotę?

– Nie, proszę pana. Wszystkie miejsca są wyprzedane, a mój ojciec nie mógł…

Szef KGB niczym iluzjonista wyjął bilet z wewnętrznej kieszeni i wręczył go swemu nowo zwerbowanemu zausznikowi.

* * *

Konstantin cicho zamknął drzwi sypialni. Nie chciał obudzić żony. Zdjął ciężkie buty, rozebrał się i położył do łóżka. Jeśli wyjdzie bardzo wcześnie rano, to nie będzie musiał tłumaczyć Jelenie, co zamierza zrobić wspólnie ze swoimi sprzymierzeńcami, a tym bardziej co zaplanował na sobotnie zebranie. Lepiej niech myśli, że poszedł na wódkę albo nawet spotkać się z inną kobietą, niż miałaby się ugiąć pod ciężarem prawdy. Wiedział, że będzie się starała go przekonywać, żeby zrezygnował z wystąpienia.

Ostatecznie nie żyje im się najgorzej, słyszał w myślach jej słowa. Mieszkali w bloku, z elektrycznością i bieżącą wodą. Miała pracę kucharki w kantynie oficerskiej, a Aleksandr czekał na wiadomość o przyznaniu stypendium w prestiżowej szkole języków obcych w Moskwie. Czego chcieć więcej?

Żeby przyszedł wreszcie czas, kiedy każdy mógłby uznać takie rzeczy za oczywiste, powiedziałby jej Konstantin.

Nie spał przez całą noc. Układał w myślach przemowę. Wolał nie ryzykować, więc jej nie zapisywał. Wstał o w pół do szóstej i tak jak wieczorem starał się nie obudzić Jeleny. Umył twarz zimną wodą, ale się nie ogolił, włożył kombinezon i szorstką, płócienną koszulę, której nie zapiął pod szyją. Wciągnął mocno podniszczone buty z ćwiekami. Wyszedł z pokoju i zabrał z kuchni pudełko z drugim śniadaniem. Były w nim jajko na twardo, cebula, dwie kromki chleba i trochę sera. Tylko członkowie KGB jadali lepiej.

Zamknął cicho drzwi wejściowe i ruszył w dół po wytartych, kamiennych schodach. Wyszedł na pustą ulicę. Sześć kilometrów do pracy zawsze pokonywał pieszo. Nie chciał korzystać z przeładowanego autobusu, którym do portu dojeżdżali i wracali z pracy robotnicy. Jeśli dotrwa do soboty, to potem musi być sprawny jak dobrze wyszkolony żołnierz na polu bitwy.

Każdego znajomego robotnika, którego mijał na ulicy, Konstantin zawsze witał dotknięciem dwoma palcami do czapki. Niektórzy

odpowiadali mu tym samym, inni kiwali głową, ale trafiali się tacy, którzy jak źli Samarytanie odwracali wzrok w przeciwną stronę. Równie dobrze mogli mieć wytatuowany numer partyjnej legitymacji na czole.

Godzinę później Konstantin dotarł do portowej bramy, przed którą się zatrzymał. Do jego obowiązków należało nadzorowanie pracy, więc lubił być na stanowisku pierwszy i opuszczać je ostatni. Szedł wzdłuż nabrzeża i myślał o pierwszym zadaniu, od którego ma rozpocząć dzień. Okręt podwodny, płynący docelowo do Odessy nad Morzem Czarnym, właśnie zacumował w doku jedenastym, gdzie uzupełniał zapasy paliwa i prowiantu przed dalszą podróżą, ale to potrwa jeszcze co najmniej godzinę. Tylko najbardziej zaufani robotnicy mogli tego ranka znajdować się w pobliżu doku jedenastego.

Konstantin powrócił myślami do wczorajszego spotkania. Coś było nie w porządku, ale nie potrafił sobie uzmysłowić, co takiego. Zastanawiał się, czy może to był ktoś, a nie coś, gdy ruszył ogromny żuraw po drugiej stronie basenu portowego, podniósł ciężki ładunek i powoli obracał się w stronę okrętu podwodnego czekającego w doku jedenastym.

Operator siedzący w kabinie żurawia został skrupulatnie wybrany. Potrafił umieścić czołg w ładowni statku z taką precyzją, że po obu stronach zostawało zaledwie po kilkanaście centymetrów. Wprawdzie dzisiaj ładował beczki z olejem napędowym na okręt podwodny, który miał przebywać w zanurzeniu przez wiele dni, ale to zadanie wymagało równie dużej dokładności. Na szczęście poranek był bezwietrzny.

Stojący na nabrzeżu Konstantin próbował się skoncentrować na swoim przemówieniu. Jeśli żaden z kolegów z niczym nie wyskoczy, to z pewnością wszystko pójdzie zgodnie z planem. Uśmiechnął się do siebie.

Operator żurawia był zadowolony. Ustawił ramię dźwigu z dokładnością do centymetra. Ładunek był idealnie rozłożony i stabilny. Odczekał jeszcze chwilę i pociągnął długą, masywną dźwignię. Wielki chwytak otworzył się i zwolnił trzy beczki z paliwem, które po kilku sekundach rozbiły się na nabrzeżu. Cel trafiony idealnie. Konstantin Karpienko podniósł wzrok, ale było za późno. Zginął na miejscu. Straszliwy wypadek, za który nikt nie ponosił winy. Mężczyzna w kabinie wiedział, że musi zniknąć, zanim nadejdą robotnicy z porannej zmiany. Wycofał wysięgnik żurawia, wyłączył silnik, wysiadł z kabiny i zszedł po drabinie na ziemię.

Czekali już tam jego trzej towarzysze. Uśmiechnął się do nich, ale nie dostrzegł piętnastocentymetrowego ostrza. Poczuł je dopiero, gdy jeden

z nich wbił mu je głęboko w brzuch, a potem kilkakrotnie przekręcił. Pozostali dwaj mężczyźni trzymali go, aż przestał jęczeć. Związali mu ręce i nogi, przeciągnęli na brzeg i zepchnęli do basenu portowego. Wynurzył się trzykrotnie, zanim zniknął pod wodą. Oficjalnie tego dnia rano jego obecność w pracy nie została zarejestrowana, więc minie trochę czasu, zanim ktokolwiek zauważy, że go nie ma.

* * *

Pogrzeb Konstantina Karpienki odbył się w cerkwi Świętego Andrzeja Apostoła. Przybyło tak dużo ludzi, że na długo przedtem, zanim członkowie chóru zajęli swoje miejsca w nawie, świątynia była pełna i wiele osób zostało na ulicy. Biskup, który wygłaszał mowę pogrzebową, nazwał okoliczności śmierci Konstantina tragicznym wypadkiem. Prawdopodobnie należał do nielicznych, którzy wierzyli w oficjalny komunikat wydany przez komendanta portu, i to dopiero po zatwierdzeniu jego treści przez władze w Moskwie.

Dwunastu mężczyzn siedzących z przodu wiedziało, że nie był to wypadek. Stracili przywódcę, a obiecane przez KGB skrupulatne śledztwo w niczym nie pomoże, ponieważ dochodzenia prowadzone przez organy państwowe zwykle trwają co najmniej kilka lat, zanim ustalenia zostaną podane do wiadomości. Dla nich czas już przeminie.

Tylko rodzina i bliscy przyjaciele zebrali się przy grobie, by ostatni raz pożegnać się ze zmarłym. Jelena rozpłakała się, gdy trumnę z ciałem jej męża powoli opuszczano do ziemi. Aleksandr, trzymając matkę za rękę, czego od dawna nie robił, z trudem powstrzymywał łzy. Nagle zrozumiał, że mimo młodego wieku od tej pory jest głową rodziny.

Spojrzał w górę i zobaczył Władimira, z którym nie rozmawiał od śmierci ojca, na wpół ukrytego za plecami uczestników pogrzebu. Gdy ich oczy się spotkały, jego najlepszy przyjaciel szybko odwrócił wzrok. Wtedy Aleksandr przypomniał sobie słowa ojca: „…jest nędznym, przebiegłym skurczybykiem jak jego ojciec. Nigdy nie zdradzaj mu żadnej tajemnicy, bo zanim dotrzesz do domu, będzie ją znało całe KGB”. Władimir nie potrafił się powstrzymać i powiedział Aleksandrowi, że dostał bilety na miejsca stojące na sobotni mecz, chociaż nie wyjawił, od kogo ani co w zamian za nie zrobił.

Aleksandr mógł się tylko zastanawiać, jak daleko posunie się Władimir, żeby zapewnić sobie wstęp na uniwersytet, a zarazem zyskać jedyną szansę na wstąpienie do KGB. Uświadomił sobie, że teraz nie są już przyjaciółmi. Po kilku minutach Władimir zbiegł niczym Judasz nocą. Postąpił prawie tak jak tamten, z jednym wyjątkiem: nie pocałował ojca Aleksandra w policzek.

Jelena i jej syn klęczeli przy grobie jeszcze długo po tym, jak wszyscy inni odeszli. Jelena w końcu wstała i nie mogła przestać się zastanawiać, co zrobił Konstantin, że wzbudził aż taki gniew. Tylko najbardziej zindoktrynowani członkowie partii przyjęli oficjalną wersję o samobójstwie operatora żurawia portowego po tragicznym wypadku. Nawet Leonid Breżniew, sekretarz generalny partii, stanął po stronie podstępnego zamachu. Rzecznik Kremla ogłosił, że towarzysz Konstantin Karpienko został uznany za Bohatera Związku Radzieckiego, a wdowa po nim otrzyma pełną emeryturę państwową.

Jelena postanowiła całą uwagę poświęcić swemu drugiemu mężczyźnie. Zdecydowała, że przeprowadzi się do Moskwy, znajdzie tam pracę i zrobi wszystko, co w jej mocy, by pomóc synowi w karierze. Ale po długiej rozmowie z bratem niechętnie przyjęła do wiadomości, że będzie musiała pozostać w Leningradzie i starać się żyć dalej, jakby nic się nie stało. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli zdoła utrzymać dotychczasową pracę, ponieważ KGB ma długie macki, którymi sięga do znacznie ważniejszych od niej.

W sobotę w półfinale Pucharu Związku Radzieckiego Leningrad pokonał Odessę dwa do jednego i zakwalifikował się do finału, w którym zmierzy się z Torpedo Moskwa.

Władimir już kombinował, co zrobić, żeby dostać bilet.

2

ALEKSANDR

Jelena obudziła się wcześnie. W dalszym ciągu nie przyzwyczaiła się spać sama. Podała Aleksandrowi śniadanie i wyszykowała go do szkoły, posprzątała w mieszkaniu, włożyła płaszcz i wyszła do pracy. Podobnie jak Konstantin, wolała pokonywać drogę pieszo, niż tysiąc razy powtarzać: „Jak miło z pana strony”.

Myślała o śmierci jedynego mężczyzny, którego kochała. Co oni ukrywają przed nią? Dlaczego nikt nie powiedział jej prawdy? Będzie musiała znaleźć odpowiedni moment i zapytać brata, który z pewnością wie o wiele więcej, niż jest skłonny ujawnić. A potem myślała o synu, którego wyniki z egzaminów powinny być znane lada dzień.

Myślała też o swojej pracy, której nie mogła stracić, gdy Aleksandr jeszcze chodzi do szkoły. Czy emeryturę państwową przyznali jej, bo chcą się jej pozbyć? Czy jej obecność nieustannie przypomina wszystkim, jak stracił życie jej mąż? Ale była dobrą kucharką, dlatego pracowała w kantynie oficerskiej, a nie w portowej stołówce.

– Miło znów panią widzieć, pani Karpienko – przywitał ją strażnik przy bramie, gdy odbiła kartę zegarową.

– Dziękuję – powiedziała Jelena.

Po drodze minęła kilku robotników, którzy na jej powitanie zdjęli czapki, przypominając jej tym samym, jak popularny był Konstantin.

Do kantyny weszła tylnymi drzwiami. Powiesiła płaszcz na wieszaku, zawiązała fartuch i przeszła do kuchni. Sprawdziła jadłospis obiadowy. Każdego dnia rano była to jej pierwsza czynność po przyjściu do pracy. Zupa jarzynowa i królik zapiekany w cieście. W takim razie jest piątek. Jak co dzień rano zaczęła przygotowywać posiłek. Najpierw obejrzała mięso – trzy króliki, które trzeba oskórować, potem obrać i pokroić warzywa, obrać ziemniaki.

Poczuła na ramieniu delikatny dotyk. Odwróciła się i zobaczyła towarzysza Nowaka, który współczująco uśmiechnął się do niej.

– Wspaniałe nabożeństwo – powiedział jej przełożony. – Konstantin w pełni na takie zasłużył. – Oczywiście on też znał prawdę, ale nie chciał jej zdradzić.

Jelena podziękowała mu i pracowała, aż rozległa się syrena ogłaszająca przedpołudniową przerwę. Powiesiła fartuch i wyszła do Olgi na dziedziniec. Przyjaciółka z wyraźną przyjemnością paliła drugą połowę wczoraj napoczętego papierosa. Podała go Jelenie.

– Mamy za sobą piekielny tydzień – powiedziała Olga. – Ale zrobiłyśmy to, co ustaliłyśmy, żebyś nie straciła pracy. Osobiście zadbałam, żeby wczorajszy obiad był katastrofą – dodała i zaciągnęła się głęboko. – Zupa zimna, mięso rozgotowane i rozmiękłe warzywa, wszystko bez sosu. Oficerowie pytali, kiedy wrócisz.

– Dziękuję – powiedziała Jelena. Chciała uścisnąć przyjaciółkę, ale rozległo się wycie syreny.

* * *

Aleksandr nie płakał na pogrzebie ojca. Tego wieczoru, gdy Jelena wróciła po pracy do domu i zobaczyła, że jej syn szlocha, od razu domyśliła się, z jakiego powodu.

Usiadła na kuchennej ławce obok niego i objęła go ramieniem.

– Zdobycie stypendium wcale nie było aż tak ważne – powiedziała. – Propozycja studiów w instytucie języków obcych jest sama w sobie ogromnym wyróżnieniem.

– Ale mnie nie zaproponowano miejsca na żadnej uczelni – powiedział Aleksandr.

– Nawet na wydziale matematyki na uniwersytecie?

Aleksandr potrząsnął głową.

– Mam się zgłosić do portu w poniedziałek rano i dostać przydział do brygady.

– Nic z tego! – krzyknęła Jelena. – Wniosę protest.

– Nikt się nim nie będzie przejmował, mamo. Dali jasno do zrozumienia, że nie mam wyboru.

– A twój przyjaciel Władimir? Czy też został skierowany do pracy do portu?

– Nie. Zaproponowano mu miejsce na uniwersytecie. Zaczyna studia we wrześniu.

– Masz lepsze wyniki od niego w każdej dziedzinie!

– Oprócz kapownictwa – powiedział Aleksander.

* * *

W poniedziałek przed obiadem major Poliakow wszedł do kuchni i pożądliwie zmierzył Jelenę wzrokiem, jakby była smakowitym kąskiem do spróbowania. Major nie przewyższał jej wzrostem, ale z pewnością ważył dwa razy tyle co ona – tak żartobliwie stwierdziła Olga i podsumowała, że to najlepiej świadczy o umiejętnościach kulinarnych Jeleny. Poliakow sprawował w porcie funkcję szefa bezpieczeństwa, ale

wszyscy wiedzieli, że jest agentem KGB i nie podlega komendantowi portu, tylko bezpośrednio moskiewskim władzom, więc nawet jego koledzy oficerowie się go wystrzegali.

Niewiele czasu minęło, gdy po lubieżnym spojrzeniu nastąpiło szczegółowe badanie zalet Jeleny. Inni oficerowie też czasem zaglądali do kuchni, by skubnąć smakołyków w jej wydaniu, ale Poliakow zaczął się dobierać do niej, przesuwał ręce po jej plecach i zatrzymał je na pośladkach. Zanim wyszedł do jadalni, przycisnął się do niej i mruknął do ucha: „Do zobaczenia po obiedzie”. Jelena z ulgą zobaczyła, że godzinę później wyszedł z budynku i nie wrócił przed jej wyjściem z pracy. Obawiała się jednak, że to tylko kwestia czasu.

* * *

Pod koniec dnia do kuchni wpadł Niko zobaczyć się z siostrą, a ona szczegółowo opowiedziała mu o przykrym zdarzeniu, które ją spotkało tego popołudnia.

– Ani ty, ani ja nic nie możemy zrobić w sprawie Poliakowa – powiedział Niko. – Nic, jeśli chcemy utrzymać się w pracy. Za życia Konstantina nie ośmieliłby się ciebie dotknąć, ale teraz… Postanowił dodać cię do swojej listy zdobyczy, które nigdy się na niego nie poskarżą, i nic go przed tym nie powstrzyma. Zapytaj swoją przyjaciółkę Olgę.

– Nie muszę jej pytać. Ale dzisiaj coś takiego wymknęło się Oldze, co mnie przekonało, że ona wie, dlaczego Konstantin został zamordowany i kto za tym stoi. Najwyraźniej jest za bardzo przestraszona i niczego więcej się od niej nie dowiem, więc może czas najwyższy czas, żebyś ty mi powiedział prawdę. Byłeś na tamtym spotkaniu?

– To był tragiczny wypadek – powiedział Niko, przykładając palec do ust.

Jelena odkręciła wszystkie krany, zanim zapytała go szeptem:

– Czy tobie też coś grozi?

Jej brat skinął głową i bez słowa wyszedł z kuchni.

* * *

Tej nocy Jelena, leżąc w łóżku, myślała o mężu. W dalszym ciągu nie potrafiła przeboleć jego śmierci. Nie pomagało jej, że Aleksandr, który uwielbiał ojca, bardzo się starał sprostać jego niedoścignionym wymaganiom. One z pewnością stały się powodem, dla którego Konstantin oddał życie, a jednocześnie skazał syna na los robotnika portowego.

Miała nadzieję, że ich syn dostanie pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i że ona doczeka chwili, gdy Aleksandr zostanie ambasadorem. Ale tak się nie stanie. „Jeśli odważni ludzie nie chcą podejmować ryzyka w imię własnych przekonań – powiedział jej kiedyś Konstantin – to nigdy nic się nie zmieni". Jelena żałowała, że jej mąż nie był tchórzem, ale gdyby nim był, prawdopodobnie nie pokochałaby go tak bardzo.

Brat Jeleny był jego trzecim zastępcą w magazynach portowych, ale Poliakow najwyraźniej nie obawiał się zagrożenia z jego strony, ponieważ po „tragicznym wypadku" Konstantina Niko pozostał na stanowisku brygadzisty ładowaczy. Poliakow nie mógł wiedzieć, że Niko nienawidził KGB nawet bardziej niż jego szwagier. Mogłoby się wydawać, że brat Jeleny pogodził się z tym, co się stało, ale w rzeczywistości było zupełnie inaczej i już szykował zemstę, której plan wprawdzie nie przewidywał żarliwych przemówień, ale wymagał równie wielkiej odwagi.

* * *

Jelena była zaskoczona, gdy zobaczyła brata czekającego na nią przed bramą portową, kiedy we wtorek po południu odbijała kartę zegarową.

– Miła niespodzianka – ucieszyła się, gdy ruszyli w stronę domu.

– Zmienisz zdanie, kiedy usłyszysz, co mam ci do powiedzenia.

– To dotyczy Aleksandra? – zapytała z niepokojem.

– Niestety tak. Źle zaczął. Odmawia wykonywania poleceń. Pogardliwie wyraża się o KGB. Dziś powiedział młodszemu oficerowi, a ci zawsze są najgorsi, żeby się odwalił.

Jelena zadrżała ze strachu.

– Musisz mu powiedzieć, żeby się uspokoił, bo nie będę mógł go dłużej chronić.

– Niestety ma niezłomny charakter ojca – powiedziała Jelena – ale nie przejął od niego rozwagi i mądrości.

– Na dodatek jest bystrzejszy od wszystkich ze swego otoczenia, łącznie z oficerami z KGB – powiedział Niko. – I oni to wiedzą.

– Tylko co ja poradzę, skoro on już mnie nie słucha?

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Niko znów się odezwał, ale dopiero gdy nabrał pewności, że nikogo w pobliżu nie ma.

– Być może wymyśliłem rozwiązanie. Tylko nie mogę go zrealizować bez twego pełnego udziału. – Przerwał. – I Aleksandra.

* * *

Domowe problemy Jeleny były wystarczająco poważne, a na domiar złego pogarszały się sprawy w pracy, ponieważ zaloty majora stawały się coraz mniej subtelne. Nawet zastanawiała się nad oblaniem mu wrzątkiem tych obmacujących łap, ale bała się choćby pomyśleć o konsekwencjach.

Zdarzyło się to chyba tydzień później, gdy sprzątała przed wyjściem do domu, a Poliakow wpadł do kuchni. Był wyraźnie pijany i zbliżając się do niej, rozpinał spodnie. Już miał położyć spoconą łapę na jej piersiach, gdy wbiegł młodszy oficer i powiedział, że komendant pilnie wzywa go do siebie. Poliakow nie krył niezadowolenia i w drodze do wyjścia syknął do Jeleny, że ma się nigdzie nie ruszać. Zapowiedział, że wróci później. Była tak przerażona, że siedziała w kuchni przez ponad godzinę, ale na odgłos syreny włożyła płaszcz i znalazła się przy bramie wśród pierwszych, którzy odbijali karty zegarowe.

Wieczorem przy kolacji, na której był również jej brat, poprosiła go, żeby dokładniej opowiedział jej o swoim planie.

– Myślałem, że uznałaś go za zbyt ryzykowny.

– Tak, ale to było, zanim sobie uzmysłowiłam, że nie zdołam dłużej unikać Poliakowa.

– Powiedziałaś, że możesz go znieść, pod warunkiem że Aleksandr się nie dowie.

– A jeśli się dowie? – zapytała cicho Jelena. – Możesz sobie wyobrazić jego reakcję? Więc powiedz mi, o czym myślisz. Rozważę każdą propozycję.

Niko pochylił się do przodu, nalał sobie kieliszek wódki, który opróżnił jednym haustem, i zaczął krok po kroku wtajemniczać ją w swój plan.

– Pewnie wiesz, że co tydzień kilka zagranicznych statków rozładowuje się w dokach, a my staramy się je jak najszybciej obsłużyć, żeby czas

oczekiwania każdego następnego był jak najkrótszy. Na tym polega moja praca.

– Ale w jaki sposób ma to nam pomóc? – zapytała Jelena.

– Po rozładunku rozpoczyna się załadunek. Nie wszyscy chcą przewozić worki z solą albo skrzynki z wódką, dlatego niektóre statki wychodzą z portu bez towarów. – Jelena milczała, a brat tłumaczył jej dalej: – W piątek będą dwa, które po rozładowaniu wypłyną w czasie sobotniego przypływu z pustymi ładowniami. Ty i Aleksandr możecie się ukryć na jednym z nich.

– Tylko że jeśli nas złapią, skończymy w bydlęcym wagonie pociągu na Syberię.

– Dlatego tak ważne jest, żebyśmy skorzystali z szansy, która zapowiada się w tę sobotę, bo wszystkie okoliczności nam sprzyjają.

– Dlaczego tak uważasz? – dociekała Jelena.

– Leningrad gra z moskiewskim Torpedem w finale Pucharu Związku Radzieckiego i prawie wszyscy oficerowie będą oglądali mecz z loży na stadionie i kibicowali Moskwie, większość robotników będzie na trybunach po drugiej stronie dopingowała naszych. Mamy więc trzy godziny do gwizdka kończącego mecz, które moglibyśmy wykorzystać, a gdy się rozlegnie, ty i Aleksandr będziecie w drodze do nowego życia w Londynie lub w Nowym Jorku.

– Albo na Syberię?

3

ALEKSANDR

Leningrad, 1968

Niko i Jelena nigdy nie wychodzili do pracy w tym samym czasie ani wieczorami nie wracali razem do domu. W porcie nie było powodu, żeby ich ścieżki się krzyżowały, więc tu też się nie spotykali. Niko co wieczór schodził piętro niżej do mieszkania siostry, ale nie rozmawiali o swoich zamiarach. Dopiero gdy Aleksandr szedł do łóżka, ich rozmowy koncentrowały się na tym temacie.

W piątek wieczorem przedyskutowali wszystkie ewentualności, które mogłyby im stanąć na przeszkodzie, chociaż Jelena w dalszym ciągu była przekonana, że coś w ostatniej chwili pokrzyżuje im plany. Tej nocy nie zmrużyła oka, ale i tak przez ostatni miesiąc żadnej nocy nie spała dłużej niż kilka godzin.

Niko powiedział jej, że z powodu finału rozgrywek pucharowych prawie wszyscy robotnicy portowi wybrali w sobotę poranną zmianę – od szóstej do południa – więc kiedy syrena zabrzmi o dwunastej, w porcie pozostanie jedynie podstawowy personel.

– Powiedziałem już Aleksandrowi, że nie udało mi się zdobyć biletu, więc niechętnie wpisał się na popołudniową zmianę.

– Kiedy mu powiesz o planie? – zapytała Jelena.

– Dopiero w ostatniej chwili. Myśl jak ci z KGB. Nawet we własnym gronie nic sobie nawzajem nie mówią.

Towarzysz Nowak już poinformował Jelenę, że może wziąć w sobotę wolny dzień, bo nie przypuszcza, by któryś z oficerów fatygował się na obiad. Nikt nie chce stracić ani kawałka meczu.

– W takim razie zajrzę na chwilę rano – odpowiedziała. – Przecież nie wszyscy są miłośnikami piłki nożnej. Ale jeśli koło południa nikt się nie zjawi, to pójdę do domu.

Wujkowi Niko udało się zdobyć dwa bilety na trybuny, ale powiedział Aleksandrowi, że oddał je swemu zastępcy i głównemu operatorowi żurawia portowego; chciał mieć pewność, że w sobotę po południu nie będzie ich w pracy.

* * *

Następnego ranka, kiedy Aleksandr przyszedł do kuchni na śniadanie, był zdziwiony obecnością wujka i nawet pomyślał, że może udało mu się w ostatniej chwili dostać bilet na mecz. Jeszcze bardziej zaskoczyła go odpowiedź wujka na pytanie, które mu w tej sprawie zadał.

– Po południu możesz brać udział w o wiele ważniejszej grze – powiedział Niko. – To także gra przeciwko Moskwie i nie można pozwolić sobie na porażkę.

Młody człowiek siedział w milczeniu, gdy wujek przedstawiał mu szczegółowo plan, który wspólnie z jego matką przygotowywali przez ostatni miesiąc. Jelena z góry uprzedziła brata, że jeżeli, niezależnie od

powodu, Aleksandr odmówi udziału w przedsięwzięciu, trzeba będzie je odwołać. Musiała mieć pewność, że syn w pełni zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują. Niko zaoferował mu nawet łapówkę, żeby się przekonać o całkowitym zaangażowaniu siostrzeńca w realizację planu.

– Mam bilet na mecz – powiedział, machając nim Aleksandrowi przed oczami. – Wybór należy więc do ciebie…

Niko i Jelena uważnie obserwowali chłopaka ciekawi, jak zareaguje.

– Do diabła z meczem – oznajmił Aleksandr.

– To, co nastąpi, będzie oznaczać, że opuścisz Rosję bez możliwości powrotu – wyjaśnił Niko.

– Ale nie przestanę być Rosjaninem, a nigdy nie będziemy mieli lepszej okazji na ucieczkę przed tymi, którzy zamordowali mi ojca.

– Czyli ustalone – podsumował Niko. – Musisz jeszcze przyjąć do wiadomości, że ja nie zabiorę się z wami.

– W takim razie nie jedziemy! – krzyknął Aleksandr i zerwał się ze starego krzesła ojca. – Nie będę ryzykował. Nie zostawię cię tutaj, żebyś musiał wypić piwo, które nawarzymy.

– Przykro mi, ale będziesz musiał. Jeśli ty i matka macie uciec, ja muszę zostać i zatrzeć za wami ślady. Jestem pewien, że tego życzyłby sobie twój ojciec.

– Ale… – zaczął Aleksandr.

– Nie ma żadnego ale. Teraz już idę, bo muszę zdążyć na poranną zmianę i nadzorować załadunek dwóch statków. Co więcej, wszyscy będą przekonani, że podobnie jak oni będę na meczu.

– Nie nabiorą podejrzeń, gdy nikt sobie nie przypomni, że widział cię na stadionie?

– Nie, jeśli dobrze zaplanuję czas – powiedział Niko. – Druga połowa powinna rozpocząć się około czwartej, a wtedy będę oglądał mecz z resztą chłopców. Przy odrobinie szczęścia, zanim zabrzmi ostatni gwizdek, wy będziecie poza obszarem wód terytorialnych Związku Radzieckiego. Pamiętaj tylko, żeby punktualnie zgłosić się na popołudniową zmianę i tym razem robić wszystko, co ci poleci przełożony.

Aleksandr uśmiechnął się szeroko, gdy jego wuj wstał i uścisnęli się po przyjacielsku.

– Spraw się tak, żeby twój ojciec był z ciebie dumny – powiedział Niko przed wyjściem.

Opuścił mieszkanie siostry i natknął się na przyjaciela Aleksandra schodzącego z góry.

– Ma pan bilet na mecz, panie Obolski? – zapytał.

– Mam – odpowiedział Niko. – W północnej części stadionu, na trybunach z miejscami stojącymi, tam gdzie reszta chłopaków. Więc się spotkamy.

– Raczej nie – zwątpił Władimir. – Ja będę na trybunach w części zachodniej.

– Prawdziwy szczęściarz z ciebie – powiedział Niko i choć go korciło, nie zapytał, co musiał zrobić w zamian za bilet.

– Aleksandr będzie z panem?

– Niestety nie. Musi pracować na popołudniowej zmianie i bądź pewien, że jest piekielnie wkurzony.

– Niech mu pan powie, że wpadnę do niego wieczorem i zdam szczegółowe sprawozdanie.

– Jasne, Władimirze. Będzie bardzo zadowolony. Baw się dobrze na meczu – dodał i każdy z nich poszedł w swoją stronę.

* * *

Po wyjściu Niko Aleksandr miał jeszcze kilkanaście pytań do matki. Na część z nich nie potrafiła odpowiedzieć, między innymi na dotyczące kraju, do którego mają się udać.

– Dwa statki wypływają w czasie popołudniowego przypływu, około trzeciej – powiedziała Jelena – ale do ostatniej chwili nie będziemy wiedzieli, który wybierze wujek.

Dla Jeleny było oczywiste, że Aleksandr już zapomniał o meczu, bo podekscytowany krążył po pokoju. Był całkowicie pochłonięty myślami o ucieczce. Patrzyła na niego z niepokojem.

– To nie jest gra, Aleksandr – powiedziała stanowczo. – Jeśli nas złapią, zastrzelą wujka, a nas wywiozą do obozu pracy, gdzie spędzisz resztę życia, żałując, że nie poszedłeś na mecz. Na zmianę decyzji jeszcze nie jest za późno.

– Wiem, co zrobiłby ojciec – powiedział Aleksandr.

– Więc lepiej idź się przygotować – poradziła mu matka.

Aleksandr bez słowa poszedł do pokoju, a Jelena pakowała pudełko, w którym każdego ranka szykowała mu drugie śniadanie do pracy. Tym

razem jednak nie umieszczała w nim żywności, ale wszystkie pieniądze – banknoty i bilon – które wspólnie z Konstantinem uskładali przez lata, kilka sztuk biżuterii o niewielkiej wartości, oprócz pierścionka zaręczynowego jej matki, który miała nadzieję sprzedać po przyjeździe do obcego kraju. Na koniec włożyła do pudełka słownik rosyjsko-angielski. Teraz bardzo żałowała, że nie poświęcała więcej uwagi rozmowom Konstantina i Aleksandra, które co wieczór prowadzili po angielsku. Potem spakowała swoją małą walizkę. Liczyła, że nikt jej nie zauważy, gdy rano przyjdzie z nią do pracy. Trudno jej było się zdecydować, co ma zabrać, a co zostawić. Zdjęcia Konstantina i rodziny uznała za najważniejsze. Oprócz fotografii wzięła jedno ubranie na zmianę i kostkę mydła. Znalazło się też trochę miejsca na szczotkę do włosów i grzebień. Musiała mocno dociskać pokrywę, żeby się dała zamknąć. Aleksandr chciał zabrać *Wojnę i pokój*, ale przekonała go, że w każdym miejscu, w którym się znajdą, z pewnością będzie można zdobyć tę książkę.

Aleksandr gorączkował się, żeby jak najszybciej wyruszyć z domu, ale matka nie chciała wyjść wcześniej, niż ustalili. Niko przestrzegł ją, że nie mogą zwracać na siebie uwagi, na przykład być przy bramie portu, zanim o dwunastej zabrzmi syrena. W końcu opuścili mieszkanie zaraz po jedenastej. Do pracy poszli okrężną drogą, ponieważ było znikome prawdopodobieństwo, że spotkają tam kogoś znajomego. Przed bramą znaleźli się kilka minut po dwunastej. Akurat trafili na robotników tłumnie zmierzających w przeciwnym kierunku.

Aleksandr przedzierał się przez napierającą na niego gromadę ludzi, a jego matka z pochyloną głową szła za nim. Odbili karty zegarowe i wtedy Jelena zwróciła się do syna:

– Syrena włączy się o drugiej na popołudniową przerwę. Wtedy będziemy mieli dwadzieścia minut, nie więcej, staraj się jak najszybciej przyjść do mnie do kantyny.

Aleksandr kiwnął głową i skierował się do doku numer sześć, gdzie miał rozpocząć swoją zmianę. Jelena udała się w przeciwną stronę. Dotarła do tylnych drzwi kantyny, otworzyła je ostrożnie, wsunęła głowę do środka i nasłuchiwała. Wewnątrz panowała cisza.

Powiesiła płaszcz na wieszaku i przeszła do kuchni. Zaskoczyła ją obecność Olgi, która siedziała przy stole i paliła papierosa. Nigdy by tego nie zrobiła, gdyby któryś z oficerów był na miejscu. Olga powiedziała, że nawet towarzysz Nowak wyszedł chwilę po tym, jak w południe zabrzmiała

syrena. Wypuściła chmurę dymu – chciała w ten sposób zamanifestować swój bunt przeciwko rzeczywistości.

– Ugotujmy sobie obiad! – zaproponowała Jelena, zakładając fartuch. – Zjemy razem i dla odmiany same tu posiedzimy, jakbyśmy były oficerami.

– Zostało jeszcze pół butelki albańskiego czerwonego wina od wczoraj – powiedziała Olga. – Możemy nawet wypić za zdrowie tych drani.

Jelena po raz pierwszy tego dnia się roześmiała i zabrała do przygotowania posiłku, który, miała nadzieję, będzie jej ostatnim w Leningradzie.

O pierwszej Olga i Jelena przeszły do jadalni, nakryły stół, położyły na nim najlepsze sztućce i lniane serwetki. Olga napełniła czerwonym winem dwa kieliszki i już miała wypić łyk trunku, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi i wkroczył major Poliakow.

– Obiad dla pana jest przygotowany, towarzyszu majorze – powiedziała natychmiast. Popatrzył podejrzliwie na dwa kieliszki. – Czy przyjdzie ktoś jeszcze? – zapytała szybko.

– Nie. Wszyscy są na meczu, więc będę jadł sam – odparł Poliakow i zwrócił się do Jeleny: – Ma pani nie wychodzić, zanim skończę, towarzyszko Karpienko.

– Oczywiście, towarzyszu majorze – powiedziała Jelena.

Obie kobiety wróciły do kuchni.

– To może oznaczać tylko jedno – stwierdziła Olga, gdy Jelena nalewała do miski gorącą zupę rybną.

Olga zaniosła Poliakowowi pierwsze danie i postawiła je przed nim na stole. Odwróciła się, by odejść, gdy major powiedział:

– Przyniesiesz drugie danie i masz wolne.

– Dziękuję, towarzyszu majorze, ale jednym z moich obowiązków po pana wyjściu jest sprzątanie…

– Przyniesiesz drugie danie i masz natychmiast wyjść – powtórzył. – Czy wyraziłem się jasno?

– Tak, towarzyszu majorze. – Olga wróciła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Powiedziała Jelenie, czego zażądał Poliakow. – Starałam się pomóc ci, jak mogłam – dodała – ale nie odważę się przeciwstawić temu sukinsynowi. – Jelena w milczeniu nakładała na talerz potrawkę z królika, rzepę i purée ziemniaczane. – Zawsze możesz wyjść do domu – poradziła Olga. – Powiem mu, że się źle poczułaś.

– Nie mogę – odparła Jelena. Zauważyła, że Olga rozpina dwa pierwsze guziki swojej bluzki. – Dziękuję ci. Jesteś dobrą przyjaciółką, ale obawiam się, że on ma chęć na nowy kąsek. – Podała talerz Oldze.

– Z radością bym go zamordowała – oświadczyła Olga i poszła do jadalni.

Major odsunął na bok pustą miskę po zupie, a Olga postawiła na stole talerz gorącej potrawki.

– Jeżeli zastanę cię tutaj, jak skończę – zagroził – od poniedziałku wracasz do tych szumowin w stołówce robotniczej.

Olga zabrała pustą miskę i wróciła do kuchni. Zadziwił ją spokój przyjaciółki, która na pewno nie miała wątpliwości, co wkrótce nastąpi. Ale przecież Jelena nie mogła jej wytłumaczyć, dlaczego jest gotowa znieść nawet to, jeżeli jej syn i ona mieliby się wyrwać ze szponów Poliakowa.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Olga, wkładając płaszcz – ale nie mogę sobie pozwolić na stratę pracy. Widzimy się w poniedziałek – dodała i mocniej niż zwykle objęła Jelenę.

– Miejmy nadzieję, że nie – szepnęła Jelena, gdy Olga zamknęła za sobą drzwi.

Już miała wyłączyć kuchenkę, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi prowadzące do jadalni. Odwróciła się i zobaczyła Poliakowa powoli zbliżającego się do niej. Jeszcze przeżuwał ostatni kęs potrawki. Wytarł usta rękawem, rozpiął mundur obwieszony medalami za zasługi na polu bitwy. Rozpiął pas i położył go na stole obok pistoletu. Potem zrzucił buty, rozpiął spodnie, które osunęły się na podłogę. Stał obnażony, ze zwisającymi fałdami spasionego cielska, które zwykle były ukryte pod dobrze skrojonym uniformem.

– Możemy to zrobić na dwa sposoby – oznajmił szef portowego KGB, podchodząc coraz bliżej, aż znalazł się w takiej odległości, że ich ciała niemal się dotknęły. – Wybór zostawiam tobie.

Jelena zmusiła się do uśmiechu, chcąc jak najszybciej mieć to za sobą. Zdjęła fartuch i zaczęła rozpinać bluzkę.

Poliakow szczerzył zęby i niezdarnie macał jej piersi.

– Jesteś taka sama jak one wszystkie – powiedział, popychając ją w stronę stołu i jednocześnie próbując pocałować.

Jelena poczuła jego cuchnący oddech i odwróciła głowę. Czuła jego krótkie i grube paluchy pod spódnicą, ale tym razem nie opierała się, tylko

patrzyła obojętnie ponad jego ramieniem, gdy spoconą dłoń przesuwał po wewnętrznej stronie jej uda.

Pchnął ją na stół, podniosła spódnicę i rozchyliła nogi. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Czuła, jak dyszał tuż przy jej szyi, gdy wcisnął się w nią gwałtownie. Modliła się o szybki koniec.

O drugiej rozległa się syrena.

Jelena podniosła wzrok, gdy usłyszała otwierające się drzwi po drugiej stronie. Patrzyła z przerażeniem na Aleksandra, który rzucił się w ich kierunku. Poliakow się odwrócił, odepchnął Jelenę na bok i sięgnął po pistolet, ale chłopak znajdował się niespełna metr od niego. Aleksandr chwycił garnek stojący na kuchni, zamachnął się i wylał resztki gorącej potrawki wprost na twarz Poliakowa. Major cofnął się i upadł na podłogę, przeklinając tak głośno, że Jelena obawiała się, że słychać go po przeciwnej stronie portu.

– Będziesz za to wisiał! – wrzasnął Poliakow. Chwycił za krawędź stołu i próbował się podnieść. Ale zanim zdążył wypowiedzieć następne słowo, Aleksandr uderzył go w twarz ciężkim, żeliwnym garnkiem. Poliakow zwalił się na podłogę jak kukła, której ktoś nagle poprzecinał sznurki, krew tryskała mu z nosa i ust.

Matka i syn stali w bezruchu i patrzyli na leżącego prześladowcę.

Aleksandr otrząsnął się pierwszy. Podniósł z podłogi krawat Poliakowa i nie zwlekając ani chwili, związał mu ręce za plecami. Złapał serwetkę ze stołu i wepchnął mu ją do ust. Jelena się nie poruszyła. Patrzyła przed siebie jak sparaliżowana.

– Bądź gotowa do wyjścia. Za chwilę wracam – rzucił Aleksandr, chwytając Poliakowa za kostki. Wyciągnął go z kuchni, wlókł po korytarzu, nie zatrzymując się po drodze, dotarł do ustępów, gdzie wepchnął majora do kabiny. Musiał użyć całej siły, by go podnieść i posadzić na sedesie. Na koniec przywiązał go do rury. Zamknął drzwi od środka, stanął na kolanach majora, podciągnął się na rękach, przewinął przez drzwi i po ich drugiej stronie zeskoczył na podłogę. Pobiegł z powrotem do kuchni po matkę, którą zastał klęczącą i zapłakaną.

Ukucnął przy niej.

– Nie ma czasu na łzy, mamo – powiedział łagodnie. – Musimy iść, zanim ten drań zacznie nas ścigać. – Pomógł jej wstać, a gdy wkładała płaszcz, zabrał jej małą walizkę ze spiżarni, zgarnął mundur i pas Poliakowa, po czym wrzucił jego rzeczy do najbliższego kosza na śmieci.

Wziął Jelenę mocno za rękę, wyprowadził ją z kuchni i pomógł dojść do tylnych drzwi. Ostrożnie je otworzył, wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się we wszystkie strony i dopiero wtedy pozwolił jej wyjść. – W którym miejscu umówiłaś się z wujkiem Niko? – zapytał, przyjmując odpowiedzialność za nich dwoje.

– Kieruj się na te dwa dźwigi – powiedziała Jelena, wskazując na drugi koniec portu. – Bez względu na to, co zrobisz potem, Aleksandrze, nie wspominaj ani słowem wujkowi o tym, co się stało. Lepiej, żeby nie wiedział, bo tak długo, jak wszyscy myślą, że jest na meczu, nie będą łączyć go z nami.

Gdy Aleksandr doprowadził matkę do doku numer trzy, ledwie trzymała się na nogach. Nawet jeśli rozważała zmianę zdania w ostatniej chwili, teraz uświadomiła sobie, że nie mają innego wyjścia, jak tylko spróbować uciec. O alternatywie nawet nie było co myśleć. Nie spuszczała wzroku z dwóch nieruchomych dźwigów, o których mówił Niko i które miały im służyć za drogowskaz. Podeszli bliżej i zobaczyli samotną postać, która wyłoniła się zza dwóch dużych drewnianych skrzyń stojących przy wejściu do opustoszałego magazynu.

– Co was zatrzymało? – zapytał z niepokojem Niko, wodząc wokół wzrokiem jak osaczone zwierzę.

– Przybyliśmy tak szybko, jak tylko mogliśmy – powiedziała Jelena bez żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Aleksandr przyglądał się sześciu skrzyniom ze starannie zapakowanymi butelkami wódki. Były wcześniej ustaloną ceną za podróż w jedną stronę do…

– Teraz musicie tylko zdecydować – powiedział Niko – dokąd chcecie jechać: do Ameryki czy do Anglii.

– Może niech los za nas zdecyduje? – zaproponował Aleksandr. Wyjął z kieszeni kopiejkę i położył ją na końcu kciuka. – Orzeł Ameryka, reszka Anglia – powiedział i wysoko podrzucił monetę. Odbiła się od nabrzeża i wylądowała u jego stóp. Schylił się i patrzył na nią przez chwilę, po czym wziął walizkę matki i pudełko śniadaniowe i ułożył na dnie wybranej skrzyni. Jelena weszła do środka i czekała na syna.

Przykucnęli i przytulili się do siebie, a wtedy Niko zamocował pokrywę. Chociaż tylko chwilę zajęło mu wbicie w nią dwunastu gwoździ, Jelena już nasłuchiwała, spodziewając się jeszcze innych odgłosów: butów biegnących ludzi, zgrzytu odrywanej pokrywy skrzyni i krzyków

towarzyszących wywlekaniu ich obojga na zewnątrz na spotkanie z triumfującym majorem Poliakowem.

Niko postukał palcem w bok skrzyni i poczuli, że odrywają się od ziemi. Skrzynia kołysała się łagodnie z boku na bok unoszona wyżej, coraz wyżej, aż zaczęła się powoli opuszczać do ładowni jednego ze statków. Nagle z głuchym łomotem stanęła na podłożu.

Jelena mogła się tylko zastanawiać, czy przez dalszą część życia będą żałowali, że nie wybrali tamtej drugiej skrzyni.

Tego autora również:

ALE TO NIE WSZYSTKO

CO DO GROSZA

CÓRKA MARNOTRAWNA

CZY POWIEMY PANI PREZYDENT?

DZIENNIKI WIĘZIENNE

FAŁSZYWE WRAŻENIE

I TAK WYGRASZ

JEDENASTE PRZYKAZANIE

KANE I ABEL

KOŁCZAN PEŁEN STRZAŁ

KRÓTKO MÓWIĄC

NA KOCIĄ ŁAPĘ

PIERWSZY MIĘDZY RÓWNYMI

SPRAWA HONORU

STAN CZWARTY

SYNOWIE FORTUNY

WIĘZIEŃ URODZENIA

ZŁODZIEJSKI HONOR

CZAS POKAŻE

ZA GRZECHY OJCA

SEKRET NAJPILNIEJ STRZEŻONY

OSTROŻNIE Z MARZENIAMI

POTĘŻNIEJSZY OD MIECZA

W GODZINIE PRÓBY

TO BYŁ CZŁOWIEK!

a także:

EWANGELIA WEDŁUG JUDASZA

Tytuł oryginału: *Tell Tale*

Copyright © 2017 Jeffrey Archer
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© Alamy/BE&W

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Dzieło przypadku*, wyd. I, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-704-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**